



ZABAWA W ZABIJANIE

AGNIESZKA PESZEK

www.peszek.pl

Zabawa
w zabijanie

AGNIESZKA
PESZEK

Copyright by Agnieszka Peszek 2023

Copyright by 110 procent 2023

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSlova.pl

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

Wersja elektroniczna: Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

ISBN: 978-83-967757-0-2

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

www.peszek.pl

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

[JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Kilka słów na koniec

*Najgorsza, najtrudniejsza do wyleczenia nienawiść to taka, która zajęła miejsce
wielkiej miłości.*

Eurypides

Prolog

– *Oops, I did it again, I played with your heart, got lost in the game* – śpiewała Magda, dwudziestotrzyletnia blondynka, starając się, aby jej głos przypominał ten płynący z radia. Gdyby mogła, dorzuciłaby do tego kroki taneczne z teledysku Britney Spears, jednak na miejscu pasażera w dość klaustrofobicznym volkswagenie golfie stanowiło to nie lada wyzwanie. Zamiast tego wykonywała symetryczne ruchy raz prawą, raz lewą ręką, dodatkowo kręcąc głową w rytm muzyki.

– Dobrze, że ona tego nie widzi i nie słyszy – skomentowała występ koleżanki prowadząca samochód Ola, krótko ostrzyżona brunetka, i ściszyła radio, stukając w panel długimi paznokciami w kolorze wściekłego rózu. – Dostałaby pewnie zawału i zakończyła karierę. Kiedyś słyszałam, że Justyna Steczkowska dostaje potwornego bólu głowy, gdy ktoś w jej towarzystwie rzeźbi jak ty.

– Dlaczego to zrobiłaś? – przerwała wywód koleżanki aspirująca śpiewaczka i na sekundę odwróciła głowę w stronę okna, udając obrażoną, jednak widząc za nim tylko przerażającą ciemność, ponownie spojrzała na koleżankę. – To moja ulubiona piosenka. Mam z nią piękne wspomnienia.

– Pewnie całowałaś się przy niej z tym obleśnym Miłozsem? – spytała kierująca.

– On wcale nie był taki zły.

Magda wyciągnęła rękę w stronę pokrętle, jednak zanim udało jej się zrobić głośniej, dostała delikatnie po palcach od koleżanki.

– Mój samochód, moja muzyka. Teraz posłuchamy czegoś fajniejszego – powiedziała Ola.

Już chciała nacisnąć funkcję łączenia się z telefonem przez bluetooth i wybrać jeden z jej ulubionych utworów z aplikacji Spotify, gdy nagle w samochód coś uderzyło, a one poczuły mocne szarpnięcie.

– Aaa! Co to było?! – wydarła się przerażona pasażerka i wyprostowała jak struna. Momentalnie spoważniała. Otworzyła szerzej oczy i wysunęła się nieco do przodu, na ile pozwalały jej na to zapięte pasy.

– Boże! Nie wiem...

– Ale chyba coś dużego! Jak mogłaś nie zauważyć? – mówiła nadal podniesionym głosem Magda, nerwowo rozglądając się dookoła.

Znajdowały się w środku lasu, którego unikały jak ognia. Niestety dojazd do kolegi, który organizował właśnie swoje dwudzieste pierwsze urodziny, nie był możliwy w inny sposób. Gdyby obie nie musiały tego dnia stawić się w pracy, pewnie zabrałyby się wcześniej z grupą koleżanek, które pojechały autobusem. Niestety ich wspólny szef odmówił, twierdząc, że zgłaszanie nieobecności w pracy dzień wcześniej jest nieodpowiedzialne i mają dorosnąć, jeżeli chcą nadal u niego pracować. A chciały, więc grzecznie stawiły się w robocie. Gdy zegar wybił osiemnastą, pognały jak szalone do domu Oli, wyszykowały się najszybciej, jak potrafiły, i tym sposobem siedziały teraz w samochodzie, w środku lasu, i żadna z nich nie chciała wyjść na zewnątrz, obawiając się tego, co czyhało w ciemnościach.

– A ty coś widziałaś? Mądrzysz się jak zwykle. Komentujesz, a sama siedzisz jak królowna na tronie i masz gdzieś to, co się dzieje dookoła ciebie – rzuciła wkurzona Ola i zerknęła w boczne lusterko,

licząc, że coś w nim dojrzy. Niestety kłębiąca się za oknem czern nie pozwalała dostrzec niczego wyróżniającego się. Od siedmiu kilometrów nie mijały po drodze żadnego domostwa, a wyjątkowo tej nocy niebo przysłaniała gruba warstwa chmur. – Cofnę, może tylko musnęliśmy coś i zwierzak pobiegł dalej – powiedziała z nadzieją w głosie.

Wrzuciła wsteczny bieg i samochód zaczął powoli toczyć się do tyłu. Nigdy nie była mistrzem kierownicy, a gdy doszedł do tego stres, jej manewr bardziej przypominał sinusoidę niż jazdę po prostej.

Sekundy dłużyły się niemiłosiernie, a żadna z dziewczyn nie miała w sobie odwagi, aby przerwać panującą w aucie ciszę.

– Boże... – powiedziała w końcu ledwo słyszalnym głosem Ola i zupełnie ignorując przesywający jej ciało strach. Zatrzymała samochód, wrzuciła bieg na luz i zaciągnęła hamulec ręczny, zostawiając zapalony silnik.

Nie zważając na koleżankę, nacisnęła klamkę i wyszła z pojazdu, mając wrażenie, że w krótkiej chwili jej nogi zmieniły konsystencję na galaretowatą. Już z daleka wiedziała, że nie jest to sarna czy inne leśne zwierzę. Z rowu wystawała ludzka noga. Z odległości kilku metrów wyglądała nienaturalnie biało, tak jakby jej właścicielem nie był człowiek, ale manekin.

Przesuwając się centymetr po centymetrze, Ola zbliżała się do przydrożnego rowu. Ciemna noc i środek lasu powodowały, że najchętniej by uciekła, zostawiając ofiarę w rowie. Jednak wiedziała, że nie może. Jej tata pracował jako medyk i wielokrotnie opowiadał historie z dyżurów, podkreślając, jak ważna jest pierwsza pomoc. Ale niestety nie to przemawiało do niej najbardziej, ale fakt, że w dzisiej-

szych czasach policja znajduje większość sprawców wypadków drogowych.

Gdy w końcu znalazła się metr od ofiary, za jej plecami wyrosła koleżanka. W ręce trzymała telefon, którym oświetlała drogę. Gdy spojrzały na twarz leżącej w rowie dziewczyny, zamarły.

– O w mordę! Przecież to ta laska z programu! – wyszeptała Magda i wybrała numer 112.

Rozdział 1

trzy tygodnie wcześniej

– Pociąg oso...wy relacji Warsz...a Zachod... Przemysł wjedzie na tor dru... przy peronie czwart...

Blanka wyteńczyła słuch, próbując wyłapać, co mówi dobiegający z głośników kobiecy głos, który ledwie słyszała z powodu trwających na dworcu prac remontowych. Poziom zdenerwowania wzrósł jeszcze bardziej. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było spóźnienie się na pociąg odjeżdżający na „stację Marzenia”, jak to w myślach sobie powtarzała.

Zawsze uważała się za dość obrotną i życiową osobę, ale dopiero gdy dostała zaproszenie do programu, gdzie jasno i wyraźnie napisano, że ma przyjechać pociągiem, doszło do niej, że nigdy nie podróżowała koleją sama. Od kiedy pamiętała, wszędzie jeździła samochodem. Przez długie lata jej rodzice pełnili funkcję kierowców, a czasami podczas kłótni nazywali siebie nawet pogardliwie szoferami. Raz dała się namówić koleżance na jazdę autokarem na Mazury. Skończyło się to rzyganiem w rowie, kłótnią z kierowcą, który według niej jechał jak pijany zając, i obietnicą daną samej sobie, że będzie unikała transportu publicznego jak ognia. Oczywiście oprócz samolotów, bo to uważała raczej za luksusowy sposób przemieszczania się.

Szybkim krokiem powędrowała na właściwy peron, ciągnąc za sobą wielką walizkę, do której spakowała swoje najlepsze ciuchy. Wreszcie usiadła na małej ławeczce obok starszej kobiety ubranej w wielki futrzany płaszcz i czekała na pociąg. Sekundy leciały nienaturalnie wolno, jakby ktoś się nad nią znęcał, spowalniając pracę zegara. Na plecach czuła kolejną strużkę potu – zawsze tak reagowała na stres, co denerwowało ją jeszcze bardziej, ponieważ nienawidziła smrodu spoconych ludzi.

Odwróciła wzrok od tablicy z godziną przyjazdu. Najchętniej wyjęłaby telefon z kieszeni swojej puchowej, intensywnie zielonej kurtki, ale wiedziała, że nie może. To był kolejny punkt, którego musiała bezwzględnie przestrzegać. Żadnych relacji na Facebooku, Instagramie, TikToku czy YouTube. W myślach nazwała go *Secret Project*. Odpowiedzi na pytania „Kto?”, „Gdzie?” i „Co będzie miała tam robić?” nie знаła. Czuła się trochę jak jadący na misję szpieg, którego zleceniodawca nie informuje o niczym, dopóki ten nie dotrze na miejsce.

Od dawna wiedziała, że jest w stanie wiele poświęcić, by chociaż o milimetr zbliżyć się do swojego celu. Do swojego marzenia, które zwizualizowała sobie już jakiś czas temu, a o którym opowiadała każdemu i o każdej porze dnia, stosując panoszącą się wszędzie modę na afirmację. Gdy budziła się rano, stawiała przed lustrem i pomimo że jej twarz daleka była od ideału przez brak makijażu, powtarzała sobie: „Jestem piękna. Podbiję świat. Będę celebrytką”.

Ścianki, wywiady, gale – to było jej marzenie. Życie w świetle jupiterów. Autografy, zdjęcia z fanami. Od lat obserwowała gwiazdy internetu i nie dostrzegała jakichś wyraźnych różnic między nią a nimi. Nie tylko pod względem predyspozycji nie odbiegała od nich

znacząco. Odbyla już kilka kursów składania filmików. Potrafiła się całkiem nieźle wystylizować, makijaż też nie sprawiał jej problemu. Cały czas nie dysponowała odpowiednim sprzętem do nagrywania, ale umówiła się z rodzicami, że jeżeli dobrze zda zimową sesję, dostanie na urodziny lepszy telefon i może lampę, bo stara już się poprzepalała, a statyw przy każdym przestawianiu w inne miejsce zachowywał się tak, jakby miał się przewrócić.

Cieszyła się na wyjazd i liczyła, że dzięki niemu rozpocznie nowy rozdział swojego życia. Jedyne, czego się obawiała, to to, że rodzice wkurzą się na nią. Wysłała im tylko SMS informujący o tym, że wyjeżdża z koleżanką na dwa tygodnie nad morze i robią sobie detoks od telefonów. Nie podała żadnych konkretów, więc obawiała się, że wpadną w panikę. Zawsze tak robili, gdy nie odzywała się przez kilka dni.

Od dwóch lat nie mieszkali już razem. Po maturze przeprowadziła się z małej miejscowości pod Radomiem do stolicy. Przez pierwsze miesiące mieszkała u ciotki, siostry ojca, ale niestety bezdzietnej kobiecie ciężko było przyzwycząić się do jej trybu życia, a dokładniej do późnych powrotów, spania do południa, a także zostawiania brudnej bielizny gdzie popadnie. Po piątym telefonie od wkurzonego ojca, który zupełnie nie słuchał tłumaczeń córki, wyprowadziła się do koleżanki z uczelni.

I wtedy zaczęło się prawdziwe życie studenckie. Imprezy do rana. Kac leczony piwem. Weekendy, których zupełnie by nie pamiętała, gdyby nie relacje na Instagramie. Czasami w niedzielne popołudnia, oglądając to, co wrzuciła do sieci, z niedowierzaniem i wstydem usuwała kolejne fotki, licząc, że rodzice ich nie widzieli. Zresztą nie tylko rodzice. Czasami to były wręcz nagrania jak z filmów porno.

Nic z tego nie pamiętała i traktowała to raczej jako coś, co się nie wydarzyło, obiecując sobie, że się to nie powtórzy. Ale przychodził kolejny weekend i dana sobie samej przysięga znikająca w oparach alkoholu i substancji niewiadomego pochodzenia, które w formie tabletek lub magicznych proszków przyjmowała coraz częściej.

Wiedziała, że dla wielu osób jej życie jest ekscytujące i ciekawe, ale mimo to gdy znalazła w skrzynce pocztowej adresowany do siebie list w niezwykle eleganckiej, czarnej kopercie, w pierwszej chwili myślała, że to pomyłka.

Otworzyła ją powoli i wyjęła coś na kształt zaproszenia.

Internet czeka na Ciebie.

**Nie daj się prosić i dołącz do grona takich jak Ty.
Ludzi z fantazją i finezją, którzy chcą podbić świat.
Wrzuć na swój Instagram zdjęcie i koniecznie użyj
hasztagu #BawSieJakNigdy!**

Gdy to zrobisz, bądź czujna. Niebawem dostaniesz kolejną wiadomość.

PS: Nie informuj nikogo o liście. To supertajny projekt – tylko dla wybranych.

Blanka przez dłuższą chwilę patrzyła na przesyłkę i zastanawiała się, kto może za tym stać i o co chodzi. Od kilku koleżanek słyszała, że nawet do początkujących instagramerek czasami odzywają się różne firmy, oferując swoje produkty w zamian za kilka postów, rolek czy relacji. Niektóre marki dają totalną swobodę w tworzeniu

materiałów, inne wysyłają dokładną instrukcję, co i jak nakręcić, sfotografować, opisać, a nawet jakich hashtagów użyć.

Pierwszy raz ktoś ją dostrzegł, dlatego nie zamierzała stracić okazji do ciekawej współpracy. Od razu zrobiła sobie selfie przed lustrem w sypialni, chwilę wcześniej porządkując bałagan na łóżku, które wchodziło w kadr. Opisała swój weekend, odtwarzając kolejny pijacki ciąg, który zaczął się już w czwartek. Wymieniła lokale, gdzie się bawiła, wrzuciła kilka zdjęć z koleżankami, a jako ostatnie opublikowała to zrobione chwilę wcześniej. Napisała jeszcze kilka słów o tym, co planuje w zbliżającym się tygodniu, dodała swoje zwyczajowe hashtagi, a wśród nich jeden nowy, tak aby się nie wyróżniał.

Dwa dni później znalazła w skrzynce kolejną kopertę, tym razem białą, ale równie elegancką co poprzednia. Otwierając ją powoli, czuła się trochę jak saper rozbijający bombę. Gdy w końcu wyjęła z niej kartkę, ręce jej się trzęsły, a po plecach płynął pot, mimo że w wynajmowanym mieszkaniu temperatura rzadko wzrastała powyżej dwudziestu stopni Celsjusza.

W środku na białym grubym papierze, o gramaturze zupełnie innej niż w kartkach używanych na co dzień, ktoś napisał kilka zdań, które miały odmienić jej życie.

Masz w sobie to coś, co pokocha świat.

Jesteś gotowa na przygodę?

Jesteś gotowa na wyzwania?

Jesteś gotowa, by zmienić swoje życie nie do poznania?

Czas zacząć zabawę.

Wejdź na stronę BawSieJakNigdy.pl i dołącz do rozgrywki.

Podany adres zupełnie nic jej nie mówił. Wpisała go w okno wyszukiwarki w swoim telefonie i czekała. Niestety, jak co miesiąc, wykorzystwała już cały wykupiony w ramach abonamentu pakiet danych, dlatego teraz strona ładowała się niemiłosiernie długo, a Blanka miała wrażenie, że każda sekunda trwa w nieskończoność.

W końcu obraz się wczytał, a jej oczom ukazała się czarna strona z małym okienkiem, obok którego widniał napis „IG nick”. Wpisała swoją nazwę użytkownika z Instagrama i czekała. Chwilę później wyświetliła się lista wytycznych odnośnie do jej wyjazdu. Wszystko wyglądało intrygująco i niewiarygodnie tajemniczo, a jeżeli chciała liczyć na sukces w tym projekcie, musiała zachować tę tajemnicę dla siebie, mimo że swoim zwyczajem najchętniej podzieliłaby się tym nie tylko ze wszystkimi znajomymi, ale również z obserwatorami, których zupełnie nie знаła.

Teraz, siedząc na ławeczce w oczekiwaniu na pociąg, czuła przezywającą dumę. Nigdy nie należała do osób, które potrafią utrzymać cokolwiek w sekrecie. Zawsze zupełnym przypadkiem wygadywała się koleżance czy któremuś z rodziców, jednak tym razem, czując powagę sytuacji i potencjał, jaki dostrzegała w projekcie, wzniosła się na wyżyny samokontroli i mogła sama siebie pochwalić.

Na peron wtoczył się powoli pociąg, zapowiadany wcześniej przez sympatyczny damski głos. Blanka spojrzała na siedzącą obok kobietę, z jakiegoś powodu licząc, że ta doda jej otuchy. Dopiero teraz poczuła niepokój. Nie obawiała się samej podróży, ale nieznanego. Wiedziała, że czeka ją przygoda życia, ale jakaś jej część pod-

powiadała, że ktoś powinien wiedzieć, dokąd jedzie. Odgoniła złe myśli, wzięła dwa głębokie wdechy, jak zazwyczaj robiła na koniec zajęć fitness. Wstała i ciągnąc swoją walizkę wypchaną najlepszymi ciuchami, ruszyła w stronę pociągu, który na tabliczce zamontowanej na boku składu miał drukowanymi literami napisane „Przemyśl”.

Rozdział 2

– Boże, jaki on jest cudowny! Wysyłałaś mi tyle zdjęć i filmików, ale one nie oddają jego uroku. I te oczy! – Kasia wisiała nad małym chłopcem cała rozpromieniona, nie mogąc oderwać od niego wzroku. – Najchętniej wzięłabym go na ręce i tuliła. Ale skoro sobie smacznie śpi, to zrobię to niebawem, jak skończy drzemkę. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki i ruszyła za nią do salonu, zostawiając pochrapującego chłopca w jego łóżeczku.

– Niech śpi. Ostatnio jest idealnie. Przesypia już pięć godzin, więc mogę się nawet wyspać. A w ciągu dnia przychodzi Wandzia, moja kuzynka. Opowiadałam ci o niej? – Dorota spojrzała na przyjaciółkę pytająco.

Ostatnie miesiące były wypchane po brzegi emocjonującymi wydarzeniami. Jej wyjazd do Warszawy, narodziny Mikołaja, przygotowania do nowej pracy... No i do tego sercowe rozterki, które cały czas nią targały, jakby jej ciało z okołoporodowymi dolegliwościami nie miało już wystarczająco źle.

Na dodatek pojawiła się kolejna niedogodność. Siedząca naprzeciwko przyjaciółka również zaszła w ciążę raptem cztery miesiące po niej i może wszyscy skakaliby z radości, gdyby nie jeden fakt. Kasia musiała cały czas leżeć, ponieważ jej ciąża była mnoga i obciążona pewnymi komplikacjami. Dopiero po zabiegu zabezpieczającym ciążę lekarz dał jej zielone światło na wychodzenie z domu.

Wszystko jednak musiała robić z zachowaniem rozsądku, a przy dwójce nadaktywnych starszych dzieci było to niezmiernie trudne.

To wszystko wraz z kwestią odległości spowodowało, że nie widziały się miesiącami. Jednak dla Doroty wyjazd był jedynym słusznym wyborem. Chcąc oderwać się od dwóch mężczyzn walczących o jej względy i uczucia, a także z powodu nowej pracy, przeniosła się do stolicy. Z jednej strony nie musiała się stresować, że nagle któryś z nich pojawi się w progę, ponieważ odnalezienie jej wśród ponad półtora miliona mieszkańców stanowiłoby nie lada wyzwanie. Z drugiej jednak strony wyprowadzka z rodzinnego miasteczka niosła za sobą również negatywne konsekwencje. Nie mogła odwiedzić przyjaciółki w dowolnym momencie. Udało jej się to raptem raz od czasu przenosin do stolicy. Przyjechała późnym wieczorem, jeszcze będąc dwupakiem, tak by nie wpaść na Marka czy Jakuba. Przegadały wtedy całą noc, mimo że Dorota w ósmym miesiącu ciąży nie czuła się komfortowo, szczególnie że obrzęki stóp dawały o sobie znać. Kasia natomiast musiała rozmawiać z koleżanką z perspektywy leżącej, co regularnie co kilka minut kontrolował jej narzeczony.

Teraz na szczęście planowała to nadrobić.

– O Wandzi? – rzuciła Kasia. – Wspominałaś parę razy. To córka siostry twojej mamy? – spytała, siadając na kanapie, którą sama wybrała, i rozejrzała się.

Po raz pierwszy odwiedzała przyjaciółkę w jej warszawskim mieszkaniu, ale wydawało jej się, że zna je doskonale. Leżąc w łóżku, urządziła je, wykorzystując odpowiednie do tego programy, więc wizualizację znała na pamięć, jednak dopiero teraz, będąc na miejscu, miała poczucie dobrze wykonanej roboty, szczególnie że przyjaciółka zrealizowała praktycznie wszystkie jej pomysły.

– Tak – odpowiedziała Dorota i naląła im do kubków zimowej herbaty. Mimo że utrudniające życie młodej matki mrozy zgodnie z zapowiedziami meteorologów chwilowo odpuściły, cały czas było jej zimno. – Nie wiem, jak to się stało, ale nasz kontakt urwał się lata temu. Gdy wrzuciłam na Facebooka pierwsze zdjęcie z młodym ze spaceru po Łazienkach, Wanda do mnie napisała z zapytaniem, co ja robię w stolicy. I tak od słowa do słowa zgadałyśmy się i już następnego dnia siedziała u mnie na kanapie. Okazało się, że jest na rencie. Mając dwadzieścia parę lat, uległa strasznemu wypadkowi. Pracowała na magazynie i zwałił się na nią ogromny regał z ciężkimi narzędziami. W jego wyniku ma zdeformowaną stopę, kuśtyka, chociaż i tak podobno jest już znacznie lepiej. Gdy trafiła do szpitala, podobno lekarze poważnie zastanawiali się nad amputacją, więc można powiedzieć, że ma się z czego cieszyć. No i w sumie nie wiem, jak to się stało, ale zaproponowała, że może zajmować się Mikusiem. Mieszka niedaleko. Nie ma rodziny. Zawsze jest uśmiechnięta i tak cudownie się nim zajmuje, że... – Dorota westchnęła, a jej oczy się rozpromieniły.

– Matko, gdzie jest moja dawna Rorotka? – zapytała Kasia z poważną miną. – Gdyby ktoś kiedyś powiedział mi, że będziesz rozkoszną mamą, to w życiu bym nie uwierzyła.

– Ja też – przyznała i obie zaśmiały się na głos, zupełnie zapominając o śpiącym obok małym człowieku, którego potrafił wybudzić dużo cichszy dźwięk. – To wszystko, co się ostatnio działo, to jest jakiś absurd. Moja ciąża, która zrobiła ze mnie rozhisteryzowaną babę... Jeju, do końca życia nie zapomnę rozmowy z komendantem, podczas której płakałam jak bóbr. Szkoda, że nie zrobiłam zdjęcia jego miny. Facet przeżył wiele, ale wtedy patrzył na mnie jak na ko-

smitkę. Potem ta cała ucieczka do Warszawy i poszukiwania mnie przez Marka i Jakuba. Jak w jakimś serialu brazylijskim ze mną w roli głównej. Gdyby ktoś kiedyś przeczytał nasze wiadomości ma-
ilowe, byłby hit. – Policjantka teatralnie potrząsnęła głową, jak Pamela Anderson w swoich słynnych biegach po plaży w „Słonecznym patrolu”, zupełnie zapominając, że lekko przetłuszczone włosy ma spięte w kok, co uniemożliwiało im efektowny ruch. – No i wielki finał w postaci porodu...

– Który też zresztą do najnormalniejszych nie należał – skomentowała Kasia, która знаła jego szczegóły, a mimo to liczyła na powtórkę relacji.

– No trochę. Rodziłam na stojąco, a towarzyszył mi komendant Markowski, który zachował się jak gentleman. Cały czas zastanawiam się, czy to faktycznie się wydarzyło. Wszystko było jakies surrealistyczne. Później dowiedziałam się, że pielęgniarki robiły zakłady, jak szybko urodzę. Podobno oceniły mnie jako szybkoródkę i dawały mi maksymalnie godzinę. W sumie niewiele się pomyliły, bo od wejścia do szpitala do momentu, gdy Mikołaj się urodził, minęło siedemdziesiąt minut. A gdy powiedziałam jednej z nich, że mężczyzna, który mi towarzyszył, nie jest ojcem dziecka, tylko moim szefem, na dodatek komendantem policji w małej miejscowości pod Poznaniem, to stwierdziła, że niezły przypadek ze mnie. Zresztą jak rozmawiam z innymi matkami...

– Rozmawiasz z innymi matkami? – przerwała Kasia, powtarzając po przyjaciółce. – Ale to brzmi zaskakująco w twoich ustach.

– Oj, przestań. Sama się z tym dziwnie czuję, więc nie musisz mi tego wytykać. Tak, wiem, że kiedyś poza sytuacjami służbowymi nie rozmawiałam z innymi kobietami o dzieciach, porodach lub ciążyach.

Ale jak to powtarzała moja mama, człowiek się zmienia. I chyba ja dorosłam w końcu do tego, żeby zaakceptować ten fakt.

– Ekstra, a czy dorosłaś do bycia w związku? – spytała spokojnym głosem i spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie wiem. Cały czas nie jestem w stanie się zmusić, żeby o tym pomyśleć. Chyba znowu przeniosłam się do bezpiecznej strefy bycia singlem i powiem ci szczerze, że niezmiernie dobrze się w niej czuję.

– Trochę smutno mi to mówić, bo sama cenie sobie związku, ale jak masz się zmuszać, to może nie jest to dla ciebie. Przecież nie każdy musi się z kimś wiązać – powiedziała Kasia, wyjęła z herbaty kawałek pomarańczy i wgryzła się w środek, odrywając powoli skórkę. Momentalnie po pomieszczeniu rozszedł się przyjemny słodki i świeży zapach.

– To nie tak. Z jednej strony chciałabym budzić się obok kogoś, kto będzie ze mną w tych, nie ukrywam, dla mnie dość specyficznych czasach. Ale z drugiej strony nie wiem, czy jestem na to gotowa. Już to – głową kiwnęła w stronę pokoju syna – jest dla mnie nowością. Nie wiem, czy gdyby ktoś wylądował obok mnie, dałabym radę.

– Ja rozumiem, a co ojciec Mikołaja na to?

– Marek? Hmm, cieszy się, bo co innego ma robić... Stracił ukochaną rodzinę i teraz mały jest trochę jej namiastką. Są tacy podobni... – Dorota Czerwińska westchnęła smutno i przyciągnęła kolana do klatki. – To nie tak miało być.

– A jak? Rycerz na białym koniu miał zajechać i porwać cię na bezludną wyspę, gdzie żylibyście długo i szczęśliwie? Rorotka, przecież ty zanudziłabyś się na śmierć.

– Nie, tylko czemu nie potrafię się cieszyć tym wszystkim? Wiem, jak bardzo zraniłam Jakuba. Nie zasłużył na to. To jest superfacet i mam wyrzuty sumienia. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że Marka też zraniłam. Niby nigdy nie wysłałam jasnego sygnału, że chciałybym czegoś więcej...

– Może i nie zasłużyli, ale czy ty to wszystko zaplanowałaś? – próbowała ratować trochę sytuację Kasia. – Wiesz co, trochę mnie ten serial brazylijski zaczął męczyć, może opowiesz mi o nowej pracy? – zmieniła temat i dotknęła swojego brzucha. W końcu, gdy dobiła do piątego miesiąca ciąży, zaczął być widoczny, z czego niezmiernie się cieszyła.

Rozdział 3

– Czy ten pociąg kiedyś dojedzie? – rzucił Kacper z uśmiechem na twarzy.

Na końcu języka miał już jeden ze swoich dowcipów, ale powstrzymał się. Zamierzał nie zwracać na siebie uwagi, chociaż widząc swoje odbicie w szybie, wiedział, że to raczej problematyczne. Jego pofarbowane tym razem na niebiesko końcówki utlenionych blond włosów raziły z daleka. Chociaż, jak stwierdziła jego babcia Aniela, która jako jedyna podchodziła do metamorfoz wnuczka z entuzjazmem, w porównaniu do różowych pasemek, którymi przyozdobił fryzurę kilka miesięcy wcześniej, wyglądał dość smutno. Zaśmiał się bez wesołości na to wspomnienie.

Mama taty leżała aktualnie w szpitalu i nikt nie wiedział, czy z tego wyjdzie ani co dokładnie jej dolega. Czy to starość, czy jakaś podstępna choroba. W rozmowach za każdym razem pojawiała się znienawidzone przez wszystkich słowo „starość”, które tak bardzo do niej nie pasowało. Można było o niej powiedzieć, że jest zwariowana, aktywna, wygadana, czasami kłótniwa, ale nie stara.

To myśl o niej stała na ringu i walczyła z radością wynikającą z listu, który otrzymał. Od zawsze marzył o tym, żeby być celebrytą, mimo że ojciec z uporem maniaka powtarzał, że nie ma takiego zawodu. Jest stolarz, lekarz, nauczyciel, ale nie, jak mawiał, pajac, co eksponuje swoje życie w internecie i szuka poklasku. Wtedy z wypiętą klatką, jak indyk podczas walki, zaczął swój monolog.

- Każde czasy charakteryzują się zmianami. Gdybyś żył na początku dwudziestego wieku, padłbyś na zawał, widząc lodówkę czy telewizor, a takie nazwy zawodów jak chociażby programista czy biotechnolog zupełnie nic by ci nie mówiły. Ludzkość rozwija się w tempie wykładniczym, i nie chodzi tylko o technologię. Zmieniają się jej potrzeby, wartości.

W tym miejscu zazwyczaj miała miejsce próba wtrącenia przez ojca, że aktualne wartości są do niczego, nic nie wnoszą w życie, a głównie uprzedmiotowiają człowieka. Kacper jednak ignorował to i mówił dalej:

- Kiedyś popularne były cyrki, które aktualnie odchodzą do lamusa. Ale pojawiło się alternatywne miejsce dla rozrywki. Tą sceną jest internet. Takie nienamagalne coś, które za ekranem komputera czy smartfona daje niewyobrażalne możliwości. Między innymi pozwala na zaprezentowanie się osobom takim jak ja. Myślisz, że w realu miałbym jakieś szanse zabłysnąć? Jeździć po Polsce ze skeczami i rozśmieszać ludzi? Może jak zyskam popularność w necie, to kiedyś tak. Ale teraz stand-uperzy budują swoje zasięgi w sieci. Wrzucają swoje występy kręcone w domowych czterech ścianach i prezentują się światu. Wiesz, ile osób do mnie pisze po każdym występie? Mnóstwo!

Kiwał przy tym głową, licząc, że nikt z jego bliskich tego nie sprawdzi. Niestety pod jego filmikami nie roilo się od komentarzy. Raczej pojawiały się sporadyczne emotki z oklaskami, ale nikt do tychczas nie był zbyt wylewny. „Czas!”, powtarzał sobie w takich chwilach i liczył, że kiedyś będzie lepiej. Że jeśli będzie publikował regularnie swoje występy, w końcu ktoś go dostrzeże, a wtedy błyskawicznie wzrosną wszystkie parametry świadczące o sukcesie.

Teraz siedział w pociągu, który z bliżej nieokreślonych powodów od pół godziny stał na polu. Przez pierwsze dziesięć minut pasażerowie grzecznie siedzieli na swoich miejscach. Gdy minął już jakiś czas, a nie pojawił się nikt z obsługi pociągu ani nie poinformowano ich o niczym przez głośniki, podniosła się delikatna wrzawa. Po kolejnych kilkunastu minutach parę osób wybrało się po informacje – do kogokolwiek, gdziekolwiek. Niewiedza jak zwykle zaczynała wywoływać popłoch.

– Czy ten pociąg kiedyś dojedzie? – rzucił Kacper do przestraszonej dziewczyny z plaketką „Małgorzata” i znaczkiem restauracji pociągowej.

– Nie wiem – wydukała cicho i dalej pchała wózek z napojami, jakby robiła to za karę.

Nie było jej jednak dane opuścić wagonu, ponieważ siedzący trzy rzędy dalej od Kacpra mężczyzna zastąpił jej drogę.

– A cokolwiek paniusia wie? – wycodził przez zaciśnięte zęby wysoki trzydziestokilkulatek z widoczną na przednich zębach próchnicą. – Nie tylko tamten chłopaczek – w tym momencie kiwnął głową w kierunku siedzącego nieopodal Kacpra – chce wiedzieć, co my tutaj tak długo stoimy w tym polu. Niektórzy, na przykład ja, spieszą się na ważne spotkanie. Nie mam czasu tutaj czekać na Bóg wie co. Czy w tym kraju wszystko muszą spieprzyć? Przecież trzeba tylko dowieźć ludzi z jednego punktu do drugiego, to chyba nietrudne.

– Ktoś zginął – powiedziała, podniosła na niego smutne brązowe oczy, przyozdobione długimi, sztucznymi rzęsami, i dodała jeszcze ciszej: – Nie żyje.

– Zginął?! – krzyknął mężczyzna, a wszyscy rozglądali się dookoła przerażeni, jakby szukali kogoś, kto zaprzeczy tej informacji. – A co

mnie to interesuje? Skoro już nie żyje, to chyba fakt, że my tutaj będziemy siedzieć i czekać, niewiele mu pomoże.

– Takie są procedury – odezwała się siedząca nieopodal starsza kobieta, która niezmiernie przypominała Kacprowi babcię. Malutka, z licznymi zmarszczkami, ale z taką zaciętością na twarzy, że strach było podchodzić, gdy przyjmowała, jak teraz, bojowniczą postawę. – Trzeba wezwać prokuratora, zabezpieczyć ślady, no i pozbierać to, co po człowieku zostało.

– Pewnie dżem – zaśmiał się mężczyzna, ale momentalnie spoważniał, wbijając wzrok w dziewczynę z WARS-a, jakby zaraz miał jej coś zrobić. – Ja za godzinę muszę być w Przemyślu, inaczej stracę pracę. Nikogo nie będzie interesowało, dlaczego się spóźniłem. Pięć osób będzie czekało na mnie i moją prezentację i jak się nie stawię, to nieźle się wkurzą. Cenią swój czas i nie trwonią go na prawo i lewo na takie głupstwa jak czekanie.

– Proszę się uspokoić – ponownie wtrąciła się starsza kobieta. – Ta agresja do niczego pana nie doprowadzi. Rozumiem, że się pan denerwuje, ale tak nie można. Ta pani niczemu nie jest winna. Ona nie wepchnęła tego człowieka pod koła pociągu. Ona też nie wymyśliła procedur, które jasno i wyraźnie mówią, że po wypadku z udziałem pociągu skład musi zostać zatrzymany i może ruszyć dopiero po wykonaniu wszystkich czynności związanych z zebraniem śladów. Wiem, że teraz trudno to zrozumieć, ale gdyby to pana bliski znalazł się na torach, chciałby pan zapewne, aby wszystko zostało zabezpieczone, a w przypadku udziału osoby trzeciej, by została ona ujęta. Bo przecież pod kołami pociągów lądują nie tylko samobójcy. Musi być pan bardziej empatyczny i patrzeć trochę dalej niż czubek własnego

nosa. Bo nie wiem, czy pan wie, ale dalej też jest życie i ludzie, którzy mają uczucia i chcą być dobrze traktowani.

Wszyscy patrzyli na kobietę tak, jakby mówiła do nich w obcym języku. Każdy w duchu jej potakiwał, ale jednocześnie stawał po stronie mężczyzny. Chciał już jechać, a nie stać na polu bez wiedzy, ile to wszystko potrwa.

Mężczyzna, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, opadł bezwładnie na fotel i zaczął wydzwaniać, raz po raz krzywiąc się i zaciskając pięści, jakby miał zaraz wybuchnąć. W końcu zrezygnowany schował telefon do kieszeni kurtki, która wisiała obok, i wyjął z leżącej przy jego nogach torby laptop.

Pasażerowie jeden po drugim wstawali, podchodzili do okien i próbowali dojrzeć, co się aktualnie dzieje. Ci, którzy siedzieli przy nich, mieli ułatwioną sprawę, chociaż co chwila ktoś wisiał nad ich głowami, ocierał się o nich, a przy dość wysokiej temperaturze panującej w taborze co niektórzy wydzielali niezbyt miłą, kwaśną woń.

Ku ich niezadowoleniu na zewnątrz niewiele się działo. Raz na jakiś czas pojawiał się człowiek energicznie chodzący wzdłuż pociągu, ale kim on był, ciężko było orzec. Wreszcie zauważono grupkę umundurowanych policjantów, co pasażerowie przyjęli z entuzjazmem.

Kacper wyjął telefon i zaczął w notatkach pisać pomysł na skecz w oparciu o to, co przed chwilą widział, chociaż jego myśli cały czas uciekały w kierunku przygody. Jak to napisano w pierwszym liście:

Internet czeka na Ciebie.

Nie daj się prosić i dołącz do grona takich jak Ty.

Ludzi z fantazją i finezją, którzy chcą podbić świat.

Wrzuć na swój Instagram zdjęcie i koniecznie użyj hasztagu #BawSieJakNigdy!

Gdy pierwszy raz przeczytał ten list, pomyślał, że to dowcip jednego z kolegów, z którym zaledwie kilka dni wcześniej nagrywał rolkę o tęczyowych ludzikach. Zupełnie przypadkiem dywagowali wtedy, co by było, gdyby zaproszono któregoś z nich do domu Wielkiego Brata.

– W życiu bym nie poszedł – jako pierwszy skomentował czysto hipotetyczną sytuację Grzesiek, znany w sieci jako Gregori. Był to siedemnastolatek ukrywający się pod maską psa, przypominającego tego z komiksów dla dzieci o dziwnym tytule „Dogman”. Kiedyś doszedł do wniosku, że dzięki takiemu rozwiązaniu mniej się stresuje. Gdy wkładał ją na twarz, zupełnie zapominał o publiczności, nawet tej niewidocznej, ukrywającej się za ekranem telefonu czy monitorem komputera. – Ludzie gapiliby się na mnie godzinami, komentowali każdy krok. Stresowałbym się tym za bardzo, więc nie. Zresztą dobrze wiesz, że do wszystkiego można się przyczepić – zaśmiał się sam do siebie.

Na co dzień sami zajmowali się szydzeniem z innych, wyłapywaniem ich błędów, pomyłek albo ich problemów. Często nawet z poprawnego, nieodbiegającego od standardów i norm zachowania byli w stanie robić żarty.

– A ja bym poszedł – stwierdził Kacper i poprawił ustawienie kamery, a dokładniej zmniejszył kadr.

– I chciałbyś, aby ludzie gapili się, jak jesz, śpisz lub srasz?

– A czy już tego nie robią? – Chłopak zaśmiał się na wspomnienie ostatnio wstawionej rolki nakręconej w toalecie, gdy relacjonował

wpisy na ścianach w kabinie, oczywiście siedząc na tronie ze spuszczoneymi do połowy łydek spodniami.

– Ty, jakbyś trafił do szpitala z dziurą w brzuchu, trzymałbyś w jednej ręce telefon i nagrywał lajwa, zamiast tamować krwotok. A pewnie przed przyjazdem mocniej rozdrapałbyś ranę, żeby było więcej krwi.

– W sumie mogłoby to być dość intrygujące ujęcie. Wiozą człowieka na blok operacyjny i na żywo transmitowana jest relacja z sali. Wow, ty to masz głowę. Do tego można byłoby zapodawać jakieś wkurzające dowcipy o lekarzach i pielęgniarzach. O, nawet mam jeden. Lekarz, stając w drzwiach gabinetu z listą pacjentów, mówi: „Szanowni państwo, w związku z RODO nie mogę używać nazwisk, więc zapraszam na wizytę kontrolną pana z syfilisem!”.

Teraz Kacper ponownie spojrzał na wydrukowany z tajemniczej strony wykaz wszystkich związanych z projektem wytycznych, których miał nauczyć się na blachę.

1. Zero telefonów. Pokaż nam, że potrafisz odnaleźć się również w realu. Ale nie martw się, na miejscu dostaniesz odpowiedni sprzęt, za pomocą którego będziesz mógł się wyrazić.

2. Zero kontaktów z bliskimi podczas trwania programu.

3. Nikt nie wie o wyjeździe. Wznies się na wyżyny kreatywności i wytłumacz bliskim dwutygodniową nieobecność. To również zostanie ocenione.

4. I najważniejsze. Nie hamuj się. Tylko ludzie z jajami mają szansę na sukces.

Pod spodem zanotował sobie jeszcze odręcznie numer telefonu człowieka, którego miał powiadomić o godzinie planowanego dojazdu na miejsce, co zrobił, jak tylko wsiadł do pociągu. Gdy zorientował się w sytuacji, wysłał kolejną wiadomość z informacją o spóźnieniu.

Rozdział 4

Już kilka razy pojawiła się na komendzie, ale pierwszy raz planowała pójść na prawie cały dzień i, co zaskakujące, Mikołaj to wyczuł. Budził się w nocy pięć razy, prężąc się i wijąc w swoim łóżeczku postawionym tuż obok tego, na którym spała Dorota. Za każdym razem brała go na ręce, co momentalnie go uspokajało, i po chwili zasypiał w jej ramionach. Wtedy rozpoczynała trudną operację odłożenia małeństwa, co niestety kończyło się ponownymi piskami. Dopiero za którymś razem, bliżej piątego lub szóstego podejścia, odnosiła sukces i chłopiec wpadał w ramiona snu. Niestety cała procedura powtórzyła się tej nocy zbyt wiele razy, dlatego gdy ustawiony na jak najcichszy dźwięk budzik zaczął wydawać z siebie przyjemną dla ucha melodyjkę z szumem lasu, miała ochotę rzucić nim o ścianę, licząc, że rozpadnie się na tysiąc kawałków, a ona będzie mogła spać dalej.

Niestety nie mogła tego zrobić, choć bardzo żałowała. Po raptem dwóch sygnałach wyłączyła go i powoli wyszła z sypialni, zostawiając smacznie śpiącego syna, który jakby nigdy nic zapomniał o nocnych problemach z brzuszkiem i ledwo słyszalnie pochrapywał.

Nastawiła kawiarkę, którą dostała od kolegów z suchodolskiej komendy podczas pożegnalnej imprezy, i poszła się wykąpać z nadzieją, że gdy wyłączy wodę, w mieszkaniu cały czas panować będzie błoga cisza.

Wzięła prysznic, zebrała włosy w luźny kucyk, z którego uciekała masa niesfornych krótkich włosków, powodując, że wokół głowy utworzyła się swego rodzaju aureola, i podeszła do wielkiej szafy stojącej w salonie. Od kiedy młody z nią sypiał, wyniosła do niej kilka ubrań, mimo że przeznaczona była raczej na rzeczy takie jak kurtki, buty czy nienoszona aktualnie odzież, ale zrobiła porządek na jednej z półek i tam ułożyła ciuchy, które zakładała po przebudzeniu, aby nie budzić małego. Parę razy próbowała coś po cichutku wyciągnąć z szafy w sypialni, ale za każdym razem wybudzała tym syna. Gdy teraz przejrzała zawartość szafy, wiedziała, że zapewne za chwilę to nastąpi. Nie przygotowała sobie nic na wizytę na komendzie, a to, co znalazła na półce, nie nadawało się do wyjścia. Najchętniej poszłaby w swoim wysłużonym dresie, który wyglądał, jakby nosiła w nim ziemniaki, ale wolała wyglądać profesjonalnie.

Powoli podeszła do białych drzwi sypialni i popchnęła je. Zapach unoszący się w pomieszczeniu spowodował, że od razu poczuła się lepiej, jakby ta mała istotka leżąca w łóżeczku rozpyłała woń szczęścia. Siedząc samotnie przez długie dni, próbowała rozwiązać zagadkę, co to takiego, ale nigdy nie doszła do sensownego rozwiązania.

Stanęła swoim zwyczajem przy łóżeczku Mikołaja i patrzyła, jak miarowo oddycha, a jego mała klatka piersiowa unosi się do góry, po czym opada. Już dawno temu złapała się na tym, że maksymalnie ją to rozczula. Nigdy, przenigdy nie spodziewała się, że taki mały człowiek może dać jej tyle szczęścia i spokoju.

Podeszła do niewielkiej komody i najciszej, jak potrafiła, wysunęła drugą od dołu szufladę. Wyciągnęła z niej jeansy, które nosiła jeszcze przed ciążą, i granatową koszulę. Na wstrzymanym oddechu,

już nie patrząc na leżącego w łóżeczku syna, wyszła z pokoju. Dopiero będąc na zewnątrz, odetchnęła.

Ubrała się bez pośpiechu, wiedząc, że ma jeszcze chwilę. Zrobiła herbatę i zjadła małą porcję płatków górskich ze słonecznikiem i deserem sojowym o smaku waniliowym, który jadła od niedawna po zdiagnozowaniu u siebie alergii na kazeinę, czyli białko w mleku.

Równo o ósmej usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Wejdz – powiedziała cicho i sekundę później drzwi zaczęły się otwierać. Wanda jeszcze na korytarzu zdjęła buty i kurtkę, aby nie robić nadmiernego hałasu w mieszkaniu.

– Cześć, Mikuś śpi? – spytała zdziwiona.

– Dał czadu w nocy, tak jakby się mścił, że dzisiaj wychodzę, więc teraz smacznie chrapie. Nawet nie zakwilił, jak weszłam po rzeczy.

– To faktycznie ma chłopak wyczucie. Może ma moce diabelskie. Nie wiem, czy słyszałaś, ale dziadek Robert podobno potrafił połączyć się z zaświatami.

– Super – skomentowała Dorota z uśmiechem i sięgnęła po puchową kurtkę z dużą stójką. Nie znosiła szalików, więc to był jej sposób na osłonięcie się przed wiatrem. – To zostawiam cię z tym mikroszatanem. Oby był dla ciebie łaskawszy niż dla swojej ukochanej mamusi.

– Wiesz, że ja też mam magiczne moce, więc damy radę. Nie martw się. Jakby coś się działo, to będę dzwonić. Obiecuję.

Pożegnały się i Dorota ruszyła do pracy. Specjalnie wybrała mieszkanie w tej okolicy, aby dystans na komendę mogła pokonywać na piechotę, nawet kilka razy dziennie. Dlatego pomimo panującego mrozu i grubej warstwy lodu, która powodowała, że część chodników wyglądała niczym lodowisko, już po siedmiu minutach spa-

cerku stanęła przed sporej wielkości budynkiem z dumnie prezentującym się napisem „Policja” na elewacji.

Do spotkania z komendantem miała jeszcze kilka minut, mimo to weszła do budynku i ruszyła do swojej minikanciapy, która została jej przydzielona. Wiedziała, że to tymczasowe miejsce, ale i tak czuła wdzięczność, że nie potraktowano jej po macoszemu. Dopiero zaczynała, a już miała swój ką, gdzie mogła zatopić się w myślach i dać pochłonąć sprawie, a czasami najzwyczajniej w świecie zjeść posiłek czy w ciszy i spokoju poprzeglądać bazy.

– Witaj – rzucił na jej widok komendant, który wyszedł z męskiej toalety, wycierając dłonie o spodnie.

Cezary Tarant pod względem wyglądu stanowił totalne przeciwieństwo jej poprzedniego przełożonego, Witolda Markowskiego. Bardzo szczupły, niewiele wyższy od niej, zawsze ogolony na łyso. Wyglądał niezwykle sympatycznie, chociaż z tego, co udało jej się już dowiedzieć, był konkretny i wymagający. Nie czepiał się bzdur, ale leni ganiał.

– Jeżeli jesteś gotowa, możemy zacząć już teraz – zaproponował.

– Dzień dobry. Oczywiście, możemy – odpowiedziała niepewnie i poczuła suchość w gardle oraz delikatny ucisk w żołądku.

Grzecznie podreptała za mężczyzną do gabinetu na końcu korytarza i zamknęła wielkie drewniane drzwi, które swoimi gabarytami dawały jasny sygnał, że za nimi siedzi ktoś ważny.

– Jak się czujesz? – spytał, gdy już usiedli.

Pomieszczenie wyglądało zaskakująco nijako. Po wielkich drzwiach każdy wchodzący spodziewał się przepychu, wiszących na ścianach proporczyków, odznaczeń czy jakichś pucharów, a gdy przekraczał próg, dopadało go zdziwienie, a wręcz zawód, bo ni-

czego takiego tam nie znajdował. Białe ściany, bez jakichkolwiek ozdób. Na środku tylko średniej wielkości biurko, a przy nim trzy siedziska. Dwa prostsze, dla odwiedzających, i jedno większe, dla komendanta, ale nawet jego siedzenie nie należało do tych ekskluzywnych, wielkich, tak często używanych przez prezesów, szefów czy najzwyczajniej w świecie osoby chcące podkreślić swoje miejsce w hierarchii.

– Chyba dobrze – odpowiedziała ciszej, niż planowała. – Powoli odnajduję się w nowym miejscu pracy...

Nie zdążyła skończyć, bo mężczyzna jej przerwał:

– Nie o to mi chodzi, pytam, jak ty się czujesz po porodzie. Wiem, że lekarz dał ci zielone światło, ale nie zawsze oznacza to stuprocentową chęć i sprawność.

– No, chyba się czuję dobrze – odpowiedziała wyraźnie zakłopotana.

– Chyba?

– Przepraszam, czuję się bardzo dobrze. Od dwóch miesięcy regularnie trenuję i praktycznie doszłam do formy sprzed ciąży. Wróciłam na strzelnicę i...

– Wysypiasz się?

– Hmm... – mruknęła zdziwiona tym zainteresowaniem. Z poprzednim szefem układało jej się niezwykle dobrze. Mimo to nigdy nie dopytywał o jej życie prywatne tak szczegółowo. – Czasami tak, ale chyba jak każdy.

– Oj, nie jak każdy. Pamiętam, jak moje dzieci były małe. Czasami zastanawiałem się, czy ich komuś nie oddać, bo mimo że to moja żona do nich wstawiała w nocy, ja wcale nie spałem dobrze. Przede wszystkim stresowałem się ich zdrowiem. Co chwilę ktoś mówił o tej

śmierci łóžeczkowej. Poza tym darły się niemiłosiernie. I jak normalnie córki, bo mam dwie, są różne jak dzień i noc, to w kwestii problemów sennyh to istne klony. A jeszcze gorszy był fakt, że dzieli je raptem półtora roku, więc jak jedna już się uspokoiła, to urodziła się druga i wszystko zaczęło się od początku, dlatego wiem, co to nieprzespane noce, i wiem, że są zdecydowanie inne niż te związane z pracą, kiedy ślęczysz nad dokumentami lub przeczesujesz teren. Te u boku dziecka są wyniszczające, z tych w pracy człowiek może czerpać satysfakcję i jak w końcu się wyśpi, to wie, że wykonał kawał dobrej roboty.

– Trochę tak, ale na szczęście Mikołaj czasami daje mi się wyśpać.

– Masz kogoś do pomocy? – dopytywał dalej, szczerze zainteresowany.

– Tak, bez tego by mnie tu nie było. – Uśmiechnęła się do szefa.

Trochę krępowała ją ta lawina pytań, ale właściwie ją rozumiała. Praca policjanta to wielka odpowiedzialność i powinno się ją powierzać osobom, które są w stanie ją udźwignąć i realizować z pełnym oddaniem.

– To dobrze, bez tego byłoby ci ciężko. Nie chcę być wścibski, ale mąż, partner nie pojawił się ostatnio?

– Nie – odpowiedziała obojętnym głosem.

– Rozumiem, dobra, nie przeciągajmy. To, że cieszę się, że jesteś tutaj, mówiłem przy każdym naszym spotkaniu. Od dawna szukam w całej Polsce ludzi takich jak ty, dlatego gdy w końcu udaje mi się znaleźć taką perelkę, jestem podekscytowany. Witka Markowskiego znam od lat, więc jak jeszcze on potwierdził twoje umiejętności, to znaczy, że można brać człowieka w ciemno.

Mężczyzna przerwał na chwilę i obrócił się ku stojącej za jego plecami komodzie, jedynemu poza biurkiem meblowi w pomieszczeniu. Otworzył zamkniętą na klucz pierwszą szufladę i wyciągnął z niej teczkę. Momentalnie po pokoju rozszedł się smród papierosów, który wywołał obrzydzenie, jak tylko dobiegł do nozdrzy Doroty, a porcja niedawno zjedzonych płatków przypomniawszy jej o sobie. Z bliżej nieokreślonych powodów od czasu porodu miała coś, co nazywała hiperwęchem. Każdy zapach odbierała ze wzmożoną siłą.

Gdy wchodziła do sklepu spożywczego, zakupy robiła dużo szybciej niż kiedyś, i nie dlatego, że pchany w wózku syn płakał i nie chciała, żeby wydarł się pośrodku sklepu, między półką z makaronem a konserwami. Tym się zbytnio nie przejmowała, wywołując zdziwienie i kąśliwe uwagi pod swoim adresem od przypadkowo spotkanych osób. Robiła tak, ponieważ otaczające ją zapachy zwyczajnie ją przytłaczały. Te ładne denerwowały Dorotę swoją mocą, ale zapach zgnilizny czy surowego mięsa powodował, że miała ochotę uciec, zostawiając wypchany do połowy wózek, i nie wracać już nigdy więcej w to miejsce. Ale sklepy nie były jeszcze najgorsze. Zdecydowanie pierwsze miejsce zajmowały publiczne miejsca takie jak banki, poczty, gdzie natknąć się można było na przeróżnych ludzi. Z reguły wśród tłumu trafiał się ktoś wydzielający nieprzyjemną woń ponad normę. Ktoś, kto nie był zaprzyjaźniony z codzienną higieną. Ktoś, kto nic nie robił sobie z tego, że koło niego stoi inny człowiek i nie do końca czuje się komfortowo, wachając jego przepoconą odzież i wydzielaną przez niego kwaśną woń potu.

Teraz, siedząc naprzeciwko swojego nowego szefa, mocno zaciskała ze zdenerwowania dłonie, aż pobieleły jej kłykcie. Już dwa razy

zdarzyło jej się zwymiotować pod wpływem jakiegoś zapachu i liczyła, że za chwilę nie nastąpi ten trzeci.

– Mam dla ciebie sprawę. – Uśmiechnął się do niej i podsunął wyjętą teczkę. – Wiem, że pewnie liczyłaś, że od razu rzucę cię na głęboką wodę, ale na to przyjdzie jeszcze czas, chociaż sprawa, którą chcę ci dać, nie jest prosta i pewnie dlatego leży od lat nierozwiązana.

– Archiwum X?

– Powiedzmy, że tak. Czasami wygrzebuję jedną z takich nierozwiązanych, aby poprawić statystyki.

Puścił do niej oczko i pochylił się nad aktami.

– Mam wprawę w takich sprawach.

– Wiem, chociaż nie tym się kierowałem. Chciałbym zobaczyć, jak pracujesz. Poznać twoje mocne i słabe strony. My tutaj znamy się jak łyse konie. Musimy. Odpowiedzialność jest ogromna i nie ma miejsca na brawurę. Poza tym nie ma ludzi od wszystkiego. Musimy się uzupełniać, tak aby wykorzystywać swoje zalety. A gdy dojdziemy do ściany, nie możemy się bać prosić o pomoc. Ja tutaj jestem takim menedżerem projektu, jak to kiedyś nazwał mój kolega. Najpierw się oburzyłem, bo brzmi to jakoś mało seksownie, ale taka jest prawda. Projektem są przestępstwa, a wy jesteście moimi podwładnymi. Muszę tak dobrać zespół, aby projekt został jak najlepiej zrealizowany i z reguły w jak najkrótszym czasie.

– Rozumiem – odpowiedziała Dorota Czerwińska i wyciągnęła rękę po teczkę.

– Sprawa jest intrygująca. Myślę, że ci się spodoba. Dam ci do pomocy Zosię Grzelczyk. Jest z nami od ośmiu lat. Świetna w terenie, potrafi wyciągnąć z każdego najbardziej skrywane tajemnice. Myślę,

że się zakumplujecie. Ma znaleźć dla ciebie czas, chociaż teraz ze swoim partnerem ma masę pracy. Znaleziono martwego księgowego, więc ma co robić, ale jak wiadomo, u nas nie jest jak w filmach. Wiele spraw trzeba ciągnąć równolegle, więc na pewno znajdzie dla ciebie chwilę.

– Cieszę się – odpowiedziała miło, chociaż miała nadzieję, że jej twarz nie zdradzi prawdziwych uczuć.

Obawiała się tej współpracy, i wcale nie dlatego, że kobieta nie zrobiła na niej dobrego pierwszego wrażenia. Ogolona na łyso, atletycznie zbudowana, przypominała bardziej mężczyznę. Zresztą gdy odezwała się podczas ich pierwszego spotkania, okazało się, że nie tylko wyglądem przypomina płęć przeciwną.

– Nowa? – rzuciła krótko, gdy Dorota pojawiła się po raz pierwszy na komendzie.

Czerwińska nie znosiła głupich pytań, dlatego na końcu języka już miała tekst: „Nie, pracuję tu od dziesięciu lat”, ale się powstrzymała. Zamiast tego grzecznie się przedstawiła, cały czas bacznie obserwując rozmówczynię.

Ale to nie miało znaczenia. Przyjaźni w pracy nie szukała, dlatego niezależnie od tego, czy zakumpluje się z koleżanką, czy nie, zamierzała wykonać powierzone jej zadanie najlepiej, jak potrafiła. Przede wszystkim obawiała się, czy odnajdzie się w pracy zespołowej. Czy będzie w stanie być tym trybikiem, który w połączeniu z innymi doprowadzi prowadzoną sprawę do rozwiązania.

Mając kolejny powód do zmartwień, pogadała jeszcze chwilę z przełożonym i pożegnała się. Chciała jak najszybciej usiąść do sprawy, której teczkę ścisnęła w dłoniach niczym skarb, i zapomnieć o wątpliwościach, choć te atakowały ją coraz bardziej.

Rozdział 5

Podróże pociągiem uwielbiała od zawsze, ale niestety życie nie dawało jej zbyt wielu możliwości do przemieszczania się tym środkiem transportu. Od kiedy Klaudia pamiętała, każde z rodziców miało swój samochód, a ona szybko dostała własny, który czekał na nią już na kilka miesięcy przed zdaniem kursu na prawo jazdy.

Swoim różowym mini cooperem jeździła wszędzie. Jak to mówiły jej koleżanki, Klaudioper potrafił rozkręcić każdą imprezę, dlatego gdy dostała zaproszenie do programu, którego nazwy cały czas nie poznała, nie była zdziwiona. Od zawsze wiedziała, że w końcu ktoś się na niej pozna i otworzy drzwi do świata szalonych imprez z osobami znanymi z magazynów i serwisów plotkarskich.

Gdy ten moment w końcu nadszedł, najchętniej zadzwoniłaby do wszystkich koleżanek, wstawiła relację na Instagram, a na YouTube nagrała filmik o tym, jak swoim uporem i wytrwałością doszła do celu – ale niestety nie mogła. Zamiast tego dzień przed wyjazdem zrobiła swój ulubiony makijaż zwany smokey eyes, pomalowała usta na czerwono, co niektórzy uważali za lekką przesadę, ustawiła kamerę i włączyła nagrywanie.

– Po ostatnim wpisie dotyczącym grubasów dostałam od was wiele wiadomości. Cieszę się, że większość osób tak jak ja uważa, że grubi ludzie są obrzydliwi. – W tym momencie wsunęła palec wskazujący lewej dłoni do ust i wydała dźwięk przypominający wymiotowanie. – To powinno być jakoś prawnie rozwiązane, może tacy lu-

dzie powinni płacić wyższe podatki. Zresztą nie tylko takie kary powinno się im wymierzać. Grubasy nie powinny chodzić po ulicach, bo obrzydzą nam życie. Gdy na przykład ja mam pryszczę, to nie eksponuję go, tylko usuwam lub nakładam odpowiednią ilość makiążu. Tak samo powinno być z tłuszczem. Powinno się zabronić pokazywania go, a osoby tłuste powinny być przymusowo leczone. Dlatego tłustym dupom mówię stanowcze NIE! – Ostatnie słowo wykrzyczała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła.

Zakończyła nagranie, obrobiła je i wrzuciła na swoje profile społecznościowe. Dobrze wiedziała, że poza pozytywnymi opiniami spadnie na nią lawina hejtu, którym zupełnie się nie przejmowała, tłumacząc sobie, że jest to poboczny koszt popularności.

Popularności, na którą pracowała długimi latami i którą przepłaciła wieloma wyrzeczeniami, hartowaniem się na siłowni, aby teraz w końcu móc siedzieć w pociągu, który wiozł ją do Przemyśla. Rodzicom powiedziała, że jedzie do koleżanki, ale zupełnie tego nie zarejestrowali. Od dawna przestali się interesować tym, co robi, w ciemno akceptując wszystkie jej pomysły. Czasami zastanawiała się, czy to efekt bezgranicznego zaufania, jakim ją obdarowywali, czy może ignorowania jej osoby. Zdecydowanie wolała, by chodziło o to pierwsze, ale czasami miała wrażenie, że nie tym się kierowali.

Gdy zdecydowała się nie iść na studia, a zamiast tego skupić się na karierze celebrytki, ojciec tylko rzucił:

– Taki rok przerwy pomiędzy liceum a studiami to dobry pomysł.

Zupełnie nie wyłapał, że jego córka w ogóle nie planuje kiedykolwiek pójść na jakąkolwiek uczelnię. W taki sposób podchodzili do wszystkiego, co robiła. Z udawanym entuzjazmem, ale brakiem zainteresowania szczegółami.

Teraz, siedząc w pociągu powoli wjeżdżającym na peron docelowej stacji, czuła pewnego rodzaju satysfakcję. Zupełnie nie wiedzieli, dokąd wyjechała. Gdy spróbują się z nią skontaktować, co uważała za raczej mało prawdopodobne, nie uda im się to. Zgodnie z wytycznymi już za moment miała pozbyć się swojego telefonu, czego obawiała się bardziej niż rozłąki z rodzicami. Bez nich radziła sobie doskonale, a bez telefonu nawet wizyta w toalecie była praktycznie niemożliwa. Gdy kilka tygodni temu aparat wypadł jej w samochodzie pod siedzenie i tego nie zauważyła, wpadła w panikę. Godzinę przeczesywała swój wynajmowany pokój, gdy przypomniała sobie, że nie przyniosła go z auta. Gdy ponownie wylądował w jej dłoniach, miała wrażenie, że wygrała w totka, dlatego rozstanie z nim uważała za bardzo wysoką cenę, ale miała nadzieję, że będzie warto.

Poprawiła kołnierz w jednoczęściowym kombinezonie w kolorze zgniłej zieleni i wstała. Jej bagaż, który jakiś miły pan pomógł wrzucić na górną półkę na początkowej stacji, cały czas tam spoczywał, ale w okolicy nie było nikogo. Nie mając pomysłu, jak sobie z tym poradzić, stanęła brudnymi butami na siedzeniach i szarpnęła za rączkę wielkiej i ciężkiej walizki. Z olbrzymim trudem wysunęła ją z półki i pociągnęła, nagle czując jej ciężar. Bagaż poleciał w dół z impetem, a gdy uderzył o ziemię, do uszu Klaudii doleciał dźwięk pękającego plastiku.

– Kurwa mać! – wrzasnęła i zeskoczyła na podłogę.

Podniosła walizkę, a widząc pęknięcie ciągnące się przez cały bok, kopnęła w nią, urywając jedno z kółeczek.

– Aaa! Ja pierdołę! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem i chwyciła za rączkę sponiewieranego bagażu.

– Coś się pani stało? – spytał mężczyzna, który nagle pojawił się w drzwiach przedziału.

– Tak. Mam popękaną walizkę. Gdy ktoś jest potrzebny do pomocy, to oczywiście nikogo nie ma. Teraz to może pan się przesunąć, bo nie zdążę wysiąść.

– To ostatnia stacja, więc ma pani chwilę – skomentował i przepuścił dziewczynę, która ruszyła do wyjścia, nie uraczywszy go nawet „dziękuję”.

Z powodu braku jednego kółka nie była w stanie pchać walizki, więc przeciągnęła ją do wyjścia z pociągu i stanęła przy drzwiach.

Gdy tylko jej bagaż dotknął ziemi, chwyciła za rączkę i z trudem pociągnęła go w kierunku wyjścia, do którego kierowały ją wiszące znaki. Szarpiąc się niemiłosiernie z poobijaną walizką, dotarła na parking przed budynkiem dworca PKP. Nie musiała długo czekać, gdy podszedł do niej elegancko ubrany mężczyzna:

– Pani Klaudia? – spytał z delikatnym uśmiechem.

Kiwnęła głową i popchnęła w jego kierunku bagaż.

Rozdział 6

– Proszę, nie kłóćmy się, to nie tak powinno wyglądać – powiedział Marek Kamiński ze skwaszoną miną i ruszył z małym Mikołajem na rękach do kuchni, dokąd dziarskim krokiem poszła Dorota.

– Zdaję sobie sprawę, że idealnie byłoby, gdyby dziecko wychowywało się w pełnej rodzinie, z dwójką ustatkowanych rodziców, a nie takich, co z bronią w kaburze biegają po mieście. Idealnie byłoby, gdyby świat wolny był od zwyrodnialców, a słońce świeciło przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. No i książki powinny zawsze kończyć się happy endem, a małe dziewczynki powinny wyrastać na mądre i skromne kobiety, ale tak nie jest. – Skończyła swój wywód, usiadła przy kuchennym stole, na którym stało nietknięte śniadanie przygotowane przez policjanta, i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej.

– Jak zwykle przesadzasz.

– A ty jak zwykle nie uwzględniasz w swoich planach moich potrzeb.

– Właśnie myślę o tobie i Mikołaju. Chyba lepiej byłoby, gdybym mieszkał obok was. Powinnaś docenić, że w ogóle spytałem cię o zdanie. Mogłem przecież powiedzieć ci po fakcie i zupełnie olać twoje przemyślenia. A tego nie zrobiłem, więc bądź dla mnie łagodna.

– A może powinieneś zostać tam, gdzie jesteś, i odwiedzać nas co dwa tygodnie, jak dotychczas? – rzuciła i sięgnęła po świeży chleb

kupiony w pobliskiej piekarni przez Marka, zupełnie nieprzypadkowo jej ulubiony. Mimo że cały czas stanowiła dla niego niedostępną twierdzę, on traktował ją z uwielbieniem, jakby nie dostrzegając jej oporu.

Najchętniej zjadłaby cały kawałek jednym kęsem, ale powstrzymała się. Nie chciała dawać mężczyźnie satysfakcji, że jak zwykle skutecznie się o nią zatroszczył. Kupił wszystko to, co lubiła, nie zominając przy tym o małym. Ponadto przywiózł torbę wypchaną po brzegi ubrankami, zabawkami, i to nie takimi pierwszymi lepszymi z marketu, ale rozwojowymi, rekomendowanymi przez specjalistów, wymagającymi trochę więcej zaangażowania.

– Ale ja nie chcę, by to tak wyglądało. W końcu dałaś mi powód, żeby chciało mi się wstawać z łóżka. Chcę być częścią waszego życia. Chcę patrzeć, jak Mikołaj stawia pierwsze kroki, jak się przewraca i znowu wstaje. Chcę usłyszeć jego pierwsze słowo, które, znając życie, będzie brzmieć „mama”. – Pogłaskał syna po główce okalanej ciemnymi włoskami i pocałował go w czoło. – Nie chcę być weekendowym ojcem. Wiem, że jak wrócisz na pełen etat do pracy, będziesz potrzebowała wsparcia. Wierzę, że Wanda jest świetną kobietą, ale może się zdarzyć, że nie będzie mogła lub zachoruje...

– I wtedy pojawisz się ty, cały na białło, i nas uratujesz – dokończyła z sarkazmem w głosie.

– Nie chcę nikogo ratować, chcę najzwyczajniej w świecie być częścią waszego życia. Proszę cię, daj mi na to szansę.

Dorota popatrzyła na stojącego dwa metry od niej mężczyznę i sama nie wiedziała, co zrobić. Z jednej strony potrzebowała pomocy. Czuła, że czasami nie wyrabia na zakrętach, a zwykłe czynności, takie jak kąpiel, stawały się misją niemożliwą. Z drugiej jednak

strony jej duma, a także potrzeba kontroli nad każdym aspektem życia powodowały, że nie chciała Marka w swoim życiu. Po burzach hormonalnych związanych z ciążą i po perturbacjach z ustalaniem ojcostwa w końcu marzyła o spokoju, a to wydawało jej się wiązać z samotnością. W jej życiu nie było miejsca na przedstawiciela płci męskiej innego niż Mikołaj.

– Boże, dlaczego to wszystko jest takie trudne? – spytała samą siebie.

– To nie jest aż takie trudne. Spójrz, ten mały chłopiec potrzebuje nas obojga. Tak po ludzku. Nie wiem, jak ty, ale ja nie miałem ojca.

Dorota podniosła głowę i spojrzała zdziwiona na Marka. Nigdy nie rozmawiali o swoich rodzinach. On nie wiedział o śmierci jej matki, a ona o jego rodzinie. Mężczyzna mówił dalej spokojnym głosem:

– Mój tata odszedł do innej. Wyprowadził się na drugi koniec Polski i dzwonił na święta Bożego Narodzenia i moje urodziny, myśląc, że tym załatwi swoje ojcowskie obowiązki. Wypytywał mnie o wszystko, co działo się od ostatniego telefonu. Nienawidziłem tych rozmów. Jakoś do dwunastego roku życia matka mnie do nich zmuszała, ale w końcu zrozumiała, że ja tego nie chcę. Bycie ojcem to proces. To bycie razem. To wspólny czas na błahostki, a nie sporadyczne wizyty. I ja chcę być prawdziwym ojcem. Takim, co pomaga, radzi, wspiera, ale oczywiście jak trzeba, to ustawi do pionu.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł, ale jeżeli tak bardzo chcesz, to możemy spróbować – wyszeptała, sama dziwiąc się swoim słowom.

– Dziękuję – odpowiedział serdecznie i delikatnie podrzucił chłopczyka, który od razu się uśmiechnął.

– A masz pomysł, gdzie będziesz pracował?

– Raczej nie powinno być z tym problemu. Mieszka tutaj sporo moich znajomych, niektórzy mają długi wdzięczności do spłacenia, więc w zaistniałej sytuacji chętnie je odbiorę. A jak twoja praca marzeń?

– Na razie jeszcze z marzeń nie jest, ale powoli się wdrażam. Poznają zespół.

– Spotkałaś już Grzelczyk?

– Zosię Grzelczyk? – spytała zdziwiona, robiąc sobie kanapkę z łososiem i papryką. – Znasz ją?

– Pewnie. To niesamowita kobieta.

– Aha, zaskakujesz mnie... – stwierdziła, ale nie skończyła, widząc jego karcący wzrok.

– Czy ty myślisz, że zachwyty nad kobietą może być spowodowany wyłącznie aspektami seksualnymi? Otóż zdziwię cię, bo nie. Zośka to superczłowiek, chociaż na początku sprawia odpychające wrażenie. Ja na przykład się jej bałem.

– Ja też. – Zaśmiała się na wspomnienie jej jedyne dotychczas spotkania z koleżanką.

– Ale obiecuję, jak ją poznasz, to się zakochasz.

– Aha – westchnęła, gryząc duży kęs kanapki, który wcisnęła sobie do ust.

– Jest naprawdę ciepłą osobą...

– Nie wygląda – przerwała mu i sięgnęła po kolejną pajdę chleba.

– To taka maska. Dziewczyna dużo przeszła.

– Chyba jak większość.

– Tylko u niej było to sporego kalibru. – Mężczyzna usiadł naprzeciwko Doroty i obrócił Mikołaja w jej stronę. – Może nie powinienem tego mówić, ale tak naprawdę wszyscy o tym wiedzą. Matka Zosi zabiła jej ojca.

– O ja pier...

– Nie przy dziecku. – Marek podniósł palec i pogroził jej ze srogą miną.

– To faktycznie niefajnie.

– Z tego, co mi kiedyś opowiedziała przy piwie, to ojciec bił matkę latami, a ta nigdy się nie zdradziła. Ukrywała to przed dziećmi, licząc, że kiedyś mu przejdzie. Tylko że jemu w pewnym momencie nie wystarczył jeden worek do bicia. Gdy podniósł rękę na brata Zosi, czara goryczy się przelała. Kobieta pierwszy raz próbowała się bronić przed natarczywym i pijanym mężczyzną. Sięgnęła po leżący obok sekator, którym chwilę wcześniej przycinała gałęzie, i wbiła mu w bok klatki piersiowej. Od razu zadzwoniła po pogotowie, ale chwilę po przyjeździe medyków zmarł. Trafiła do więzienia na dziesięć lat. W tym czasie to Zosia dbała o rodzinę, bo miała już skończone osiemnaście lat. Chodziła do szkoły, pracowała, zajmowała się domem. Z tego, co opowiadała, bliscy pomagali, jak mogli, zresztą rodzeństwo też, bo gdyby to nie wypaliło, młodsze dzieciaki poszłyby do rodzin zastępczych lub domu dziecka, a tego nie chcieli.

– Faktycznie smutna historia. Ale i tak się jej boję...

– Zapewniam cię, gdy poznasz ją lepiej, polubisz. I koniecznie pozdrów Zośkę ode mnie. Na pewno miło mnie wspomina – rzucił i wstał, podnosząc małego w stronę sufitu.

Uśmiech na twarzy syna powodował, że Dorota czuła, że może bliskość Marka wyjdzie im na dobre.

Rozdział 7

Dotychczas wszystko przebiegało dokładnie tak, jak było w wytycznych, które Gustaw otrzymał od tajemniczych organizatorów... zabawy? Programu? Jednak informacje, które dostał, nie tłumaczyły dokładnie, w czym miał brać udział.

Swoim zwyczajem przeszukał internet, próbując znaleźć podobne wydarzenia, nawet w innych krajach, ale na nic nie trafił. Trochę go to denerwowało, bo zawsze lubił wszystko wiedzieć. Brak informacji powodował, że zaczynał się stresować. Gdy był małym chłopakiem, przed świętami praktycznie zawsze po szkole przekopywał cały dom w poszukiwaniu prezentów, które w Wigilię lądowały pod choinką. Nawet nie chodziło o to, że kierowała nim ciekawość. Nie, on po prostu uwielbiał wszystko wiedzieć.

Od kiedy zaczął orientować się w życiu rodzinnym, podsłuchiwanie stało się jego hobby, pasją, ale też obsesją. Podsłuchiwał ludzi wszędzie. W szkole, w sklepach, u lekarza. Ciekawsze rzeczy spisywał sobie w kajeciku, który zawsze nosił ze sobą. Początkowo tego nie wykorzystywał, bo najzwyczajniej w świecie nie miał jak, z czasem jednak życie samo mu przyniosło zastosowanie.

– Nigdzie nie pójdziesz! – wykrzyczał ojciec, gdy dwunastoletni wówczas Gustaw szykował się do wyjścia z domu mimo wcześniejszej kłótni o nieposprzątany pokój i kolejną jedynekę ze sprawdzianu.
– Masz szlaban do czasu, aż poprawisz oceny w szkole i zaczniesz wykonywać swoje domowe obowiązki.

Przez chwilę chłopiec stał smutny. Umówił się z kolegami, że wybiorą się do parku i pojeżdżą na deskorolkach. Nie miał własnej, ale jeden ze znajomych obiecał pożyczyć mu swoją. Nerwowo kopał leżący na ziemi rozpięty plecak szkolny, gdy jego wzrok spoczął na tkwiącym w bocznej kieszeni zielonym zeszytku, w którym zapisywał swoje odkrycia.

– Pójdę – powiedział cicho.

– Nie, nigdzie nie pójdziesz.

– Pójdę – powiedział już głośniej i podniósł wzrok na ojca, który patrzył na syna zdziwiony.

– Chcesz, żebym jeszcze wydłużył ci karę? Nie ma problemu. Będziesz siedział w domu tak długo, aż stwierdzę, że nabrałeś rozumu.

– Raczej nie. Jak mnie nie puścisz teraz, powiem mamie, że już niedługo będziesz bezrobotny.

– Co?! – krzyknął zdezorientowany. – Skąd ty...? Przecież ja... – jąkał się mężczyzna, a na jego czole pojawiła się mała kropelka potu.

– Nieważne skąd, ważne, że wiem i nie zawaham się tego użyć, więc...

Uśmiechnął się do taty, włożył buty i wyszedł, zostawiając go na środku korytarza ze zdziwioną miną. Od tamtego czasu wykorzystywał to nie raz. O relacje z ojcem nie dbał – nigdy nie były dobre i sprowadzały się do wydawania przez niego poleceń dotyczących posprzątania pokoju, nauki czy innych średnio miłych rzeczy. Matka nigdy nie dowiedziała się o jego małych szantażach, co było Gustawowi bardzo na rękę. Po pierwsze, nie potrafiłby zrobić jej czegoś takiego, za bardzo ją kochał. Po drugie, ojciec nigdy się nie wygadał. Powód był prosty. Zawsze dotyczyło to tajemnic, o których mama chłopca nie miała się nigdy dowiedzieć.

Teraz, lekko zdenerwowany brakiem informacji o czekającym go projekcie, ruszył za mężczyzną, który podszedł do niego, gdy tylko wszedł na halę główną dworca kolejowego w Przemyślu. Kiwnął tylko głową, słysząc swoje imię, i grzecznie podreptał do zaparkowanego przed budynkiem czarnego SUV-a z przyciemnianymi szybami.

Wsiadł na tylną kanapę za kierowcą i bacznie przyglądał się otoczeniu. Nigdy nie był w Przemyślu, więc zupełnie nie orientował się w okolicy. Z rodzicami wyjeżdżali zwykle nad polskie morze, do Władysławowa, a w ferie zimowe do Zakopanego, dlatego inne destynacje pojawiały się niezwykle rzadko, bo rodzice nie dysponowali większą liczbą dni urlopowych.

– Poproszę – powiedział mężczyzna i wyciągnął dłoń w jego stronę.

Gustaw dokładnie wiedział, co to oznacza. W wytycznych jasno i wyraźnie napisano, że jak tylko wsiądą do samochodu, będą musieli oddać telefony, tablety, komputery. Niespiesznie wyciągnął swoją komórkę, którą kupił zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Zrobił to za pierwsze zarobione w sieci pieniądze, z czego był niezwykle dumny.

– Tablet? – spytał mężczyzna, odkładając telefon na siedzenie obok.

– Nie mam.

– Komputer?

– Zostawiłem w domu.

– Żadnej dodatkowej elektroniki?

– Nic, nie mam – powiedział nie do końca szczerze, ale jak zwykle liczył, że drobne minięcie się z prawdą nikomu nie zaszkodzi i nie zostanie wyłapane.

Mężczyzna kiwnął głową, nacisnął guzik i samochód odpalił. Powoli wytoczyli się z parkingu, przejechali przez zakorkowane o tej godzinie miasto i ruszyli w nieznane.

Rozdział 8

– Usiądź – rzuciła Zofia Grzelczyk i wskazała ręką na krzesło stojące przy jej biurku.

Kobieta tego dnia włożyła białą taliowaną koszulkę z długimi rękawami, która mocno opinała się jej na bicepsach i podkreślała biust. Dorota Czerwińska usiadła we wskazanym miejscu i obserwowała koleżankę, która szukała czegoś w szufladzie, głośno przerzucając jej zawartość.

– Daj mi sekundę. Jak zwykle mam taki bałagan, że nic nie mogę znaleźć. Byłam w stanie nauczyć się na poziomie średnio zaawansowanym japońskiego, ale to, że trzeba odkładać rzeczy na miejsce, jakoś nie chce wejść mi do głowy – zaśmiała się i otworzyła kolejną szufladę. – O, jest! – krzyknęła, wyjęła papierową teczkę i usiadła naprzeciwko. – Przepraszam za mój brak profesjonalizmu, ale jestem trochę nieswoja. Mój partner wczoraj miał wypadek samochodowy, jakiś debil w niego wjechał. Ma złamaną nogę, śruby i raczej żadnych perspektyw na powrót do służby. A jeżeli nawet, to raczej za biurko.

– Współczuję – powiedziała szczerze Dorota.

Słyszała na korytarzu rozmowę dwóch funkcjonariuszy, którzy opowiadali sobie o jakimś gościu, którego samochód został wręcz zgnieciony przez autobus. Podobno pełen pasażerów bus wpadł w poślizg i na swojej drodze spotkał samochód policjanta, którego wcisnął w ścianę budynku mieszkalnego. Gdy przyjechało pogotowie

i straż pożarna, wszyscy byli przygotowani na wyciąganie trupa, dlatego stan partnera Zofii Grzelczyk mimo wszystko można było uznać za dobry.

– Dzięki. Powinnam być jednak bardziej profesjonalna. Wiem, że się denerwujesz. Ja dobrze pamiętam swój początek. Dwa razy wymiotowałam w łazience. Wydaje mi się, że gadałam straszne głupstwa, więc tym bardziej po swoich przejściach powinienam potraktować cię lepiej, a chyba jak zwykle byłam zołą. Tak mam, jak kogoś nie znam.

– Nie ma problemu. Nie jestem laleczką z porcelany, która rozpadnie się z byle powodu, więc nie stresuj się.

– I świetnie, takie kobiety lubię! – rzuciła euforycznie, a po chwili spoważniała i dodała: – Ale nie w taki sposób, żeby nie było, że mi się podobasz. Ale dość tego pieprzenia o głupotach. Jest sprawa. Myślę, że w sam raz na rozruch i na początek naszej współpracy.

– Współpracy? – powtórzyła zdziwiona Czerwińska.

– Tak, szefuńcio nie powiedział ci, że będziemy partnerkami? Na pierwszy rzut sprawa księgowego.

– Aha, rozmawiałam z nim, ale mowa była o zupełnie innej sprawie – wydukała.

Nie miała nic przeciwko, ale pracując w suchodolskiej policji, zawsze była swoim sterem, żeglarzem i okrętem. Jakoś tak wyszło, że od lat nie miała nikogo na stałe przy swoim boku. Decydując się na pracę w stolicy, wiedziała, że taka sytuacja prędzej czy później może się wydarzyć, ale gdy siedząca naprzeciwko niej dziewczyna o wyglądzie młodocianej buntowniczkii, która przesadziła z anabolikami, powiedziała jej o tym, poczuła lekki dyskomfort. Wolałaby mieć trochę czasu na zaakceptowanie tego. Żadnych ruchów wykonać nie mia-

łaby szansy, bo jej pozycja była żadna. Wszystko działało zgodnie z zasadą „rób, co każą, nie wychylaj się albo spadaj”.

– Ach, mówisz o tej starej sprawie? – spytała Grzelczyk. – Nie, szef powiedział, że masz odłożyć ją na bok, a teraz mamy się zająć sprawą, którą dostałam z Kamilem. – Widząc zdziwioną minę Doroty, czym prędzej dorzuciła: – Moim byłym w zaistniałej sytuacji partnerem.

– Rozumiem – westchnęła.

– Jak widzisz, jesteśmy na siebie skazane. Początki są zazwyczaj ciężkie, ale wierzę, że się dogadamy. Jak pewnie zauważyłaś, jestem bałaganiarą, więc czasami trzeba mnie pilnować, ale nie lubię spóźnialstwa, narzekania i obijania się.

– To damy radę – skomentowała z uśmiechem Dorota i poprawiła kucyk.

Niedawno porzuciła chodzenie w rozpuszczonych włosach. Przy małym dziecku niemożliwe było utrzymanie ich w odpowiedniej kondycji, poza tym w wersji rozpuszczonej stanowiły świetną zabawkę. Młody raz na jakiś czas z zaskoczenia chwycił jej kosmyki i z całej siły ciągnął, wrywając kępkę włosów wraz z cebulkami.

– Na pewno. Ale do rzeczy. Trzy dni temu do jednego z warszawskich biurowców wezwano karetkę. Po przyjeździe ekipy okazało się, że nie mają co robić, ponieważ człowiek już nie żył. Wezwano mnie i Kamila. Ofiarą był jeden z pracowników. Jego ciało odkryła sekretarka. Gdy przyszła do pracy, zignorowała fakt, że samochód denata stoi na parkingu dokładnie w tym samym miejscu co dzień wcześniej. Tego dnia planował przyjść później, więc teoretycznie chwilę przed ósmą nie powinno go tam być. Zaparzyła kawę dla prezesa, który równo o ósmej przyjeżdża do siedziby swojej firmy.

Chwilę z nim pogadała o planach na najbliższe dni i ruszyła do pracy. Uporządkowała papiery, wysłała kilka maili i ruszyła na, jak to nazwała, „tour” po biurze. Ma taki zwyczaj, że rano zagaduje po kolei pracowników i pyta, czy czegoś nie potrzebują, czy wszystko działa, czy mają papier i tym podobne rzeczy. Jak to nam powiedziała, lubi, gdy wszyscy czują się zaopiekowani, niezależnie od pełnionego stanowiska, bo wtedy lepiej pracują. Są wydajniejsi i bardziej zadowoleni. Gdy doszła do ostatniego przeszklonego boksu, ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma tam księgowego, którego auto stało przed budynkiem, a światło się pali. Dopiero gdy podeszła bliżej, zauważyła go leżącego z drugiej strony biurka. Nie ruszał się. Od razu zadzwoniła po karetkę. Jeden z pracowników próbował robić sztuczne oddychanie, ale nie miało to większego sensu. Mężczyzna nie żył.

– Rozumiem, że nie umarł z przyczyn naturalnych?

– Dokładnie. Obdukcja ujawniła, że przyczyną śmierci były urazy głowy. Ktoś uderzył go, używając bliżej nieokreślonego przedmiotu, o nietypowym kształcie... – W tym momencie kobieta sięgnęła po teczkę, znalazła odpowiedni fragment i przeczytała: – „Ciężki przedmiot o obłym kształcie, jednakże zwężonym zakończeniu”. I powiem szczerze, że nie wiem, co to może być. Dodatkowo patolog ustalił, że zgon nastąpił między dwudziestą trzecią a drugą w nocy.

– Czyli gość został w pracy dłużej?

– Tak, ale nikt tego nie zauważył. Jest jeszcze kilka rzeczy na razie niewytłumaczonych. Po pierwsze, w jego kajecie ktoś napisał „zwyrodnialcy muszą ginąć”. Niestety zrobił to w rękawiczkach i nie zostawił śladu, a dla utrudnienia napisał to prawdopodobnie lewą ręką lub zaciśniętą pięścią, bo pismo jest bardzo nienaturalne.

– Robi się dziwnie. Może to jakaś zemsta.

– Może, albo ktoś chce tak upozorować morderstwo, żeby ukryć prawdziwy motyw.

– A wiadomo, czy coś zginęło?

– Sekretarka twierdzi, że nie. Biuro nie wyglądało na przeszukiwane. Wszystko leżało na swoim miejscu.

– A może miał zatargi z kimś z biura? – dopytywała zainteresowana Dorota, cały czas przeglądając zdjęcia z miejsca zbrodni, pokazujące ofiarę i otoczenie.

Zamordowany leżał na brzuchu ze zwróconą w prawo głową. Otwarte oczy zionęły pustką. Czaszka została tak zmasakrowana, że widać było to, co ukrywa się pod twardą skorupą. Pierwszy wniosek był jasny i niepodważalny. Osoba, która go zaatakowała, miała w sobie niewyobrażalne pokłady agresji, które przelała właśnie na ofiarę.

– I tutaj pojawia się pewien problem, mężczyzna pracował w tej firmie raptem dwa miesiące. Okazało się, że większość pracowników nie znała go zbyt dobrze. Poza przedstawieniem się nikt oprócz sekretarki i prezesa z nim nie rozmawiał. Faceta zatrudniono na pół etatu, poza tym mógł pracować w dowolnych godzinach i często robił to zdalnie. Oczywiście prześwietliliśmy gościa pod kątem jakichś przestępstw na tle seksualnym, przemocy domowej i tym podobne, i nic. Z tego, co udało się ustalić, był singlem. Dwa razy w jakichś dłuższych związkach. Udało mi się porozmawiać z jedną z byłych parterek, powiedziała, że był wręcz za spokojny, a ona potrzebowała jakichś emocji, życia, a nie wiecznego siedzenia na kanapie, oglądania seriali. Chciała wychodzić z domu, raz na jakiś czas pójść na piwo ze znajomymi albo chociaż do kina, nie mówiąc już o jakimś wyjeździe. Ale mężczyzna był nieubłagany i nie godził się na żadne takie rzeczy. Żeby nie było, nie stopował jej. Po prostu nie miał ochoty brać w tym

udziału. Do drugiej partnerki jeszcze nie mam kontaktu. Mama zamordowanego ma ją namierzyć i przekazać mi namiary. Biedna kobieta. Niedawno pochowała męża po ciężkiej chorobie, a teraz musi organizować pogrzeb syna. Serce mi się krajało, gdy na nią patrzyłam – powiedziała Zofia Grzelczyk i sięgnęła po stojącą na biurku butelkę wody gazowanej. Pewnym ruchem odkręciła zakrętkę i upiła spory łyk.

Rozdział 9

„Selling Sunset”, „Żony z Beverly Hills”... Mogłaby bez końca wymieniać programy, które oglądała wielokrotnie, czując wtedy zawsze lekkie ukłucie zazdrości, dlatego gdy zajechali pod ukryty w lesie dom, aż podskoczyła z ekscytacji.

– Ja pierdzielę... – powiedziała Patrycja sama do siebie, nie licząc na jakąkolwiek rozmowę z kierowcą, który od momentu wyjazdu spod dworca nie odezwał się ani słowem, mimo że trzykrotnie próbowała nawiązać dialog.

– Nigdy nie byłam w Przemyślu. Są tu jakieś fajne imprezownie?
– rzuciła, gdy jechali powoli przez miasto.

Nigdy nie dotarła tak daleko na południowy wschód, dlatego chciała dowiedzieć się czegokolwiek. A ponieważ puby i kluby zdecydowanie były jej ulubionymi miejscami do spędzania czasu, pytanie, które skierowała do kierowcy, nie powinno dziwić. Mężczyzna milczał jednak jak grób.

– Długo będziemy jechać? – spytała zniecierpliwiona po godzinie jazdy.

– Czy kiedyś w końcu dojedziemy? – rzuciła trzy sekundy przed tym, jak zajechali pod wielką, metalową bramę. Chwilę trwało, zanim się otworzyła, a oni wjechali na teren posesji wyłożonym eleganckimi kamieniami podjazdem i stanęli przed rezydencją.

Dziewczyna nie odezwała się już ani słowem. Wyszła powoli z auta i stanęła jak wryta. Dom może nie wyglądał jak te, w których

mieszkały lub które sprzedawały bohaterki jej ulubionych programów, ale robił piorunujące wrażenie.

Wiedziała, że jej matce zdecydowanie nie przypadłby do gustu, ponieważ, jak to kiedyś powiedziała, „krową nie jest i w stodole mieszkać by nie chciała”, ale Patrycji ten styl zdecydowanie pasował. Dom wyglądał niezwykle nowocześnie, a to przez połączenie dużych szklanych paneli z drewnianą elewacją. Ale nie tylko sam dom robił wrażenie. Rozejrzała się dookoła. Ogród wyglądał tak, jakby wyszedł spod ręki profesjonalisty najwyższych lotów. Każda roślinka miała nienaganny kształt, jakby ktoś pielęgnował ją przy użyciu linijki i trymera. Mimo zimowej pory trawniki zostały przez kogoś odśnieżone i dawały po oczach intensywnym zielonym kolorem, a nawet z daleka widziała, że każde źdźbło jest tej samej długości. Ale chyba największe wrażenie robił gęsty, utworzony z tui mur, który mierzył co najmniej trzy metry wysokości i tworzył nieprzekraczalną zaporę dla wścibskich.

– Tutaj mam mieszkać? – Spojrzała na mężczyznę, który wyciągał walizkę. Ten swoim zwyczajem nic nie odpowiedział, tylko nieznacznie kiwnął potwierdzająco głową. – Ale czad! – krzyknęła dziewczyna i pobiegła wzdłuż budynku.

Gdy dotarła do zakrętu, stanęła jak zamurowana. W ogrodzie znajdował się sporych rozmiarów basen. Nie taki, jak czasami budowali sobie ludzie w ogródkach, ale taki, gdzie śmiało można było popływać. Przy nim ustawiono równo leżaki i dwie wielkie parasolki. Wszystko było idealnie przygotowane, jakby czekało na gości, zupełnie ignorując panujące na dworze minusowe temperatury. Choć możliwość pływania była mało prawdopodobna, Patrycja poczuła niepokój.

Od kiedy pamiętała, bała się wody. Bała się basenów, jezior, mórz, rzek. Wszędzie, gdzie było głębiej niż do kolan, dostawała jakiegoś paraliżu, a przed oczami stawała jej scena z dzieciństwa.

Pojechała wtedy z tatą i siostrą nad jezioro. Uwielbiała te ich wypadki. Mieszkali wówczas na Kaszubach i miała wrażenie, że wszędzie dookoła znajdowały się jakieś akwenty.

Tego dnia wybrali się we trójkę, mama nie mogła, ale Patrycja nie pamiętała dlaczego. Rozłożyli koc na małej górcie. Ona z siostrą się rozebrały, bo swoim zwyczajem stroje kąpielowe założyły już w domu, aby nie musieć później się przebierać, chowając po krzakach. Siostra miała pięć lat, więc założyła pływaczki. Nie czekając na pozwolenie taty, pobiegły na pomost i zaczęły z niego skakać, śmiejąc się i przekrzykując.

W pewnym momencie siostrze zsunął się jeden z nadmuchiwanym rękawów i zaczął dryfować na środek jeziora. Najgorsze w tym wszystkim było to, że mała dziewczynka nie wróciła na brzeg, gdzie byłyby bezpieczne, a zamiast tego ruszyła w pogoń. Patrycja rozejrzała się nerwowo w poszukiwaniu ojca. Niestety nigdzie go nie znalazła, dlatego niewiele myśląc, wskoczyła do wody i ruszyła za siostrą. Pływać bez dodatkowego sprzętu nauczyła się rok wcześniej, dlatego w jej mniemaniu miała tę umiejętność opanowaną w stopniu zadowalającym. Powoli zbliżała się do siostry, która machając nieumiejętnie rękoma i nogami, bardziej generowała wokół siebie zamęt, niż płynęła do przodu. W pewnym momencie poczuła coś na swojej nodze. Przestraszyła się i zachłysnęła. Niewiele z tego pamiętała. We wspomnieniach pojawiały się przebliski. Twierdziła, że widziała unoszące się w stronę powierzchni bąbelki, a później nastąpiła ciemność.

Gdy się ocknęła, kucał nad nią tata i jakiś mężczyzna, którego nie znała. Przy jej nogach klęczała siostra, płacząc wniebogłose. Okazało się, że tata skoczył do łazienki w pobliskiej knajpce. Tak bardzo musiał pójść za potrzebą, że nie zdążył krzyknąć córkom, żeby nie wchodziły do wody bez niego. Gdy wrócił, Patrycję wyciągał z wody jakiś człowiek, jak się okazało – student medycyny, który podstawy pierwszej pomocy miał na szczęście w małym palcu.

Historia skończyła się happy endem, ale został paniczny strach przed wodą, którego nigdy nie udało jej się pokonać, mimo wielokrotnych prób, podejmowanych zarówno podczas wyjazdów z rodziną, jak i ze znajomymi. W asekuracji siostry i brata weszła parę razy do pasa, ale trzymali ją za ręce, stojąc po dwóch stronach, a ona płakała. Próbowwała przełamać swoje lęki z instruktorem pływania, a nawet przepracować traumę z psychologiem – i nic. Paralizujący strach pozostał, dlatego na widok zachwycającego dla większości basenu nogi się pod nią ugięły.

Gdy dostała tajemniczy list, a później wytyczne, od razu pomyślała o różnych zadaniach, które dostają w programach typu Big Brother uczestnicy, i momentalnie pojawiły się wątpliwości, co by zrobiła, gdyby trzeba było zrobić coś w wodzie. Całej reszty się nie lękała. Nie bała się wysokości, ciemności, owadów czy dziwnego jedzenia. Tylko woda ją przerażała.

Prezentowania się przed kamerą również zupełnie się nie obawiała. Od pięciu lat kamera, a dokładniej aparat telefonu komórkowego nie opuszczał jej nawet na moment. Gdy budziła się rano, pierwsze, co robiła, to sprawdzenie statystyk. Interesował ją głównie Instagram. To na tej platformie czuła się jak ryba w wodzie. Resztę traktowała po macoszemu, jako przykry obowiązek.

Zasięgi, zaangażowanie, liczba obserwujących. To te wskaźniki decydowały, czy miała dobry, czy zły dzień.

– Znowu spadli ci ludzie? – próbowała nieudolnie zagadywać matka.

– Nie ludzie, a followersi – poprawiała nie wiadomo który raz Patrycja.

Matka zupełnie nie rozumiała sensu tego, co robiła jej córka. Mimo to ta nie przejmowała się tym i codziennie od rana prezentowała światu to, co robi. Jak się przeciąga, jak się maluje i nakłada na twarz kolejne warstwy makijażu, oczywiście używając do tego specjalnych lamp i statywu do filmów, co ledwo mieściło się na biurku. Niestety na książki ze studiów nie było już miejsca, dlatego niechciane wylądowały na podłodze. Żeby matka się nie czepiała, Patrycja przykryła je kocami i poduszkami, choć ta i tak raz na jakiś czas dopytywała o studia, których temat pojawiał się coraz rzadziej w ich rozmowach.

– Nie masz w tym tygodniu zajęć?

– Ostatnio mam prawie same wykłady, a na nie nie muszę chodzić – skłamała.

Od ponad miesiąca nie pojawiła się na uczelni i każdego dnia liczyła się z tym, że do domu przyjdzie list z informacją o wykreśleniu jej z listy studentów i wpadnie w nieodpowiednie ręce, czyli jednego z rodziców.

– Dziwne czasy. Gdy ja studiowałam, musiałam chodzić na wszystko, inaczej nie miałam szansy zaliczyć roku. Wykładowcy opowiadali takie rzeczy, że musiałabym przeczytać chyba wszystkie książki świata. Dlatego każdy brał udział we wszystkich wykładach, nawet jak dopadła go jakaś choroba. Tylko wizyta w szpitalu powo-

dowała, że ktoś rezygnował. Ale też zdarzały się szalone przypadki. Raz kolega przyjechał prosto ze szpitala. Złamał nogę i był w gipsie od pachwiny po kostkę. Lekarz kazał jechać do domu i odpoczywać. On jednak nie posłuchał go i wylądował na wykładzie. Pamiętam, jak koledzy wnosili go na aulę, bo jeszcze nie miał kul.

– Mamo, teraz są zupełnie inne czasy. Mamy grupy na Messengerze, gdzie dzielimy się notatkami. Czasami nawet pojawiają się nagrania z wykładów. Niby nie można tego robić, ale przecież nikt tego nie sprzedaje, nie wykorzystuje tajnej wiedzy wykładowców w jakis niecnym sposób.

Takie rozmowy pojawiały się coraz rzadziej, ku uciesze Patrycji. Dzięki temu mogła skupić się na realizacji swojej pasji. Po porannych filmikach przychodził czas na aspekt taneczny. Codziennie wrzucała swoje płyty do któregoś z aktualnych hitów. Nigdy nie chodziła na tańce, mimo że bardzo chciała. Rodzice ubzdurali sobie, że będzie kolejną Radwańską i wysyłali ją na zajęcia tenisa trzy, a czasami nawet i pięć razy w tygodniu. Lubiła je, grała z pasją. Nie miała jednak talentu, ale trener powtarzał, że nadgania pracowitością i kiedyś coś osiągnie. Może i tak by było, ale nie miała szansy się przekonać. Spadła ze schodów podczas imprezy zorganizowanej w czasie nieobecności rodziców, dlatego musiała zrezygnować z tenisa. Staw skokowy stracił swoją mobilność i obciążające treningi przestały być możliwe.

Jedyne, czego nie lubiła w tenisie, to fakt, że zabierał jej czas, który mogła przeznaczyć na inne aktywności, jak choćby ulubiony taniec. Była przekonana, że ma te kocie ruchy. Oglądała inne influencerki, powtarzała ich sposób poruszania się, aż doszła do wniosku, że też tak potrafi. Zaczęła publikować swoje wygibasy, a przyby-

wająca liczba komentarzy i polubień dawała jej kopa do kręcenia kolejnych, aż stało się to jej uzależnieniem.

Kolejnym stałym punktem jej obecności w sieci było udzielanie się na stronach znanych i popularnych osób. Uwielbiała wkładać przysłowiowy kij w mrowisko. Zaczepiała, prowokowała. Efekty? Lawina odpowiedzi pod jej komentarzami, dzieląca ludzi na wyraźne obozy. Czasami stawała się najgorszą na świecie ignorantką, debilką czy bezmózgą amebą, jak to pisali oponenti. Innym razem wielbiono ją i nazywano głosem rozsądku, tą, co powiedziała znaną wszystkim prawdę, której nikt nie miał jaj wyrazić głośno. Niezależnie od wszystkiego jej strategia przynosiła efekty, a statystyki poprawiały się z tygodnia na tydzień. No, chyba że pan Zuckerberg zaczynał grzebać w algorytmach. Wtedy wszystko leciało na łeb na szyję, ale, co pocieszające, dotyczyło to również jej konkurencji, jak nazywała każdego posiadacza konta na platformach społecznościowych.

Pod wieczór leciała już totalnym freestyle'em. Pisała post o tym, co ją danego dnia frasowało. Czasami naskrobała coś odnośnie do sytuacji, która ją spotkała w sklepie, czy opisywała coś, co gdzieś obejrzała. Raz miała pomysł na pisanie recenzji, ale zrezygnowała z tego, bo wymagałoby to czytania książek, na co najzwyczajniej w świecie nie miała czasu. Wszystkie podejmowane przez nią w ciągu dnia działania były tak absorbujące i męczące, że gdy około dwudziestej odkładała telefon, czuła zmęczenie i nie wyobrażała sobie, że w międzyczasie miałyby pójść na uczelnię, uczyć się czy pójść do pracy. Zresztą to, co robiła, uznawała za pracę. Pensji jeszcze nie dostawała, ale już trzy razy zdarzyła jej się współpraca barterowa. Raz od jednej z platform sprzedażowych dostała bon na zakupy ich ubrań, a także kod rabatowy dla obserwujących jej konto. Innym ra-

zem dostała paczkę ubrań sportowych, a do tego dokładne wytyczne, co i kiedy ma opublikować. Zrobiła to i w gratisie dodała jedną rolkę i oznaczenie w poście, licząc na kolejne, może już odpłatne zlecenie. Ostatnio przysłano jej też zestaw kosmetyków, które nie były najlepszej jakości, a jedna z pomadek śmierdziała. Mimo to wywiązała się z ustaleń, chcąc pokazać innym potencjalnym zleceniodawcom, że jest gotową do współpracy influencerką.

Teraz jednak, patrząc na imponujący dom, do którego podwiózł ją prywatny kierowca, czuła, że jej cała praca, cały trud, który wkładała w swoją obecność w internecie, w końcu się zwraca, a ona jest coraz bliżej swojego wymarzonego celu. Bycia sławną.

Rozdział 10

Na ten moment czekała od kilku miesięcy, ale gdy w końcu nadszedł, zaczęła mieć wątpliwości, czy powinna. Mikołaj miał raptem pięć miesięcy. Potrzebował jej bliskości, ciepła, zapachu jej skóry. Noszenia, bujania albo najzwyczajniejszego w świecie leżenia na jej brzuchu. Niestety na mleko nie mógł liczyć, mimo że zrobiła wszystko, aby mu je dawać. Laktatory, herbatki, masaże nic nie dawały.

Wybrała się nawet do specjalnej doradczynie do spraw laktacji, ta jednak wywołała efekt odwrotny od zamierzonego. Powtarzając w co drugim zdaniu, że każda kobieta, jeżeli tylko bardzo chce, może zacząć karmić piersią, spowodowała, że przez kilka dni Dorota siedziała z laktatorem w ręku praktycznie non stop, a z jej oczu płynęły łzy, a z piersi nie wydostała się ani jedna kropla mleka.

Jedynym pozytywnym tego aspektem był fakt, że teraz nie musiała się stresować, że syn nie dostanie na czas jej mleka albo że wieczorami będzie musiała je odciągać.

Powoli wyszła z pokoju, zostawiając w łóżeczku smacznie śpiącego chłopca, który, podobnie jak noc wcześniej, dał czadu, więc teraz odsypiał. Tym razem dobrze się przygotowała i wieczorem zostawiła sobie w przedpokoju rzeczy, żeby już nie przewalać szuflad w poszukiwaniu tych odpowiednich. Wzięła szybki prysznic, włożyła jeansy, białą obcisłą koszulkę i bladoróżowy sweterek. Związała włosy i przejechała maskarą po rzęsach. Czarny tusz stanowił jedyny element makijażu, jaki zdecydowała się zastosować. Nigdy nie potra-

fiła się malować, dlatego jej zestaw kosmetyków ograniczał się do podkładu, pudru i tuszu do rzęs. Przez ostatnie kilka miesięcy porzuciła nawet te dwa pierwsze, nie czuła potrzeby pokrywania skóry na twarzy czymkolwiek poza kremem na zmarszczki, który dwa dni temu się skończył. Nowy jeszcze nie przyszedł, więc miała wrażenie, że jej skóra jest niczym wyschnięta skórka od jabłka. Chropowata i pomarszczona.

Tak jak dzień wcześniej, równo o ósmej usłyszała pukanie do drzwi. Wpuściła kuzynkę, zamieniła z nią dwa zdania i wyszła do pracy. Po drodze wpadła do pobliskiego sklepu spożywczego, w którym kupiła dwa banany, jogurt naturalny bez laktozy i opakowanie płatków. Jedzenie o tak wczesnej porze ciężko jej wchodziło, ale wolała być przygotowana, gdy w końcu dopadnie ją głód. Dzień wcześniej tego nie zrobiła, a euforia z powodu powrotu do pracy przyćmiła ssanie w żołądku. Efekt? Ból głowy i kolacja, na którą zjadła zdecydowanie za dużo.

Z torebką wypchaną śniadaniem ruszyła na komendę.

– Ktoś lubi być wcześniej – usłyszała za sobą damski głos.

Od razu rozpoznała, że należy on do jej nowej partnerki, podkomisarz Zofii Grzelczyk. Zwolniła kroku i zaczęła, aż się zrównają.

– Jak to powtarzała moja babcia, pociąg nie zaczeka, dlatego warto być przed jego odjazdem. Generalnie w Polsce ma to średnie zastosowanie, ale jakoś wpadło mi to do głowy i jestem temu wierna.

– I słusznie, jak wczoraj wspominałam, punktualność to podstawa – zaśmiała się kobieta i przeskoczyła przez sporą zasęp śnieżną, którą ktoś stworzył, prawdopodobnie odśnieżając chodnik. Dzień wcześniej miasto sparaliżowała śnieżycą i wszyscy zarządcy

dróg wysłali ludzi do usuwania białego puchu, który utrudniał życie.
– A właśnie, słyszałam, że mamy wspólnego znajomego.

– Tak? – powiedziała Dorota zdziwionym głosem, mimo że od razu skojarzyła, o kim mowa, i nie czuła się z tym komfortowo. Nie wstydziała się tego, ale wiedziała, jak różni są ludzie i jak czasami nadinterpretowują sprawy, o których nie mają pojęcia.

– Marek powiedział, że jesteś najlepszą policjantką, jaką spotkał, no, oczywiście poza mną. – Uśmiechnęła się i puściła do Doroty oczko. – A tak serio, to nie mógł się nachwalić. Stwierdził, że gdyby nie ty, policja w Suchodole musiałaby wielokrotnie wzywać tych z Poznania, a to podobno byłoby dla nich jak strzał we własne kolano.

– No niestety, to wada pracy w małej miejscowości. Wszyscy dookoła myślą, że pracują tam sami nieudolni policjanci, a wcale tak nie jest.

– Oj, coś wiem o tym, i szczerze tego nie znoszę. Zanim tutaj trafiłam, pracowałam w Łomiankach, to na obrzeżach Warszawy. Masakra. Cały czas czuliśmy oddech tych ze stołecznej. Traktowali nas jak pracowników gorszego sortu, mimo że statystyki mieliśmy lepsze niż oni. Ale nikogo to nie interesowało. Wracając do Marka, to supergość. Nigdy z nim nie pracowałam, ale wiem, że ma w sobie ten zmysł psa. Wiesz, o czym mówię.

– Tak – odpowiedziała, licząc, że temat ojca Mikołaja zaraz się skończy.

– No dobra – rzuciła Zofia, gdy budynek komendy pojawił się na horyzoncie. – Chciałabym, żebyśmy pojechały dzisiaj na miejsce zbrodni. Może na coś wpadniesz. Umówmy się za pół godziny na

parkingu. Jako że żadna z nas nie ma auta, to pojedziemy radiowozem. Ja to załatwię.

I tak jak zapowiedziała, tak zrobiły. Trzydzieści minut późniejjechały do biurowca, gdzie cztery dni wcześniej znaleziono ciało księgowego. Mężczyzna nazywał się Mariusz Fularczyk, rocznik 1988. Ze zdjęć zamieszczonych w teczce patrzył na Dorotę osobnik średniej urody, z przeredzającymi się mocno włosami, które i tak zapuszczał, układając dłuższe pasma na środku, tworząc coś na kształt zaczeski. Lekką nadwagę zobaczyła dopiero na zdjęciach z sekcji zwłok, gdyż twarz miał raczej pociągłą.

Zdjęcia ciała na metalowym stole zupełnie nie zrobiły na niej wrażenia, a zbliżenia ran na głowie oglądała z wielkim zainteresowaniem. Nigdy nie widziała takich urazów i zupełnie nie miała pomysłu, co mogło je spowodować.

Zajechały pod oszklony budynek na warszawskim Mokotowie, zaparkowały i po chwili pokazały ochroniarzowi odznaki. Powędrowały na trzecie piętro schodami, co niezmiernie spodobało się Dorocie – w końcu trafiła na bratnią duszę, która za każdym razem przedkłada ruch nad lenistwo.

Niestety, gdy stanęły przed drzwiami firmy Kartonpol, okazało się, że jest zamknięta. Podkomisarz Grzelczyk mocniej szarpnęła klamkę, ale ta ani drgnęła. W tym momencie policjantki usłyszały za sobą stukanie obcasów, które niosło się echem po korytarzu.

– Już idę! – powiedziała cienkim i piszczącym głosem kobieta, kierując się w ich stronę.

Funkcjonariuszki Dorota Czerwińska i Zofia Grzelczyk odwróciły się jednocześnie. Zmierzała ku nim około czterdziestoletnia posiadaczka butów na tak wysokich obcasach, że mimo swojego niskiego

wzrostu przewyższała policjantki. Może nie rzuciłoby się to aż tak w oczy, gdyby kobieta nie była ubrana w wąską ołówkową spódnicę, która krępowała jej każdy ruch i powodowała, że jej chód wyglądał dość koślawo.

– Dzień dobry, podkomisarz Zofia Grzelczyk, a to moja koleżanka starsza aspirant Dorota Czerwińska. Musimy wejść do biura i jeszcze raz rozejrzeć się i porozmawiać z panią – powiedziała ta pierwsza miłym głosem.

Na twarzy kobiety widać było coraz większe zdenerwowanie. Momentalnie zacisnęła usta, wciągnęła policzki i mimowolnie zwinęła dłonie w pięści.

– Dzień dobry, Diana Kownacka, jestem tu sekretarką. Przez to wszystko, co się stało, szef wysłał pracowników na dwa tygodnie pracy zdalnej. Sami się o to nie prosili, ale myślę, że w zaistniałej sytuacji nikt nie chciał przebywać w biurze. Wiem, że to przykre i zaskakujące, ale mało kto poznał Mariusza Fularczyka, mimo to świadomość, że w miejscu pracy ktoś zabił człowieka, nie pomaga i praca staje się trudniejsza.

– Zdecydowanie – skomentowała Zofia Grzelczyk. – Tak jak powiedziałam, chciałybyśmy raz jeszcze obejrzyć miejsce zbrodni – powiedziała już bardziej stanowczym głosem, widząc, że kobieta nie kwapi się, by otworzyć im drzwi.

– Oj, przepraszam! – Kownacka zapiszczała i zaczęła szukać kluczy w swojej przepastnej torbie, którą przewiesiła przez prawe ramię. Chwilę zajęło jej odnalezienie ich, a następnie namierzenie tego odpowiedniego wśród pięciu zawieszonych na breloczku w kształcie małego samochodziku. – Zapraszam do środka – powiedziała, nacisnęła kłamkę i weszła jako pierwsza.

– Dziękujemy. Znała pani dobrze pana Mariusza Fularczyka? – zapytała Dorota, idąc za kobietą, która niespiesznie otwierała drugie drzwi wejściowe do firmy, a następnie poprowadziła je do czegoś na kształt recepcji.

Biuro samo w sobie nie wyróżniało się specjalnie. Wyglądało jak większość tego rodzaju miejsc, które Dorota odwiedziła w swojej karierze. Żadnego przepychu, ekstrawaganckiego wykończenia. Po prostu schludnie, funkcjonalnie. Jednak patrząc na stojącą przed nimi kobietę, spodziewała się większej elegancji, może wiszących błyszczących żyrandoli i lśniących kafelków.

– Czy go znałam? – powtórzyła po policjantce Kownacka i opadła na swój fotel za biurkiem, ignorując fakt, że funkcjonariuszki nie mają gdzie usiąść. – Nie nazwałabym tego tak. Pracował tutaj krótko. Na dodatek z reguły z domu. Wyjątkowo w tym tygodniu pojawił się aż dwa razy, ponieważ musiał konsultować niektóre sprawy z szefem. Pewnie chcą panie wiedzieć, jaki był? – Spojrzała na starszą aspirant Dorotę Czerwińską, a następnie na jej koleżankę. – Jak dla mnie to niezwykle flegmatyczny i zbyt spokojny. Taki człowiek, jak to się mówi, przepraszający, że żyje.

– Proszę opowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w dniu poprzedzającym znalezienie zwłok – dopytywała Dorota, mimo że wszystkie te informacje znajdowały się w teczkach.

– Mariusz Fulaczyk przyjechał do biura rano. Ja przychodzę zawsze o ósmej, on pojawił się chwilę potem, mimo że z prezesem umówiony był na dziewiątą trzydzieści. Zrobiłam mu kawę, bo wiedziałam, że sam sobie nie robi. Miałam wrażenie, że on boi się ludzi i jeżeli ja czegoś mu nie przyniosę, to umrze w tym pokoiku z głodu i pragnienia. Później odbyło się spotkanie z szefem i około trzynastej

wpadłam spytać, co zje na obiad. Zdziwił się moją propozycją. Wydaje mi się, że na początku myślał, że zapraszam go na jedzenie. Dopiero jak podałam mu kartę z restauracji na dole, zrozumiał, że zbieram zamówienia. Dla wszystkich. Wybrał chyba schabowego z ziemniakami i surówką z kapusty kiszanej. Dziękował mi za to co najmniej trzy razy. Po pół godziny przyniosłam mu jego zamówienie. zaproponowałam, żeby zjadł z resztą w pokoju socjalnym. Mamy tam – pokazała ręką – takie małe pomieszczenie właśnie do jedzenia czy krótkiej przerwy. Jest playstation, hamaki, taka strefa relaksu, jak mawiają co niektórzy.

– Tak nowocześnie – wtrąciła Dorota Czerwińska i rozejrzała się dookoła.

Prowadzenie rozmowy, gdy osoba przepytwana ma twarz dużo niżej, była dość niekomfortowa. Podeszła do jednego z biurek, przy którym stały dwa krzesła, i szybko podsunęła je koleżance i sobie.

– Przepraszam – powiedziała sekretarka i uśmiechnęła się nieszczerze. – Wracając do tematu, szef lubi takie udziwnienia. Ale Mariusz odmówił wspólnego posiłku. Powiedział, że jest w procesie. Zje za chwilę, ale w samotności. Nie naciskałam, chociaż chciałam, żeby poznał resztę, bo dla części pracowników stanowił widmo. Każdy coś słyszał o nim lub widział z daleka jakiś kształt przy biurku, ale niektórzy nigdy go nie spotkali, bo gdy przyjechał pierwszy raz i przeszłam się z nim po biurze, przedstawiając go obecnym, parę osób pracowało zdalnie. Wiem, że co niektórzy śmiali się, że on tak naprawdę nie istnieje.

– Czyli tylko pani i prezes rozmawialiście z nim więcej?

– Z tego, co wiem, to tak. Wczoraj, gdy dzwoniłam do wszystkich pracowników, bo jakoś mailowo nie wiedziałam, jak to napisać, to

dopiero sobie uzmysłowiłam, jak bardzo stronił od ludzi. Aż mnie złapało za serce! – Kobieta teatralnie położyła rękę na piersi i zrobiła smutną minę, wykrzywiając usta w podkówkę i przymykając lekko oczy.

– O której pani wyszła tego dnia z pracy?

Sekretarka poprawiła kosmyk blond włosów, który co chwilę spadał jej na twarz, i zamyśliła się.

– Wyszłam o osiemnastej, ale pół godziny później wróciłam, bo zapomniałam portfela, który włożyłam do szuflady po tym, jak płaciłam za obiad. Poza Mariuszem Fularczykiem nikogo już nie było. Nie zdziwiłam się. Szef powiedział, że dał mu jakieś wymagające zadanie. Nie wprowadzał mnie w szczegóły. Poza tym sam Mariusz poinformował mnie, że będzie siedział dłużej, ponieważ chce zrobić to jak najlepiej. Pracował od niedawna, więc cały czas był w fazie wykazywania się, dlatego gdy przyszłam rano i zobaczyłam jego samochód na parkingu, to się nie zdziwiłam. Dopiero gdy okazało się, że nie żyje, zorientowałam się, że stał dokładnie w tym samym miejscu co dzień wcześniej.

– A czy coś zginęło z biura? – spytała Czerwińska.

– Nikt niczego nie zgłaszał. Zresztą nikt nie zostawiał tutaj niczego cennego. Tylko moje i szefa biurka mają szuflady. Praktycznie wszyscy zabierają komputery do domów, bo większość pracuje rotacyjnie, jeden tydzień w domu, drugi w biurze. Czasami zmieniają to w zależności od potrzeb. Prezes nie ma nic przeciwko, aby ludzie w dowolnym momencie zostawali u siebie. Woli to niż branie urlopów, bo „córka ma gluta”. – Nakreśliła palcami cudzysłów w powietrzu. – Tym sposobem robota idzie do przodu, a pracownik jest zado-

wolony, bo został w domu z chorym dzieckiem. Pan Nowicki jest niezmiernie postępowy w tych kwestiach.

Rozdział 11

Blanka wyciągnęła gruby zeszyt, który przygotowała specjalnie na tę okazję, i zaczęła notować. Brak telefonu postanowiła zastąpić klasycznym narzędziem wspomagającym pamięć – kartką i długopisem. Od dawna tego nie robiła, więc poczuła się trochę nieswojo, gdy zapisała pierwszą stronę. Opisała poszczególne etapy dostania się do programu. Wspomniała też, jak próbowała sprawdzić, czy ktoś jeszcze opublikował coś, używając tego hasztagu, ale nic nie znalazła. W końcu przeszła do swojej podróży i tego, co zastała na miejscu.

Zaczęła od otoczenia. Podjazd był w stylu eleganckich rezydencji, a kończyło go małe rondo, tak aby kierowca mógł podjechać pod drzwi i płynnie, bez wykonywania zbędnych ruchów, wyjechać. Ogród nie zachwyił jej specjalnie, ale to może dlatego, że nigdy nie była fanką roślin i nie wpadała w zachwyt nad każdym kwiatem, jak robiła to jej mama. Bez jakiegokolwiek ekscytacji przechodziła obok nawet najbardziej wyszukanych czy finezyjnie ukształtowanych roślin.

Za to budynek, w którym miała zamieszkać na bliżej nieokreślony czas, spowodował, że serce zaczęło jej bić szybciej, a dłonie pokryły się warstwą potu. Tak zawsze reagował jej organizm, gdy się czymś ekscytowała, dlatego z jej zachowania można było łatwo i szybko odczytać, kiedy kłamie albo czy coś się jej naprawdę podoba.

Dom wyglądał jak jeden z tych, które oglądała w programach prezentujących luksusowe i bardzo drogie posiadłości. Jego bryła była dość prosta, sporych rozmiarów klocek, jak mawiali niektórzy, z dwuspadowym dachem bez okien. Niby nic specjalnego, ale jego wykończenie świadczyło o tym, że do najtańszych nie należał.

Pokierowana przez małomównego kierowcę, Blanka weszła do środka. Zatrzymała się w korytarzu i poczuła, że jej zuchwa opada jak w kreskówkach. Nie tego się spodziewała. Liczyła na przepych, błyszczące wielkie kafle na podłodze, gustowne żyrandole i meble z najwyższej półki. A zamiast tego otaczał ją beton. Podłogę, ściany, a nawet sufit pokryto szarą substancją, która powodowała, że pomieszczenie kojarzyło się jej z lochem. Trochę rozczarowana, dotarła do pokoju, na którego drzwiach widniała cyfra 2. Mężczyzna postawił przed nimi jej pokiereszowaną walizkę i odszedł bez słowa wyjaśnienia czy pożegnania.

Powoli weszła i znowu poczuła ukłucie zawodu. Gdzieś pod skórą liczyła na wielki pokój z łóżkiem z baldachimem, o którym zawsze marzyła. Zastała jednak coś zupełnie innego. Pomieszczenie sprawiało wrażenie niewiele większego od pokoju, który aktualnie wynajmowała, a o którym zawsze wypowiadała się, że jest klatką i że nawet klatki dla zwierząt są większe. Na dodatek wszystkie ściany pokrywała gąbka. Kiedyś w telewizji widziała coś podobnego w studiu nagraniowym, ale nie do końca wiedziała, do czego to służy. Jednak nie to przykuło jej uwagę, lecz gigantyczne przeszklone drzwi, za którymi widać było taras. Podeszła do niego, chcąc wpuścić trochę świeżego powietrza. Nacisnęła na klamkę, ale drzwi nie drgnęły ani o milimetr. Chwilę się z nimi posiłowała, mając nadzieję, że może źle to robi, ale gdy nadal nie ustępowały, zrezygnowała. Usiadała na sto-

sunkowo wąskim łóżku, bacznie obserwując otoczenie, jakby zaraz z któregoś kąta miał ktoś wyjść. Siedziała tak dłuższą chwilę, gdy zauważyła białą kopertę, która leżała na stoliku nocnym. Otworzyła ją i przeczytała krótką wiadomość:

Gdy gra się zaczyna, trzeba mieć oczy dookoła głowy. Myśl, kombinuj, a przeżyjesz.

– Co jest, kurwa? – rzuciła do siebie i poczuła strach.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z faktu, że dała się wywieźć w nieznanne miejsce przez nie wiadomo kogo. Jej rodzina nie miała pojęcia, gdzie jest, a ona – co ją czeka. Zawsze lubiła niespodzianki, prezenty, o których nie miała zielonego pojęcia, ale teraz ta niewiedza i niepewność zaczęły ją stresować.

Podeszła do solidnych drzwi, które tak podziwiała, wchodząc do pokoju, ale gdy szarpnęła za klamkę, te ani drgnęły. Podbiegła do przeciwległej ściany i raz jeszcze spróbowała otworzyć drzwi tarasowe. Przestrzeń na zewnątrz była na wyciągnięcie ręki, ale gruba szyba skutecznie ją od niej oddzielała.

W tym momencie usłyszała jakiś szum, a kilka sekund później z głośnika, którego wcześniej nie zauważyła, popłynął zniekształcony męski głos:

– Witajcie. Cieszę się, że zdecydowaliście się na udział w zabawie. Obiecuję, że nigdy czegoś takiego nie przeżyliście i że odmieni to wasze życie bezpowrotnie. – Zrobił chwilę przerwy i kontynuował: – Pewnie zastanawiacie się, co was tutaj czeka. Na razie nie mogę zdradzić zbyt wiele. Za chwilę poznacie resztę uczestników zabawy. Opowiedzcie im o sobie jak najwięcej. Może się to przydać w kolejnych etapach gry.

I tyle. Blanka cały czas patrzyła na drzwi, gdy usłyszała dźwięk odblokowywanej zapadki. Jednak zamiast doskoczyć do nich, szybko sięgnęła do torebki, wyciągnęła małe lusterko, puder i pomadkę. Od jakiegoś czasu nie rozstawała się z mocnymi kolorami na ustach. Przypudrowała twarz, nałożyła swoją ulubioną szminkę w kolorze malinowym, poprawiła tlenione blond włosy i dopiero wtedy podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Na korytarzu stało już dwóch chłopaków, a kolejne drzwi zaczynały się otwierać.

Wszyscy byli w podobnym wieku. Blondyn z włosami o niebieskich końcówkach przykuwał uwagę i sprawiał sympatyczne wrażenie. Drugi chłopak miał ciemne włosy, a w jego oczach błyszczało coś intrygującego, ale zarazem niebezpiecznego. Lubiła takich facetów. Gdy ich zachowanie lub sytuacja życiowa generowały dodatkowy wyrzut adrenaliny, czuła się rewelacyjnie. Już kilka razy związała się z facetem, który miał dziewczynę, a raz uwikłała się w romans z żonatym i zupełnie jej to nie przeszkadzało. Spotykali się czasami u niego w domu. Chodziła wtedy w samej bieliźnie i przyglądała się rodzinnym pamiątkom. Wchodziła do pokoiów jego synów, którzy byli fanami piłki nożnej, ale największą satysfakcję odczuła, gdy przejrzała szufladę jego małżonki. Znalazła tam wielkie majtki bez krzty finezji, na które nigdy by nawet nie spojrzała, a tym bardziej nie kupiła. Takie nosiła jej mama, co jeszcze bardziej utwierdzało ją w przekonaniu, że jest lepsza od partnerki swojego kochanka.

– Cześć – rzucił ten z niebieskimi włosami i podszedł do Blanki. – Jestem Kacper, a to Gustaw.

– Cześć, Blanka. Długo tutaj jesteście? – spytała, trzepocąc sztucznymi rzęsami.

– Ja ze dwie, a Gustaw krócej, może godzinę – odpowiedział Kacper. – Masz pomysł, co nas czeka? My stwierdziliśmy, że to musi być jakaś akcja promująca nas jako wschodzące gwiazdy internetu. Ty też się mocno udzielasz? – spytał, a ona nie skomentowała tego, tylko przytaknęła ruchem głowy. – Pewnie będziemy mieli jakieś zadania związane z kręceniem filmów. Ostatnio w „Top Model” nagrywali z jakimiś gwiazdami spoty na temat recyklingu czy nienawiści.

– O matko... – skomentowała przerażona Blanka, która raczej na co dzień stroniła od poważnych tematów, uznając je za mało seksowne.

W tym momencie cała trójka odwróciła się w stronę drzwi z cyfrą 1, bo ktoś właśnie zaczął je otwierać. Pojawiła się w nich blondynka z gęstymi, długimi włosami i dekoltem ledwo zakrywającym sutki. Nie tylko biust miała sporych rozmiarów. Jej wargi wyglądały jakby przed chwilą użądliło ją stado szerszeni, a jej ręce zdobiły liczne tatuaże, których kształt ciężko było odgadnąć.

– Hejka, Patrycja jestem, ale możecie mówić mi Pati – rzuciła piśkliwym głosem, gdy stanęła przed nimi.

– Blanka. – Kiwnęła głową i zapatrzyła się na twarz dziewczyny. Miała zaledwie dwadzieścia kilka lat, a wyglądała tak, jakby już niejednokrotnie odwiedzała gabinet medycyny estetycznej.

– Kacper – przedstawił się blondyn.

– A ja Gustaw – odezwał się po raz pierwszy przystojniak. Miał radiowy głos z lekką chrypką, która jeszcze bardziej dodawała mu zadziorności i uroku.

– Czy was też odbierał z dworca jakiś milczący mężczyzna? – rzuciła Pati.

– To było nieźle creepy. Myślałam, że to jakiś morderca albo inny psychopata i że zaraz wywiezie mnie do lasu – zaśmiała się Blanka, a widząc twarze reszty, zorientowała się, że nie tylko ona miała takie myśli. – Raz nawet, jak zatrzymaliśmy się na światłach, chciałam wyjść, ale drzwi były zablokowane. Wtedy to przestraszyłam się nie na żarty.

– To mogło nic nie znaczyć. Niektórzy mają na stałe ustawioną blokadę, a może też włączać się automatycznie podczas jazdy, aby ktoś przez przypadek nie otworzył drzwi i nie wypadł – wtrącił Kacper, cały czas zapatrzony w wyeksponowany biust jednej z dziewczyn.

– Może – odpowiedziała Blanka. – Ale mimo to jak w końcu zobaczyłam ten dom, odetchnęłam. A jak drzwi się odblokowały, to aż podskoczyłam z radości.

W tym momencie usłyszeli za sobą kolejny damski głos:

– Cześć! – Cała czwórka spojrzała na kolejną osobę, z którą zapewne mieli spędzić następne kilka lub kilkanaście dni. W ich stronę zmierzała wysoka brunetka z prostymi jak drut włosami do ramion i intensywnie pomalowanymi oczami. – Klaudia – powiedziała i lekko dygnęła, jak dama na średniowiecznym dworze.

– Ja jestem Blanka, a chłopaki to Gustaw i Kacper, no i jest jeszcze Paulina.

– Patrycja – poprawiła ją dziewczyna i zmierzyła nieprzyjaznym wzrokiem.

– Cześć wszystkim. Widzieliście już basen?

– Basen? – powtórzył podekscytowany blondyn. – Zajebicie! Zimowe kąpiele to jest to, co uwielbiam. Próbowaliście kiedyś? Ja w zeszłym roku nakręciłem filmik z kąpiele w przeręblu. Sztos! Oczywiście

ście najwięcej komentarzy wywołał mój goły tyłek, którego nie omieszkalem zaprezentować. – Zaśmiał się głośno i ponownie zmierzzył stojąca najbliżej niego Patrycję. – Ktoś już widział resztę domu? Może zobaczymy, co nas tu czeka?

– Nie powinniśmy zaczekać? – spytała trochę przestraszona Blanka.

– Skoro ktoś wypuścił nas z tych nerek, to chyba po to, żebyśmy powiedzali? – odparł i nie czekając na odpowiedzi reszty towarzyszy, ruszył w głąb korytarza. – A właśnie, wasze pokoje też są wygłuszone? – Zobaczywszy kiwnięcia pozostałej czwórki, mówił dalej: – A zastanawialiście się, po co to? Ja mam kilka pomysłów – kontynuował swój wywód z entuzjazmem. – Pierwsza opcja to oczywiście, jak to mówiła moja świętej pamięci babcia, spółkowanie, żeby nie powiedzieć kopulowanie, dymanie lub rżnięcie.

– Czyli że my...? – spytała Blanka i pokazała palcem na dwóch idących obok kolegów.

– A ja tam nie wiem, z kim ty lubisz, ale jestem otwarty na propozycje – odpowiedział Kacper.

– Aha – skomentowała krótko i pokręciła głową z dezaprobatą, udając niedostępną.

– Kolejne pomysły są już trochę bardziej zwariowane...

Nie zdążył skończyć, bo Klaudia mu przerwała:

– A bzykanie się z obcymi ludźmi takie nie jest?

– Trochę tak. Ale generalnie tylko współżycie daje nam szansę na przetrwanie gatunku, więc nie widzę w tym nic złego. Poza tym poprawia humor. Ja podchodzę do tego jak do leku zapewniającego długowieczność.

– Ciekawa teoria – skomentowała brunetka. – A co jeszcze wymyśliłeś? Bo widzę, że kreatywny człowiek z ciebie.

– Oj tak. Kolejne możliwości są już mniej sympatyczne. Myślałem o torturach, okaleczaniu i takich nieprzyjemnych sprawach, gdzie może zrobić się głośno.

– Aha... – westchnęła ze słyszalnym zawodem Klaudia, kiwając głową. – Ja myślałam, że to chodzi o dobry sen.

– Moja droga – zaczął głosem mentora Gustaw, który raz po raz poprawiał włosy, mimo że grzywka w niczym mu nie przeszkadzała. – Do tego typu spraw można użyć małych, piankowych zatyczek do uszu, a nie wydawać kupę kasy na wyłożenie wszystkich ścian, łącznie z sufitem, na akustyczne wygłuszenie stosowane przez specjalistów. Mam wielu znajomych muzyków i tylko dwóch zrobiło sobie pomieszczenia udekorowane czymś takim, bo podobno kosztuje to miliony monet. Ale...

Nagle zamilkł, oniemiały na widok pomieszczenia, do którego właśnie weszli. Przestrzeń miała co najmniej osiemdziesiąt metrów kwadratowych. W normalnych warunkach zapewne znajdowałyby się tam kuchnia połączona z jadalnią i salonem. Tutaj jednak nie było żadnych mebli poza długim, drewnianym stołem zastawionym skrzynkami jedzenia, naczyniami i sztucami oraz prostym blatem zamontowanym pod ścianą, na którym stała mała płyta indukcyjna, a obok mikrofala.

– I że niby my mamy sobie gotować? – rzuciła przerażona Blanka, której umiejętności kulinarne ograniczały się do gotowania wody w czajniku, zrobienia jajek na twardo, o których z reguły zapominała i wyjmowała je po dobrej godzinie, no i robieniu zupki chińskiej, co

de facto wiązało się z pierwszą umiejętnością, czyli gotowaniem wody.

– Na to wygląda – odpowiedziała równie rozczarowana Patrycja. – Liczyłam, że w końcu się najem czegoś dobrego. Coś tam potrafię gotować, ale w domu to lecę na tym, co mama gotuje, lub na fast foodach. Ostatnią rzeczą, o której marzę, jest robienie żarcia dla siebie czy kogokolwiek.

– Za to ja mogę zostać szefem kuchni – przemówił Gustaw i podszedł bliżej ogromnego drewnianego stołu, mającego co najmniej osiem metrów długości, przy którym stały tylko cztery krzesła.

– Czyżby ktoś miał nie jeść? – rzuciła z uśmiechem na twarzy Blanka, ale momentalnie spoważniała. – Jakoś przestaje mi się to podobać. Takie programy kojarzą mi się z uśmiechniętą prowadzącą, która od wejścia wita uczestników. Oprowadza po domu, przedstawia innym uczestnikom i umila czas, zanim nie zacznie się właściwa część programu. A tu nic, poza dziwnym listem, który znalazłam w pokoju. I powiem szczerze, przestraszyłam się nie na żarty.

– „Gdy gra się zaczyna, trzeba mieć oczy dookoła głowy. Myśl, kombinuj, a przeżyjesz” – wyrecytował Kacper, mocno się wczuwając, jak gdyby była to „Inwokacja” lub inny wiersz, którym katowano go w szkole.

– Mnie osobiście podoba się wszystko. Ten wiersz i brakujące krzesło to elementy gry, dlatego *don't panic*, będzie dobrze! – Gustaw szturchnął przestraszoną dziewczynę i pogłaskał ją po ramieniu. – Jakby coś, ja postoję. Może jeszcze nie przynieśli reszty mebli. Cały dom wygląda dość pusto, więc na bank czegoś brakuje. Chociaż kamer jest wystarczająco...

W tym momencie wszyscy podnieśli głowy i zaczęli się rozglądać, wyteżając wzrok.

– O kurde... – powiedziała Patrycja, która z niedowierzaniem w oczach przyglądała się otoczeniu. – I myślicie, że już nas podglądają?

– Pewnie tak. Diody od spodu świecą się non stop – odezwał się brunet, jakby był specjalistą. – Może później zrobią z tego jakieś zjawki. Nie wiem tego, ale to, czego jestem pewien, to to, że musimy być czujni. Czuję, że ktoś wymyślił jakiś zupełnie nowy format, o którym świat jeszcze nie słyszał. Ja sporo oglądam takich reality show, a ich producenci prześcigają się, aby zgromadzić przed telewizorami czy ekranami monitorów komputerowych jak najwięcej osób, a co za tym idzie, więcej sponsorów.

– Myślisz, że to będzie w telewizji? – spytała Blanka. Oczy jej się zaświeciły, a strach, który jeszcze przed chwilą ją wypełniał, gdzieś zniknął.

– Myślę, że tak – powiedział pewnym głosem Gustaw. Mimo że znali się od kilkunastu minut, już stawał się kimś w stylu mentora, dowódcy. – Zobaczcie, gdzie jesteśmy. Słabe internetowe programy nie dysponują budżetem na inwestycje. Oni wszystko przeliczają na kasę, a ten dom jest jakby przerobiony na potrzeby programu. Ktoś musiał go nie dość, że wynająć, bo o kupnie raczej nie ma mowy, to jeszcze przerobić pod program. Ja uważam, że to będzie coś większego. Nie wiem, czy jeden z trzech głównych kanałów za tym stoi, ale coś telewizyjnego, zapewne uzupełnionego internetem. Teraz część programów można oglądać na żywo w sieci przez całą dobę. A przez takie małe kamerki – wskazał na zamontowane w każdym

rogu małe okrągłe urządzenia – będą mogli zobaczyć wszystko. Nie damy rady się ukryć.

Ostatnie jego słowa zabrzmiały dość złowrogo, a na twarzach wszystkich dziewczyn pojawił się grymas przerażenia.

Rozdział 12

Ponadgodzinna rozmowa z sekretarką niewiele wniosła do sprawy. Policjantki tylko upewniły się, że zmarły stronił od współpracowników i uważano go za odludka. Gdy wychodziły, wpadły na szefa firmy, który był nieco poirytowany ich wizytą, jakby zapomniał o jej przyczynie. Dał wyraźnie znać, że liczy na szybkie rozwiązanie sprawy, ponieważ dla jego firmy może to oznaczać zepsucie wizerunku, a w jego branży ma to znaczenie. Jeszcze nikt nie zwęszył, że to w jego firmie ktoś zginął, ale jeżeli wyjdzie to na jaw, konkurencja nie będzie czekała ani sekundy, by to wykorzystać. Policjantki słuchały tego zdeglustowane.

– A co sądził pan o Mariuszu Fularczyku? – spytała Dorota Czerwińska.

– Kompetentny. To dla mnie najważniejsze. Całą resztę, kolokwialnie mówiąc, mam gdzieś. Dopóki pracownicy wykonują swoje obowiązki, nic mnie nie interesuje. Nich pracują z domu, z plaży, nawet z piwnicy.

– Czyli dobrze wywiązywał się z obowiązków?

– Zdecydowanie tak. Przygotowywał dla mnie dokumentację, od której zależy los mojej firmy. Nie wiem, co teraz będzie... – Mężczyzna wyraźnie posmutniał, jednak nie śmierć pracownika była tego powodem.

Porozmawiały jeszcze chwilę z właścicielem firmy i już miały wrócić na komendę, gdy Dorota, widząc w pobliżu plac budowy,

wpadła na pewien pomysł. Przeprosiła na chwilę nową koleżankę i podeszła do jednego z majstrów.

– Przepraszam, starsza aspirant Dorota Czerwińska z komendy stołecznej policji. Mogę zająć chwilę?

Stojący przed budową hali mężczyzna momentalnie spoważniał i rozejrzał się nerwowo, jakby coś ukrywał.

– Tak, coś się stało?

– Niestety tak. Kilka dni temu został zamordowany mężczyzna, tutaj, niedaleko. – Głową wskazała w stronę pobliskiego budynku.

– A to dlatego tyle was się tutaj kręciło – rzucił już spokojniej i szelmowsko uśmiechnął się do policjantki. Gdyby nie okoliczności, może zwróciłaby na niego uwagę. Miał niesamowicie błękitne oczy, które przyozdobione długimi rzęsami robiły piorunujące wrażenie. – Próbowaliśmy się dowiedzieć, tak z ludzkiej ciekawości, ale nic nie zdziałaliśmy. Pani koledzy strzegli tego miejsca jak fortecy i nie puścili pary z ust.

– I bardzo dobrze. – Również się uśmiechnęła i rozejrzała. Świdrujące spojrzenie mężczyzny wyraźnie jej ciążyło. – Dlatego mam pytanie do pana, czy może coś ostatnio zniknęło z placu budowy?

– A wie pani, że tak – odpowiedział zdziwiony. – Jeden z moich robotników powiedział, że nie może znaleźć młotowiertarki. Często zdarzają się takie sytuacje, że pracownicy nie mogą czegoś znaleźć, ale z reguły dotyczy to małego sprzętu typu śrubokręt czy jakaś mała wkrętarka, a to jest całkiem spory i dość wartościowy sprzęt. Zwracam na to uwagę, ponieważ rozliczam ich z tego.

– Może powtórzyć pan nazwę? – poprosiła grzecznie Dorota Czerwińska.

– Tak, oczywiście. Młotowiertarka.

– I do czego to służy?

– Do wiercenia otworów o dużej średnicy w bardzo twardych materiałach, wie pani, na przykład w betonie.

– Dziękuję, niezwykle mi pan pomógł.

– Cieszę się. Jakby coś, to zapraszam ponownie – odpowiedział i puścił do niej oko, dając jej do zrozumienia, że jest do dyspozycji nie tylko w kwestii śledztwa.

Dorota z uśmiechem na twarzy wróciła do nowej partnerki i przedstawiła swoje odkrycie, pomijając fakt, że mężczyzna, z którym rozmawiała, ją podrywał. Zofia od razu zadzwoniła do lekarza sądowego, który przygotował raport z sekcji zwłok, i podała nazwę potencjalnego narzędzia zbrodni. Obiecał to czym prędzej sprawdzić i oddzwonić. One zaś postanowiły pojechać do drugiej byłej dziewczyny zamordowanego. Zgodnie z ustaleniami miała czekać na niego w pracy.

– Dużo miałaś spraw o morderstwa? – zapytała Dorota Czerwińska, widząc, że czeka je jeszcze co najmniej dwadzieścia minut jazdy. Zawsze starała się znaleźć jakiś temat do rozmowy. Kiedyś usłyszała, że to jakieś natręctwo, ale zupełnie jej to nie interesowało.

– Niestety tak. Z jednej strony bardzo mnie to kręci, ale z drugiej przeraża, bo świadczy o tym, jak bardzo pojebany jest ten świat.

– Oj tak, wiem coś o tym.

– Słyszałam o tej sprawie z dziewczyną z wnęki – rzuciła Zofia Grzelczyk, z dezaprobatą pokręciła głową i znacząco przyspieszyła, próbując wyprzedzić sunący niespiesznie autobus i nic sobie nie robiąc z połyskującej lodem jezdni.

– Niby Suchodół to taka dziura, ale popieprzeńców też czasami przyciąga, i to w podwójnych zestawach.

- Z ciekawości zerknęłam do akt, faktycznie robi wrażenie. Ja dwa lata temu też miałam zadziwiającą sprawę. Zniknęła kobieta. Miła, sympatyczna, mało urodziwa, więc prawie nikt nie posądzał jej o ucieczkę z kochankiem. Mąż, przykładowy ojciec, biznesmen, codziennie rano woził autystycznego syna do szkoły, żeby żona mogła się realizować, malować i prowadzić małą galerię. Jesienią sąsiedzi przestali ją widywać, ale jakoś się tym nie przejęli. Podobno nie żyli w zbyt dobrych relacjach, a to dlatego, że kiedyś mąż zaginionej przyszedł do nich i insynuował, że sąsiad podgląda dronem jego żonę. Gadałam z facetem. Przystojny, dobrze zbudowany. Poznałam też jego żonę. Niczego sobie blondyneczka, więc podejrzenia męża zaginionej raczej były wysane z palca, bo niby po co miał ją podglądać. Porozmawiałam z sąsiadami i okazało się, że zaginiona i jej mąż mieli wielki kompleks spowodowany ich autystycznym synem. Odcięli się od wszystkich dookoła, łącznie z tym, że wokół płotu regularnie zmieniali drzewka na wyższe, żeby nikt nie mógł zajrzeć i zobaczyć, co dzieje się na ich posesji. Faktycznie przy kolejnej wizycie się temu przyjrzałam. Rzadko widuje się taki szpaler wysokich drzew przy płocie, gęsto ustawionych obok siebie.

Zofia machnęła wysoko ręką, by pokazać wielkość żywopłotu, pokręciła głową i po chwili kontynuowała:

- Zaczęłam drażnić z Kamilem. Moim partnerem - dodała szybko, widząc konsternację na twarzy koleżanki. - Mężczyzna utrzymywał, że żona wyszła do pracy i nie wróciła. Tylko że wszystko temu przeczyło. Tego dnia galeria miała być zamknięta z powodu wymiany kaloryferów. Jej samochód cały czas stał w garażu, a telefon nigdzie się nie przemieścił. Mąż zamordowanej powtarzał wielokrotnie, że rano zawiózł syna do szkoły, zostawiając żonę śpiącą w łóżku, i gdy wró-

cił, jej już nie było. I nie zgadniesz, co się stało. Okazało się, że syn widział, jak tata podczas jakiejś kłótni uderzył kobietę z pięści, a później walnął jej głową o ścianę. Chłopak opowiedział to swojej terapeutce w szkole. Ta, zaniepokojona nieobecnością kobiety, po rozmowie z dyrekcją zawiadomiła policję. Gdy funkcjonariusz odbierający zgłoszenie zorientował się, że jest już prowadzona sprawa jej zaginięcia, zgłoszonego przez jej rodziców, połączył kropki. Syna nie mogliśmy przesłuchać standardowymi metodami, ponieważ jego niepełnosprawność mocno to komplikowała. Na szczęście udało się znaleźć kobietę, która porozmawiała z nim w odpowiedni sposób. W miłych i przyjaznych warunkach powtórzył mniej więcej to samo, co mówił terapeutce w szkole, ale dodał jeden dość istotny szczegół. Widział, jak tata robi coś w ogródku, i się bardzo zdenerwował, bo zawsze mu pomagał, a tym razem tata skrzyczał go i nie pozwolił. Nawet narysował portret złego taty. No i okazało się, że mąż zaginionej poćwiartował żonę, a jej kawałki poukrywał w ogrodzie. Technicy przez ponad tydzień odkopywali jej fragmenty. Masakra. W sumie znaleziono ponad pięćdziesiąt kawałków. Patolog, który ją składał, powiedział, że i tak nie udało się znaleźć stu procent jej ciała.

– Ale straszna historia... – skomentowała Dorota Czerwińska, gdy właśnie podjeżdżały pod właściwy adres.

Uważając, żeby nie wywrócić się na lodzie, wysiadły z auta i ruszyły pod wskazany numer. Zaledwie dwie sekundy po naciśnięciu guzika usłyszały skrzypienie otwieranych drzwi, a następnie zobaczyły blond głowę z kilkucentymetrowym odrostem.

– Proszę wchodzić – rzuciła kobieta i szybko schowała się w środku.

Policjantki weszły do mieszkania i stanęły przed trzydziestokilkuletnią kobietą, od której zionęło alkoholem, a strój wyglądał, jakby niedawno wstała z łóżka, choć była już dwunasta.

– Ja cały czas nie mogę w to uwierzyć – zaczęła bez słowa wprowadzenia. – Gdy zadzwoniła mama Mariusza, to myślałam, że to żart. Że ktoś mnie wkręca. Nie on, bo nie miał ani krzty poczucia humoru, ale może jakiś zwyrodnialec. Później przeczytałam w internecie artykuł o morderstwie księgowego Mariusza F. i wiedziałam już, że to prawda.

– Tak w ogóle to jestem starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to podkomisarz Zofia Grzelczyk. Może opowiedzieć pani coś więcej o waszych relacjach? – spytała Dorota i spojrzała na koleżankę, która podobnie jak ona miała problem z oddychaniem. Stężenie alkoholu w małym pomieszczeniu, w którym się znajdowały, zdecydowanie przekraczało akceptowalny poziom i utrudniało skupienie się na rozmowie. – Możemy gdzieś usiąść?

– Tak, przepraszam. Jestem dzisiaj jakaś nieswoja. – Kobieta poprowadziła funkcjonariuszki do niewielkiej kuchni, gdzie tuż obok aneksu kuchennego stał małych rozmiarów stół z czterema krzesłami, a na nim praktycznie opróżniona butelka wina. Szybkim ruchem chwyciła szkło i schowała do szafki, po czym lekkim tonem zaczęła mówić dalej: – Mariusza znałam z liceum, ale wtedy zupełnie się nie kumplowaliśmy. Chodził dwie klasy niżej, więc nie zwracałam na niego uwagi. Wiedzą panie, że w tym wieku raczej nie patrzy się na młodszych. Kojarzyłam go tylko dlatego, że czasami przychodził na zajęcia klubu szachowego, w którym grałam regularnie. Nigdy nie byłam wybitna, ale jakoś mnie to uspokajało. Za to Mariusz rozwaliał każdego, nawet naszego nauczyciela, więc ten nie był wy-

rywny i nie zapraszał go zbyt często. Tak jakby miał kompleks. Po skończeniu liceum zupełnie o nim zapomniałam, zresztą jak o większości kolegów, a w szczególności tych z młodszymi klasami. Pięć lat temu zorganizowano sześćdziesiąte urodziny naszej szkoły średniej. Umówiłam się z koleżanką, że pojedziemy razem. W życiu średnio mi się powiodło, ale wiedziałam, że u innych jest jeszcze gorzej. Jedna z koleżanek wyszła za gościa, który nie uznaje antykoncepcji, więc dorobili się siedmiorga dzieci. Mieszkają w socjalnym mieszkaniu, bo na nic lepszego ich nie stać. Wiem, że to słabe, ale takie historie powodują, że nie czuję się skończonym przegranym. Oczywiście, żeby nie było, że uważam, że osoby z dziećmi są...

– Rozumiemy – wtrąciła Dorota Czerwińska, przerywając ten nic niewnoszący wywód. – I na zjeździe spotkała pani Mariusza Fularczyka?

– Tak. Wydoroślał. Zmężniał. W szkole wyglądał jak taki chłopaczek, któremu nie chcą wyrosnąć wąsy, a jak zobaczyłam go na imprezie rocznicowej szkoły, to prawie go nie poznałam. Każdy dla ułatwienia nosił plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Patrzyłam przez chwilę na niego, zupełnie nie mogąc połączyć twarzy z nazwiskiem. Nawet do niego nie zagadałam. Niestety moja towarzyszka szybko mnie opuściła, bo jej mąż jakoś niechętnie zostaje z córką, więc chwilę się jeszcze pokręciłam, pogadałam z koleżankami z klasy i wyszłam. Czekałam na taksówkę, gdy on wyszedł z budynku, stanął obok i się nie odzywał. To było bardzo dziwne, wręcz krępujące. W końcu to ja zagadałam. Zupełnie mnie nie kojarzył, ale jak zaczęłam opowiadać o klubie szachowym, to sobie przypomniał, nawet pamiętał jakieś nasze starcie na zajęciach. Nie spodziewałam się po naszym spotkaniu zbyt wiele, ale ku mojemu zaskoczeniu coś mię-

dzy nami zaiskrzyło. Mariusz był ekstremalnym introwertykiem. Na spotkanie rocznicowe przyszedł tylko dlatego, że jedna z nauczycielek na nim to wymusiła. W ostatnim momencie wymieniliśmy się telefonami i chyba nie będzie zaskoczeniem, jeżeli powiem, że to ja do niego napisałam. Oczywiście wymyśliłam abstrakcyjny powód, niby chciałam numer do jednej z nauczycielek. Wiedziałam, że będzie go miał. Gdy mi go podesłał, podziękowałam i zapytałam, czy może miałby ochotę na kawę. I... – na chwilę zawiesiła głos – odmówił. Dziwnie się poczułam. Szczególnie że drugi raz w życiu wyszłam z inicjatywą. I kilka dni później wpadłam na niego w sklepie budowlanym. Kupował żarówki, a może bardziej próbował. Pomogłam mu wybrać odpowiednie. Zagadaliśmy się przy tych żarówkach, a po jakimś czasie siedzieliśmy, pijąc kawę i gadając jak starzy znajomi. Później jakoś poszło.

– Jak wam się układało?

– Hmm, dobrze, chociaż bardzo powoli. Mariusz nie był zbyt wylewny w okazywaniu uczuć, więc nie wiedziałam, co mu chodzi po głowie. Denerwowałam się trochę przez to, bo wiedzą panie, każda z nas chce być chociaż trochę adorowana. A on miał wielki problem z powiedzeniem mi, że na przykład ładnie wyglądam albo że coś do mnie czuje. Miałam wrażenie, że bardzo się krępuje w sprawach... no wiedzą panie...

– Tak, rozumiemy. Hmm... – Dorota westchnęła i spojrzała na Zofię. Zupełnie nie wiedziała, jak i czy w ogóle zadać pytanie, z którym przyjechały. – Czy Mariusz mógł się dopuścić przestępstwa seksualnego?

– Co?! – krzyknęła zdziwiona kobieta. – W życiu! On miał opory, żeby mnie dotykać, a nie wyobrażam sobie, żeby innej kobiecie był

w stanie zrobić krzywdę. Mnie się wydaje, że ma... to znaczy miał... jakąś traumę z dzieciństwa. Może ktoś go molestował?

– Wspominał o tym?

– Nie, ale chyba mężczyźni wstydzą się takich rzeczy jeszcze bardziej niż kobiety. Mnie nigdy nic nie powiedział. Jeżeli chodzi o nasze bliższe relacje, to było zupełnie inaczej niż z poprzednimi partnerami. Ja zawsze gustowałam w spokojnych mężczyznach, w typie myślicieli, ale nikt nie był tak wstrzemięźliwy jak Mariusz. Tak naprawdę wszystko ja inicjowałam. Pierwsze muśnięcie dłoni. Pierwszy pocałunek, który był raczej niewinnym cmoknięciem. Pierwszy prawdziwy pocałunek, który miałam wrażenie, że był wymuszony. A jak przyszło do stosunku, to powiedzieć, że było dziwnie, to jakby nic nie powiedzieć. Wiem, że wcześniej miał dziewczynę, ale nie wiem, czy współżyli. Mnie nie powiedział, ale po jego zachowaniu w łóżku myślę, że mógł być prawiczkim. I wydaje mi się, że nadal by był, gdyby nie wypił pół szklanki piwa, które wmusił w niego mój kuzyn. Pierwszy raz się trochę wyluzował i jakoś poszło. Później było już lepiej, ale zapewniam, to nie typ, który mógłby kogoś wykorzystać seksualnie. Zdecydowanie sobie tego nie wyobrażam.

– Rozumiem. – Dorota pokiwała głową i spojrzała znacząco na partnerkę. Ta w mig zrozumiała i szybko dodała:

– Dziękujemy, jeżeli coś jeszcze sobie pani przypomni, to proszę dzwonić. – Po tych słowach wyciągnęła w kierunku kobiety jedną z wizytówek noszonych w etui na telefon.

– Oczywiście – powiedziała kobieta i odprowadziła je do drzwi, a idąc za nią, ponownie poczuły kwaśny zapach strawionego alkoholu.

Funkcjonariuszki zwawym krokiem wyszły na dwór i odetchnęły.

– Chyba mocno przeżywa śmierć byłego – odezwała się jako pierwsza Zofia Grzelczyk i spojrzała na swój telefon, który na czas spotkania wyciszyła, a który co chwilę dawał o sobie znać wibracjami.

– A jej przyjacielem jest alkohol – dorzuciła Czerwińska.

– Nie ma co się dziwić – skomentowała. – Dzwonił technik, daj sekundę. Muszę oddzwonić.

Pięć minut później z uśmiechem na twarzy podeszła do Doroty, która akurat przeglądała w sklepie internetowym zabawki dla niemowląt, i rzuciła:

– Mamy potwierdzone narzędzie zbrodni. To na bank zaginiona z budowy obok młotowiertarka do wiercenia w betonie i innych twardych materiałach.

– To już sporo – powiedziała Dorota Czerwińska i schowała komórkę do kieszeni czarnej kurtki zimowej. – Ktoś się przygotował. Nie działał w afekcie, bo musiał ją zabrać, ale też nie przyjechał na miejsce zbrodni z przygotowaną wcześniej bronią czy nożem. Ja stawiam na kogoś, kto znał to miejsce i dobrze wiedział, gdzie znajdzie coś, czym może zabić. Sprawę trochę komplikuje fakt, że Mariusz Fularczyk pracował tylko dwa miesiące w tej firmie. Wiem, że niektórzy mają niesamowite umiejętności do wkurzania innych, więc może nie potrzebował więcej czasu, żeby narobić sobie wrogów.

– A może znał kogoś z firmy z wcześniejszej pracy, szkoły. Trzeba posprawdzać, czy z kimś nie łączyło go coś wcześniej. Tylko opis jego osobowości nie pasuje... – skomentowała pomysł nowej partnerki Zofia i ruszyła w kierunku samochodu zaparkowanego na zakazie.

Rozdział 13

Rozmowę zebranej piątki młodych ludzi przerwał zmodyfikowany komputerowo głos:

– Witajcie, moi mili. Cieszę się, że zdecydowaliście się wziąć udział w tym niezwykłym przedsięwzięciu. Programie, jakiego świat nie widział. Mam nadzieję, że jesteście pełni energii i dacie z siebie wszystko.

Wszyscy zgromadzeni z uśmiechami na twarzach kiwali głowami, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Niestety płynął on z gęsto rozłożonych głośników, które podwieszono pod sufitem powodowały, że głos otaczał ich z każdej strony.

– Może was tym zaskoczę, ale nie przedstawię się. To taka moja mała tajemnica. Ale jeżeli chcecie, możecie mówić do mnie „Szefie”, bo takie będą nasze relacje. Ja będę wam wyznaczał zadania, a wy, jak pracownicy w fabryce, będziecie musieli je grzecznie wykonywać.

– Ja nie przyjechałam tu harować – rzuciła cicho Blanka do stojącego obok Kacpra.

– Zasady panujące w domu są dość proste. Wygrywa najlepszy, najsprytniejszy i ten, kto ma wsparcie na zewnątrz.

Słowa prowadzącego wywołały różne reakcje. Gustaw uśmiechnął się sam do siebie i pokiwał z aprobatą głową, a na twarzy Patrycji zawitał smutek, jakby wiedziała, że jest dość kontrowersyjną osobą i mało kto ją lubi.

– Zapewne widzieliście już swoje pokoje i kuchnię. Jest jeszcze łazienka. Wspólna, do której drzwi są na prawo od wejścia głównego. Małe ubikacje macie w swoich pokojach. Przygotowałem dla was parę niespodzianek, ale to już później. Jak pewnie zauważyliście, przy stole są tylko cztery krzesła. Przed wami pierwsze zadanie. Macie wybrać spośród siebie jedną osobę, która będzie przygotowywać jedzenie przez dwa najbliższe dni. Wszystkie składniki są w kartonach, więc nie powinno to stanowić problemu. Wybranej osobie nikt nie może pomagać. W niczym. Gdy przychodzicie, wszystko ma być gotowe. Sprzątanie też was nie interesuje. Wszystko robi kucharz. Dodatkowo w kartonach macie przygotowane smartfony, ale bez kart SIM, za to z przeróżnymi aplikacjami. Są oznaczone cyframi, niech każde z was weźmie aparat z oznaczeniem takim samym jak numer waszego pokoju.

– Jaki numer pokoju? – rzuciła piskliwie Patrycja i zmarszczyła czoło.

– Ty masz jedynekę – odezwał się Gustaw. – Blanka ma dwójkę, Kacper trójkę, Klaudia czwórkę, a ja piątkę.

– Brawo – skomentował mechaniczny głos Szefa. – Takie same numery są na waszych telefonach. Codziennie przed pójściem spać macie kłaść je przed waszymi drzwiami. Jeżeli ktoś tego nie zrobi, spotka go kara. Musicie o tym sami pamiętać. Ja nie zamierzam niczego powtarzać.

– Ja pierdołę! Ale syf – syknęła Patrycja i poprawiła blond włosy. – Od lat nikt mi nie rozkazywał, a teraz jakaś musztra ma mnie dopaść. Jak tak będzie, to się zawijam.

– Niestety, to niemożliwe – ponownie z głośników popłynął głos. – Przyjeżdżając tutaj, zaakceptowaliście regulamin. – Gustaw, który

już trzeci rok studiował prawo, jako jedyny kiwnął potwierdzająco głową. – Gdy wpisywaliście swoje nazwy użytkownika na stronie, która przekierowała was na podstronę z wytycznymi, mogliście zapoznać się z regulaminem uczestnictwa. Po waszej reakcji wnioskuję, że mało kto to zrobił. Może szanowny pan Konieczny opowie, co tam było.

Wszyscy momentalnie spojrzeli na Gustawa, który z szelmowskim uśmiechem skubał odstającą skórkę u lewego kciuka.

– Szefuńcio ma rację – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Ogólnie zgodziliśmy się na sporo dość dziwnych rzeczy. Ja generalnie lubię przygody, nie boję się wody, wysokości i tego typu rzeczy, więc na wszystko się piszę. Łącznie z różnymi eksperymentami psychologicznymi, o których w tym regulaminie wspomniano. Niestety według mnie nie do końca jest on zgodny z prawem, ponieważ nie została wymieniona z nazwy firma, która organizuje całe to zamieszanie, ale mnie osobiście to nie przeszkadza. – Chłopak oderwał kawałek skórki i pstryknął go gdzieś w dal, po czym w końcu zaszczycił resztę swoim spojrzeniem. – Ja zawsze wszystko czytam, chociaż zazwyczaj nic z tego sobie nie robię. No chyba że znajdę jakiś mega błąd, to to wykorzystuję. Tutaj poza tym brakiem firmy wszystko zostało jasno wyjaśnione.

Znowu wpatrywali się w niego bez słowa, przetwarzając to, co powiedział. Jako pierwsza odezwała się dotychczas milcząca i trochę wycofana Klaudia.

– Czyli niby nie możemy stąd wyjść, kiedy chcemy?

– Teoretycznie możemy, ale wiązać się to będzie z wieloma problemami, a głównie karą finansową w wysokości miliona złotych. Wydaje mi się, że jest to nieopłacalne. A zresztą czemu zakładasz, że

będziesz chciała wyjść? – spytał Gustaw i zmierzył wzrokiem dziewczynę, która odsunęła się trochę od reszty grupy i oparła o ścianę.

– A co, jakby coś nam się stało? Ktoś zachorował? – spytała przeżona Patrycja.

– Podobno mamy tutaj wszystko, aby poradzić sobie w większości przypadków – odpowiedział chłopak, uprzedzając mechaniczny głos.

– Dlaczego zakładasz, że coś się nam stanie? Ja czekam na intrygującą grę – rzucił, podszedł do najbliższych stojących kartonów i nie dotykając niczego, zaczął zaglądać do środka.

– A czy wszechwiedzący Szeff lub jego pomagier – zaczęła z lekką drwiną w głowie Blanka – mogą zdradzić, o co walczymy?

– O sławę! – wykrzyczał brunet z uśmiechem. – Ale myślę, że o tym to ten na górze powinien opowiedzieć.

– Dziękuję – dobiegł ich głos. – Zapewniam was, że na końcu waszej zabawy czeka was niejedna nagroda. Przede wszystkim zwycięzca otrzyma sto tysięcy złotych.

– Ja pierdołę! – krzyknął Kacper i uniósł pięść z radości jak tenista po wygranym meczu.

Trzy całkiem obce sobie dziewczyny nagle zapały do siebie wielką miłością i zaczęły podskakiwać zbite w ciasnym uścisku, wydając bliżej nieokreślone dźwięki.

Tylko Gustaw Konieczny stał spokojnie, pokazując, że jest ponad to. On wiedział o tym już wcześniej, dlatego całą euforię z tej sytuacji zdążył już przetrwać. Patrzył na zachowanie nowo poznanych z lekką dezaprobatą. Wkurzało go zawsze, że ludzie nie znają swoich praw. Nie czytają umów, regulaminów czy napisanych małym druczkiem warunków promocji, a później denerwują się na organizatorów, choć sami są sobie winni.

– Ale to nie koniec – kontynuował Szef. – Podczas zabawy będziecie dostawać różnego rodzaju zadania, za które również otrzymacie nagrody. Wiem, że wszyscy tutaj jesteście dla sławy... – Zrobił chwilę przerwy, a zgromadzona piątka zgodnie kiwała głowami. – Każdy chce mieć na swoim koncie więcej obserwujących, a pod publikowanymi postami, filmikami czy rolkami więcej polubień i komentarzy. Wygrana w poszczególnych zadaniach będzie właśnie na ten cel.

– A co to będą za zadania? – spytała Patrycja i nerwowo zatrzepotała rękami, jakby nagle ciężar doklepanych sztucznych kępek wykonanych z futra norek syberyjskich zaczął jej ciążyć i przysparzać problem.

– Tego nie wiadomo – szepnął Gustaw.

– To jest tajemnica – powiedział mechaniczny głos. – Na razie musi wam wystarczyć to, co powiedziałem. Zapewniam was, że już niebawem poznacie szczegóły pierwszego zadania.

– A czy będziemy mogli skontaktować się z kimś z zewnątrz? – spytała niepewnie Klaudia.

– Nie. Jakikolwiek kontakt z kimkolwiek spoza domu jest zabroniony i wiązać się będzie z karą.

– Jaka? – spytał zaczepnie Kacper, który starał się słuchać uważnie, ale przede wszystkim przypatrywał się stojącym przed nim dziewczynom, a dokładniej ich kształtom, i zastanawiał się, która z nich jest najatrakcyjniejsza.

– O tym będziecie decydować wy – odpowiedział głos. – Wszyscy zgodziliście się na udział w zabawie i wydaje mi się, że powinniście szanować innych. Dlatego chciałbym, abyście mieli wpływ na to, co dzieje się w domu. W końcu przez jakiś czas będziecie w nim mieszkać razem.

– A co dokładnie jest zabronione? – spytała Blanka.

– Wszystko. Jakakolwiek komunikacja za pomocą telefonu z kimś z zewnątrz, przekazywanie informacji komuś, kto stoi na zewnątrz, po drugiej stronie muru. Nie wiem, na co jeszcze możecie wpaść, ale wszystko to będzie karane.

– O matko, jak w więzieniu... – powiedziała ze złością Blanka, wydymając usta.

– A jak długo mamy tu siedzieć? – odezwał się Kacper i przeczesał ręką swoje blond włosy, których niebieskie końcówki mocno przyciągały uwagę.

– To wszystko zależy od tego, jak będzie wam szło i jaką popularność zyska format. Nie ma przewidzianego konkretnego terminu zakończenia.

– A początek? – dopytywał dalej, cały czas prawą ręką grzebiąc we włosach.

– Właśnie montujemy pierwsze zajawki, więc już niedługo świat się o was dowie. Myślę, że na teraz już dość pytań. Wybierzcie spośród was jedną osobę, która przez najbliższe dwa dni będzie wam gotować i usługiwać.

– A ja mam jeszcze pytanie – rzuciła Patrycja, która od dłuższego czasu plotła sobie warkoczyki. – Jak nazywa się ten nasz program?

Na sali zapanowała cisza, która trwała zdecydowanie za długo, powodując lekkie zmieszanie. Nawet dotychczas potakujący na wszystkie informacje Gustaw stał z zainteresowaniem w oczach, jakby akurat tego szczegółu nie znał.

Wreszcie z głośnika padła odpowiedź na pytanie dziewczyny. Mentalnie wszystkim zrobiło się zimno, a wesołe uśmieшки raz po

raz pojawiające się na ich twarzach zastąpiło przerażenie i zwątpienie.

Rozdział 14

– Zbierzmy wszystko do kupy – rzuciła Dorota i ugryzła jabłko. Wzięła je przed wyjściem z domu z misy z owocami, którą specjalnie dla niej przygotowała Wanda, widząc, w jakim pośpiechu żyje kuzynka. Na więcej nie miała czasu, a że umówiła się z Zofią Grzelczyk już o siódmej rano, nie zdążyła skoczyć do sklepu po jakieś zakupy. – Po pierwsze, znamy narzędzie zbrodni. Zostało skradzione z pobliskiego placu budowy. Niestety nie stosują tam żadnych wyrafinowanych zabezpieczeń. Tak naprawdę każdy może przejść przez dość dziurawą i niechlujnie postawioną siatkę i zabrać, co chce. Oczywiście o kamerach nie ma mowy. Po drugie, według lekarza sądowego śmierć nastąpiła między dwudziestą trzecią a drugą w nocy. Ostatnie zapisane pliki w komputerze Mariusza Fularczyka są z dwudziestej trzeciej piętnaście. Później sprzęt prawdopodobnie się wyłączył. Kolejna sprawa to dostęp do firmy. Po dwudziestej można wejść do niej tylko za pomocą klucza, więc zamordowany albo znał sprawcę i go wpuścił sam, albo ten ktoś miał lub zdobył klucz. Z tego, co wiemy, to każdy pracownik ma swój komplet i nikomu żadnego nie brakuje. Dodatkowo nie ma śladów walki, a ustawienie biurka zamordowanego uniemożliwia opcję, że ktoś się zakradł niezauważony od tyłu i go zaatakował. Wszystkie ślady wskazują na to, że ofiara знаła się z mordercą. Ostatnią osobą, oczywiście o której wiemy, a która widziała Mariusza Fularczyka żywego, jest sekretarka Diana Kownacka.

Słyszając to nazwisko, Zofia Grzelczyk uśmiechnęła się krzywo, bo kobieta nie przypadła jej do gustu. Nie przerywała jednak Dorocie, dała ręką znać, by ta kontynuowała.

– Pracuje w firmie od dwunastu lat. Wszyscy wypowiadają się o niej niezwykle pozytywnie. Zawsze pomocna, uśmiechnięta. Pamięta o urodzinach, imieninach pracowników czy kontrahentów, a podobno nawet o urodzinach ich dzieci. Nigdy nie choruje. Zawsze na posterunku. Kobieta ideał. Oczywiście jak zaczęłam sprawdzać jej życie poza biurem, to przestała się jawić jako perfekcja bez skazy. Rozwiodła się pięć lat temu. Co zaskakujące, to ona zdradziła. Podobno mąż zaczął ją zaniedbywać, więc założyła profil na portalu randkowym. Niestety trafił swój na swego i jej nowy wybranek cały czas miał żonę. A ponieważ zakochali się w sobie na zabój, on też postanowił się rozwieść. Sielanka nie trwała długo, bo raptem rok, i się rozstali. Teraz Kownacka wiezie żywot singielki. Ma z pierwszego małżeństwa dorosłego syna, który już z nią nie mieszka. Często wrzuca jego zdjęcia i opisuje jego sukcesy, ale nie znalazłam żadnej wspólnej fotki. Mieszka skromnie w małym mieszkanku na Żoliborzu, w bloku z wielkiej płyty. Czekam na wyciągi z banku, pani prokurator popchnęła sprawę, więc lada dzień powinnam mieć.

– Dobra robota! – rzuciła Zofia Grzelczyk i klasnęła w dłonie. – Tak, jak się umówiliśmy, ja ogarniałam prezesa i nie znalazłam nic spektakularnego. Kiedyś brał udział w bójce w klubie, ale sprawę umorzono z powodu braku świadków, mimo że bawiło się tam ponad dwieście osób. Od tego czasu czysty. Nawet trochę za bardzo. Ba, on od kilku lat nawet nie dostał mandatu. Obywatel prawie idealny. Jediną skazą, jaką znalazłam, są problemy podatkowe. Dwa lat temu komornik wszedł mu na konto, bo urząd skarbowy nie mógł się do-

prosić o zapłatę ponad stu tysięcy złotych zaległego podatku VAT. Tłumaczył się, że myślał, że zapłacił, ale to dziwna wymówka. Generalnie państwo samo się obsłużyło i smród wywietrzyło. Prywatnie mąż jednej kobiety od dwudziestu lat, ojciec dwójki, córka osiemnaście i syn piętnaście lat. Osiemnaście lat temu założył firmę produkującą kartony i bardzo dobrze mu to idzie. W biurze, w którym byliśmy, jest dział sprzedaży, marketingu, księgowość. Nowicki nigdy nie miał wspólnika. Do wszystkiego doszedł sam i z tego, co się zorientowałam, bez żadnych układów, dlatego tak bardzo zależy mu na wizerunku. W sumie się nie dziwię. Teraz to i mniejsze rzeczy są w stanie zniszczyć ludzi czy biznes.

– A co z konkurencją? Może wkurzył kogoś, ktoś się zakradł do jego biura i przez pomyłkę zabił nie tego człowieka?

– Może, ale niczego takiego nie znalazłam – odpowiedziała Zofia.

Dorota wstała i zawiesiła zdjęcia głównych pracowników firmy na korkowej ścianie obok zdjęcia ofiary, które zawisło tam dużo wcześniej. Prezes Nikodem Nowicki miał pięćdziesiąt dwa lata. Jego twarz nie odznaczała się żadnymi cechami szczególnymi, miał przyprószone siwizną włosy, z widocznymi zakolami, dość krótko przystrzyżone. Jego niebieskie oczy były otoczone opadającymi powiekami od góry i workami od spodu, a policzki dość pucułowate, zapewne w wyniku słabej diety. Zresztą mężczyzna, jak wielu panów w jego wieku, z dumą prezentował krągły brzuch, którym mógłby konkurować z kobietą u schyłku ciąży.

Obok zawisło zdjęcie Diany Kownackiej. Zdecydowanie mogła uchodzić za ładną kobietę. Jej ciemnobrązowe oczy, otulone niezwykle długimi rzęsami, które raczej nie należały do naturalnych, przyciągały niczym magnes.

– Myślę, że trzeba przeświecić resztę firmy. To znaczy wszystkich pracowników. Może ktoś coś ukrywa i...

– Znam ją – przerwał Dorocie męski głos zza ich pleców. Policjantki obróciły się w kierunku jego źródła w tym samym momencie. Za nimi stał niewysoki mężczyzna ubrany w czarne jeansy i golf tego samego koloru. – To Diana Kownacka – rzucił dumny z siebie i podszedł bliżej.

– Szanowny komisarzu Zbyszku, my to już wiemy. – Zofia Grzelczyk uśmiechnęła się do kolegi. – Powiedz coś ciekawego i zaskocz nas.

– Spróbuję – odpowiedział funkcjonariusz, oparł się o jedno z biurk i zaczął: – Trzy miesiące temu pobito faceta. Nazywa się Paweł Seroczyński. Ktoś napadł go w jego domu, a dokładniej w garażu, gdy wyjeżdżał rano do pracy. Znalazła go żona, leżał w kałuży krwi i nie wyglądało to dobrze. Doznał bardzo poważnego urazu głowy, przez dłuższy czas leżał w śpiączce farmakologicznej. Lekarze bali się cokolwiek obiecywać. Gdy go wybudzono, okazało się, że jego stan jest bardzo poważny, nie mówił, w najprostszych sprawach komunikował się za pomocą mrugnięć. Z tego, co wiem, znowu jest w śpiączce. Niestety śledztwo stanęło. Nie mamy żadnych dowodów, świadków ani podejrzanych. Motyw też nieznan, bo nic nie zginęło, a przecież sprawca bez żadnych problemów mógł ukraść samochód, przy którym stał Seroczyński. Kluczyki leżały obok niego na podłodze. Ja obstawiam, że atakujący dobrze znał ofiarę i jej zwyczaje, więc wiedział, kiedy zaatakować. Ale do rzeczy, facet był księgowym w firmie robiącej kartony, a ta pani tam pracuje. Może być? – spytał i uśmiechnął się, pokazując proste, lecz trochę pożółkłe zęby.

– Może być – rzuciła Zofia Grzelczyk. – A tak w ogóle poznaliście się? – Spojrzała pytająco na Dorotę, a widząc jej przeczące kręcenie głową, powiedziała: – To jest nasz najnowszy narybek, starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to komisarz Zbigniew Drzazga, zwany przez wielu po prostu Drzazgą. Człowiek wielu talentów, między innymi tanecznych.

– Miło mi. – Lekko dygnął. – I nie słuchaj Zofki. Ona jak zwykle zmyśla i nie można brać jej na poważnie.

– Oj, co to, to nie. Jestem bardzo poważna, a twoje umiejętności są znane w całym województwie. Dorota nie jest stąd, dlatego jeszcze do niej nie dotarły, ale wszystko przed nią.

– A skąd przybyłaś? – spytał, patrząc na nią swoimi zielonymi oczami.

Zbigniew Drzazga nie należał do przystojniaków, ale i tak nie narzekał na brak powodzenia. Zawdzięczał to hipnotyzującym oczom, intrygującej bliźnie pod lewym okiem i budowie ciała, która zachęcała do bliższej znajomości. Nawet teraz, gdy stał przed Dorotą, ta wiedziała, że pod golfem kryją się wyrzeźbione ponad miarę mięśnie.

– Spod Poznania, miejscowość Suchodół – odpowiedziała, uśmiechając się delikatnie.

– Nie znam, ale my tu w stolicy myślimy, że świat się kończy od wschodu na Markach, od północy na Łomiankach, od zachodu na Pruszkowie, a od południa na Piasecznie. – Puścił oczko do Czerwińskiej i podszedł bliżej zdjęcia sekretarki z firmy produkującej kartony. – A w sumie to dlaczego ta pani tutaj wisi? Przeskrobała coś?

– Tego jeszcze nie wiemy. Jeden z pracowników firmy, w której pracuje, został zamordowany w biurze – powiedziała Dorota. – Aż

dziwne, że nikt nie wspomniał o wydarzeniu sprzed kilku miesięcy. Zastanawiający zbieg okoliczności.

– Zdecydowanie – wtrąciła Zofia Grzelczyk i zaczęła stukać w klawiaturę. Po chwili zaczęła czytać: – Paweł Seroczyński, czterdzieści pięć lat, żona, pasierbica, skończył studia na kierunku rachunkowość, pracował w Kartonpolu dwa lata. W nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego września został zaatakowany w swoim domu, a dokładniej garażu. Ktoś zaszedł go od tyłu i uderzył w głowę... – Przerwała na chwilę. – Nic ponad to, co powiedzia-
łem.

– Jakbyście miały jakieś pytania, to walcie śmiało, a tymczasem zostawiam was, muszę lecieć. Jeżeli traficie na cokolwiek łączącego te sprawy, to dawajcie znać.

Nie czekając na ich reakcję, Zbigniew Drzazga oddalił się, zostawiając kobiety z tropem, który choć mocno intrygował, nie wnosił nic nowego do sprawy.

Rozdział 15

Od kiedy postanowił schudnąć, gotowanie stało się jego pasją, a też po części sposobem na pokazanie siebie. Praktycznie codziennie na Instagramie lądowało zdjęcie sałatki, omletu czy kurczaka z warzywami. Gdy mechaniczny głos zapowiedział, że jedno z nich będzie gotowało, odruchowo wspomniął, że mógłby się tym zająć, ale po chwili przyszła refleksja, dlaczego w sumie miałby usługiwać innym. Szybko zasugerował więc starą jak świat zabawę „kamień, papier, nożyce”. Pomysł podchwycili w locie i już po minucie naprzeciwko siebie stali Kacper z Gustawem i Klaudia z Patrycją. Blanka od razu zakomunikowała, że gotować nienawidzi, nie potrafi i nie będzie, więc obrażona usiadła przy stole.

Wielkim przegranym tego minikonkursu został Gustaw, w konsekwencji czego stał teraz przed kartonami z jedzeniem i metodycznie, jeden po drugim, zaczął je przeglądać. Według wiszącego na ścianie dużego zegara dochodziła czternasta, więc planował zrobić coś obiadowego.

Wyciągnął z drugiego kartonu dwa pory, trzy cukinie i trzy czerwone papryki. W kolejnym znalazł sos pomidorowy i ryż. Ostatnie pudło okazało się coolerem na mięso, z którego zabrał tackę z czterema pierściami z kurczaka.

Wyciągnął jeszcze przyprawy, które ku swojej uciechu również znalazł wśród pakunków, i wszystko ułożył na blacie. Następnie zamiast zabrać się za krojenie i przygotowywanie posiłku, sięgnął do

tylnej kieszeni spodni po nowy smartfon, który dostał raptem pół godziny temu. Nigdy nie miał telefonu tej firmy, ale jako stały użytkownik wszelkich sprzętów szybko połapał się w jego funkcjach i już po kilku sekundach gadał do kamery, trzymając aparat w wyciągniętej ręce. Zazwyczaj nagrywał ze statywu, więc właściwe ustawienie się sprawiało mu problem.

– Siemanko! – zaczął, stając tak, aby w tle prezentował się w całej okazałości taras, a nie kuchnia, która pomimo swojego rozmiaru raczej odstraszała. – Trochę mnie nie było, ale wracam do was ze zdwojoną siłą, z przytupem, z pierdolnięciem, jak kto woli. Od dzisiaj będzie mnie więcej i zapewniam, że będzie się działo! Na razie niewiele wam powiem, aby trochę potrzymać was w niepewności, ale mogę wam zdradzić... – chłopak zawiesił głos, teatralnie podrapał się po głowie, zmarszczył brwi – co będę robić. Z tej okazji wprowadzający żart. Pyta mąż żonę: co dzisiaj na obiad? Nic, odpowiada ta z uśmiechem na twarzy. Następnego dnia sytuacja się powtarza. Co dzisiaj na obiad? Nic, zrobiłam na zapas! – Gustaw wyszczerzył się i zrobił zbliżenie na przygotowane chwilę wcześniej składniki. – Na szczęście u mnie trochę lepsza sytuacja. Składników mam więcej, więc trzymajcie kciuki za moje pichcenie. Mam nadzieję, że nikogo nie otruję – rzucił chłopak, puścił do kamery oczko i wyłączył nagrywanie.

Nie miał dostępu do sieci, więc jeszcze nie mógł opublikować filmu, ale liczył, że wkrótce się to zmieni.

Odłożył aparat na blat i rozejrzał się po pomieszczeniu. Był sam. Wszyscy rozeszli się po swoich pokojach pochłonięci rozmyślaniami o tym, co usłyszeli. On również nie czuł się komfortowo z tym, co powiedział płynący z głośników zmodyfikowany głos.

„Zabawa w zabijanie”.

Nazwa ta powodowała, że po raz pierwszy, od kiedy dostał tajemniczy list z zaproszeniem do gry, w jego głowie zakiełkowała dość zaskakująca myśl: „Może to nie był dobry pomysł”. Zawsze lubił ryzyko. Pchał się w nieznane, licząc na wyrzuty adrenaliny, stawianie siebie w niekomfortowych sytuacjach. Ale zbitek tych trzech słów spowodował, że przez głowę przeszły obrazy, które mu się nie podobały.

Nigdy nie nazwałby siebie agresywnym, mimo że w niejednej bójce brał udział, wychodząc z większości z tarczą. Nigdy jednak jego celem nie było zrobienie komuś poważnego uszczerbku na zdrowiu, a tym bardziej...

Pokręcił głową, jakby chciał odgonić myśli, i rzucił się na ziemię, jak zwykł czynić w stresujących sytuacjach. Zrobił szybko trzydzieści pięć pompek i czując wędrujące po ciele endorfiny, wstał i podszedł do blatu.

– Jeszcze coś do krojenia – powiedział sam do siebie i zaczął ponownie przeglądać pakunki.

W pierwszych trzech nic nie znalazł, ale w czwartej już coś było. Nie to, czego szukał, ale mimo to wyciągnął drewniane pudełko przypominające herbaciarkę i postawił na blacie. Wykonane z ciemnego drewna wyglądało dość elegancko. Powoli otworzył wieko. Wiedział, że jest obserwowany, ale nie sądził, że łamie jakiegokolwiek przepisy. Przeczytał regulamin kilkakrotnie i wiedział, że w granicach domu może robić wszystko i zaglądać w każdą szparę.

W środku leżała koperta, a pod nią jakieś małe pojemniczki. Podniósł kopertę i powoli wyjął włożony do środka list.

Ktoś mógłby uznać, że bycie kucharzem uwłacza. Ale nic bardziej mylnego. Przez chwilę będziesz najważniejszy i wykorzystaj to mądrze. Przed Tobą pięć substancji o różnym działaniu. Środek przeczyszczający, tabletki gwałtu, środek usypiający, środek wywołujący wymioty i kokaina. Ty decydujesz, kto, kiedy i co otrzyma. I co najważniejsze – Ty zgarńiesz za to nagrody. Pod warunkiem że wykorzystasz wszystkie te substancje.

Gustaw patrzył na trzymaną kartkę, zupełnie zapominając o nożu, którego potrzebował. W jego głowie myśli krążyły z taką prędkością, że w pierwszej chwili poczuł ból, ale gdy odpowiednie elementy powpadały na swoje miejsca, uśmiechnął się. Ta zabawa zaczynała mu się coraz bardziej podobać.

Rozdział 16

Dorota stała nad łóżeczkiem syna, a łzy spływały jej po policzku. Od trzech dni widziała Mikołaja tylko wtedy, gdy spał. Rano wychodziła z domu, gdy młody po nocnych harcach smacznie pochrapywał, a gdy wracała, już spał. Tylko w nocy miała szansę spędzić z nim trochę czasu, ale zaspana i zmęczona, niewiele z tego czerpała, siedząc z nim w postawionym obok jej łóżka bujanym fotelu, który dostała od przyjaciółki.

– Jestem – usłyszała głos Marka, który wszedł do mieszkania i rozbierał się w korytarzu.

Podczas jego ostatniej wizyty dała mu klucze. Tak na wszelki wypadek, zaznaczając, żeby nie robił sobie żadnej nadziei odnośnie do ich relacji.

Cichutko wyszła z sypialni, zamknęła drzwi, które raz w tygodniu psikała wd40, aby nie skrzypiały, i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Starszy aspirant Marek Kamiński jak zawsze wyglądał zniewalająco. Krucze kręcone włosy ukrył pod sporych rozmiarów zieloną czapką z pomponem, spod której wystawały tylko nieliczne kosmyki. Na zapuszczanej od jakiegoś czasu brodzie osadziły się płatki śniegu, który od kilku godzin sywał intensywnie, wywołując coraz większe korki na ulicach stolicy.

Mężczyzna powiesił kurtkę na jednym z wieszaków zamontowanych na ścianie i ściągnął zimowe buty, które otrzepał przed wejściem, dzięki czemu nie wniósł błota do mieszkania.

– Przyniosłem coś. – Uśmiechnął się i wyciągnął z wielkiej kieszeni kurtki butelkę czerwonego wina. Oczywiście było to jej ulubione primitivo.

– Nie musiałeś. Wiesz, że ja zawsze coś mam.

– Wiem, ale chciałem uczcić postęp w twojej pierwszej sprawie w stolicy.

– A ty skąd o tym wiesz? – spytała zdziwiona Dorota, idąc w stronę kuchni.

– Zadzwoiła do mnie Zofka. Miała sprawę, przy okazji pogadaliśmy i opowiedziała o morderstwie.

– Czy ty powiedziałeś jej...?

– O Mikołaju? Nie. Po co? To nasza prywatna sprawa i nikomu nic do tego – odpowiedział, a z niej nagle uleciało wstrzymywane w płucach powietrze.

Nie wstydziła się faktu, że Marek jest ojcem jej dziecka, ale wolała zachować ten szczegół na dłużej w tajemnicy. Nie chciała, żeby nowa koleżanka patrzyła na nią przez pryzmat jej łóżkowych partnerów. Dobrze wiedziała, że ludzie przyklejają nowo poznanym osobom łatki, które ciężko później zmienić, więc wolała tego unikać.

– Dzięki. Powiem jej w odpowiednim momencie. Otworzysz? – spytała i podała korkociąg zawieszony na jednym z haczyków umieszczonych pod kuchenną szafką.

– Oczywiście. – Przejął przyrząd i kilkoma sprawnymi ruchami otworzył krwistoczerwony napój, po czym wlał go do kieliszków, które w międzyczasie postawiła na blacie. – Za nowy początek! – Marek podniósł szkło do góry i stuknął nim w to trzymane przez Dorotę.

– Za nowy początek – powtórzyła z lekkim grymasem.

– Nie cieszysz się? Przecież chciałaś tu przyjechać. Od zawsze marzyłaś o pracy w wielkim mieście.

– Tak, chciałam, ale nie wiem, czy w takich okolicznościach... – Usiadła na kanapie, a Marek obok. – To wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Spokojniej, bez nerwów.

– Bez Mikołaja – dorzucił.

– Tak – powiedziała z rozpędu. – To znaczy nie. Nie tak to chciałam powiedzieć. Ja nigdy nie chciałam mieć dzieci. Przynajmniej nie teraz. Niewiele, ale jednak trochę czasu mi zostało. Chciałam najpierw coś osiągnąć zawodowo, a dopiero później zakładać rodzinę. A to wszystko zadziało się w taki niezorganizowany sposób...

– Tylko na dzieci nigdy nie ma odpowiedniego czasu.

– Może i tak. Ale wolałam mieć na to wpływ, a nie...

– Zaliczyć wpadkę, i to ze mną – zaśmiał się ponuro, zrobił dziwną minę i upił łyk wina.

– To nie tak. Ja się bardzo cieszę...

– Że jesteśmy związani do końca życia – wszedł jej w słowo i uśmiechnął się łobuzersko.

Momentalnie poczuła, jak żołądek zaciska jej się ze zdenerwowania.

– Może z tego najmniej, ale cieszę się, że jest Mikołaj. To niesamowite, ile daje mi radości. Chociaż na razie to mam takie wyrzuty sumienia, że go zostawiam...

– Dlatego ja będę go nawiedzał częściej, żebyś nie musiała sobie tego tak wyrzucać.

– Ale jest przecież Wanda – wtrąciła natychmiast Dorota i napiła się swojego ulubionego wina.

– Tak, wiem, ale nawet najlepsza ciocia nie zastąpi taty, szczególnie takiego jak ja.

– A co z twoją pracą?

– No jest, ale na razie mogę pracować, kiedy chcę. Nawet mam już pierwszą sprawę.

– Serio? – spytała zdziwiona.

– Tak, opowiedzieć ci?

– Oczywiście – odpowiedziała z entuzjazmem w głosie, podciągnęła kolana do klatki piersiowej i wlała w siebie kolejny łyk, czując, jak alkohol rozlewa się po jej ciele, momentalnie rozluźniając mięśnie.

– Nie jest to sprawa morderstwa w stylu tej, którą ty prowadzisz, ale myślę, że ciekawa. Jak chyba wcześniej wspominałem, mój kolega ma biuro detektywistyczne. Jest dość znany, więc na brak spraw nie narzeka. Oddał mi jedną, na początek, tak na próbę.

– I co to za sprawa?

– Tak naprawdę to do końca nie wiadomo, czy jest sprawa. Zgłosiła się do niego kobieta, której matka niedawno zmarła. Od ponad dwóch lat przebywała w ośrodku dla osób starszych. Zleceniodawczyni początkowo próbowała sama się nią zaopiekować, ale okazało się to ponad jej siły, więc z bólem w sercu zaproponowała mamie takie rozwiązanie. Ku jej uldze ta przyjęła to z wielkim entuzjazmem. Jednak postawiła warunek, że zamieszka w miejscu, gdzie przebywały już jej dwie dobre koleżanki. Miesiąc temu zmarła, co nie zaskoczyło rodziny i przyjaciół. Od ponad roku mocno chorowała, a dwa miesiące temu złamała kość udową i to okazało się wyrokiem śmierci. Okropnie się rozchorowała i koniec.

– Takie rzeczy się zdarzają? – spytała, marszcząc czoło.

– Generalnie tak, ale gdy ruszyła sprawa spadkowa, moja klientka doznała szoku. Okazało się, że kobieta zapisała cały majątek jakieś bliżej nieokreślonej fundacji. Podobno matka wielokrotnie mówiła, że po jej śmierci wszystko dostanie jej jedyna córka i wnuki, które uwielbiała, a okazało się, że to nieprawda. Niestety są podejrzenia, że zmiana testamentu została przeprowadzona nieuczciwie.

– To faktycznie brzmi zaskakująco.

– Wiem. Muszę przeświecić tę fundację. Może coś znajdę. Zapowiada się interesująco.

– Daj mi koniecznie znać, jak się to skończy – odpowiedziała policjantka.

– Oczywiście – powiedział i pochylił się w stronę butelki wina. Niestety taki sam ruch wykonała Dorota, więc ich głowy się stuknęły.

– Aua! – krzyknęła i odruchowo chwyciła się za skroń.

– Przepraszam, nic ci się nie stało?

– Chyba nie, chociaż będę miała guza wielkości strusiego jaja.

– Pokaż.

Marek przysunął się bliżej, lecz zamiast obejrzeć jej głowę, musnął jej usta swoimi. Momentalnie stężała, a po plecach przeszedł dreszcz podniecenia, którego tak dawno nie czuła. Oddała pocałunek, lecz po chwili spięła się i odepchnęła mężczyznę zdecydowanym ruchem.

– Nie możemy – rzuciła i zerwała się na równe nogi, wylewając kilka kropli wina na podłogę.

– Ale dlaczego? Nikogo tym nie zranimy. Już nie.

– Ja... nie wiem. Proszę, idź już – powiedziała podniesionym głosem i nie czekając na jego reakcję, ruszyła w stronę łazienki.

Rozdział 17

– No to siup w ten głupi dziób – rzucił Kacper i wypił pięćdziesiątkę nalewki, którą na stole obok jedzenia postawił Gustaw.

– Powinieneś prowadzić kanał kulinarny – zaszczebiotała Klaudia i posłała twórcy obiadu kokieteryjny uśmiech. – To wszystko wygląda cudownie i zapewne smakuje zajebiście.

Wszyscy patrzyli na chłopaka i bili mu brawa, jakby zrobił coś wyjątkowego. On zaś z uśmiechem na twarzy podawał kolejne talerze, starając się nie pomylić. Plan na zastosowanie znalezionych w szafce specyfików zrodził się dość szybko, chociaż już po chwili pojawiły się wątpliwości.

Jego babcia była lekarzem internistą i często opowiadała mu o swoich różnych przypadkach. Nie żyła od pięciu lat, a on i tak pamiętał ich rozmowy, jakby odbyły się wczoraj. Nawet te z wczesnego dzieciństwa, które podobno u większości rówieśników zamazywały się i z roku na rok traciły kształt, fakturę czy zapachy i smaki. On jednak wszystkie te wspomnienia pielęgnował i zachowywał w pamięci.

Chodził wtedy do drugiej klasy podstawówki. Siedział u babci na ukochanym fotelu dziadka, którego praktycznie nie pamiętał, bo ten zmarł, gdy Gustaw miał raptem pięć lat. Jadł zupę mleczną, której mama nie chciała mu robić, bo drażnił ją zapach gotowanego mleka, dlatego dostawał ją tylko u babci.

Kobieta przygotowywała dla niego jedzenie, jak zwykle ubrana w kolorowy kitel, jeden z tych, które uszyła dla niej jej koleżanka

krawcowa. Babcia nie chciała chodzić w tych smutnych białych, w których, jak mówiła, czuła się jak zombie.

– Dzisiaj reanimowałam trupa – rzuciła nagle, zupełnie ignorując fakt, że siedzi przed nią ośmioletni chłopiec, a nie dorosły człowiek. Zresztą nawet i większość pełnoletnich osób wzdrygnęłaby się na taką informację i niekoniecznie chciała słuchać o wypadkach, operacjach i innych problemach zdrowotnych, zwłaszcza przy jedzeniu. On jednak siedział jak zaczarowany, czekając w napięciu na opowieść swojej ukochanej babci. – Wyobraź sobie, że pojechałam do zgłoszenia, bo jeden z lekarzy na karetkę dostał sraczki i dzisiaj nie przyszedł do pracy. Więc po swoim dyżurze, zamiast wrócić do domu, zjadłam kanapkę i wskoczyłam do ambulansu. Facet spadł z rusztowania i leżał w pokracznej pozycji na stercie desek. Od razu wiedziałam, że nie żyje, ale jego koledzy mieli inne zdanie na ten temat.

– Jak to inne? Trup to trup – powiedział z ustami pełnymi zupy mlecznej.

– Ty jesteś mądry chłopak, ale niestety oni już tacy nie byli. Twierdzili, że jeszcze chwilę przed naszym przyjazdem ich kolega się poruszał. Na pytanie, co dokładnie zrobił, jeden twierdził, że poruszył ręką, a drugi zapewniał, że zamrugał. Patrzyłam na nich, bojąc się, że zaraz zaczną opowiadać nam o kosmitach. Była jedenasta, a oni ledwo trzymali się na nogach. Jestem święcie przekonana, że w kieszeniach mieli pochowane małpki.

– Małpki? – spytał zdziwiony chłopiec.

– Tak, takie małe, szklane buteleczki z alkoholem, z reguły wódką. W pewnym momencie zaczęli na nas krzyczeć, że my nic nie

robimy, a ich kolega umiera, dlatego nie zastanawiając się, przyklęk-
nęłam przy nim i zaczęłam robić mu sztuczne oddychanie.

– O fuuu – jęknął Gustaw i nabrał kolejną łyżkę swojego ulubio-
nego dania.

– Generalnie nie jest to najmiłsza rzecz, ale gdy pomyślisz, że
dzięki temu możesz komuś uratować życie, to zmienia to perspek-
tywę. Tylko tego pana nie dało się uratować. Po pięciu minutach
wtargnął mój kolega Kondziu, który ma dwa metry i boi się wszyst-
kiego, ale na szczęście raz na jakiś czas ma przebłyski inteligencji.
Stanął przed panami i poważnym tonem powiedział, że ich kolega
niestety nie żyje i musimy zaprzestać wykonywania sztucznego od-
dychania, bo nic to nie da. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, bo
nigdy nie widziałam go tak poważnego. Na szczęście posłuchali go
i mogliśmy ruszyć z procedurą. Ale uciskanie klatki i robienie wde-
chów trupowi nie należało do najfajniejszych rzeczy.

Gustaw uśmiechnął się na to wspomnienie i patrzył na niczego
niespodziewających się ludzi, którzy entuzjastycznie zajadali się
przygotowaną przez niego potrawką z kurczakiem i warzywami, za-
pijając ją zdecydowanie zbyt dużą ilością alkoholu. „Przynajmniej
będzie na co zwalić winę”, pomyślał i nalał sobie odrobinę wysoko-
procentowego trunku do ciemnego kubka, który uniemożliwił in-
nym dostrzeżenie, ile płynu właściwie tam wlał. Szybko uzupełnił to
sokiem jabłkowym i udawał, że rozkoszuje się mocnym drinkiem.
Gra wymagała pełnego zaangażowania, a on nie zamierzał odpuścić.

Rozdział 18

Tym razem nieprzespana noc nie była wynikiem płaczów Mikołaja – syn obudził się raptem raz. To galopujące w głowie myśli Doroty nie dawały jej spokoju. Zupełnie nie spodziewała się pocałunku, który złożył na jej ustach Marek. Już wcześniej widziała jego spojrzenia, takie tęskne, ale była święcie przekonana, że na tym się skończy i do czasu, kiedy nie da wyraźnego zielonego światła, mężczyzna się do niej nie zbliży. Jednak tak się nie stało.

Gdy o szóstej trzydzieści zadzwonił budzik, myślała, że to część okrutnego snu. Najchętniej zignorowałaby jego piskliwy dźwięk, ale nie mogła. Już za trzydzieści minut miała pojawić się kuzynka, a za godzinę była umówiona z Zofią.

Niespiesznie wstała i wykonała swój poranny rytuał, omijając śniadanie, ale robiąc sobie za to podwójną kawę. Miała nadzieję, że to postawi ją szybko na nogi i dodatkowo wpłynie na jej wygląd. Podkrążone oczy i worki pod nimi powodowały, że wyglądała mało atrakcyjnie.

Zamieniła dwa słowa z kuzynką i szybkim marszem dotarła do pracy.

– Pół nocy nie spałam i rozmyślałam o tych naszych księgowych – zaczęła Zofia Grzelczyk bez słowa wprowadzenia, gdy tylko Dorota Czerwińska pojawiła się w zasięgu jej wzroku. Ku jej uciesze zupełnie zignorowała jej wygląd. – Cały czas nie widzę motywu. Dlaczego ktoś atakuje dwóch księgowych, w tym jednego ze skutkiem śmier-

telnym? Na pierwszy rzut oka najłatwiejsza ścieżka to miejsce pracy. Tylko komu nadepnęli na odcisk?

– Może ktoś chciał zabić tylko tego pierwszego, Seroczyńskiego. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale oni są dość podobni. Może stwierdził, że skoro za pierwszym razem mu się nie udało, spróbuje jeszcze raz.

– Naciągana wersja – skomentowała Zofia z lekkim grymasem na twarzy. – Myślisz, że ktoś się nie upewnił, że Seroczyński już nie pracuje w tych kartonach? Poza tym pamiętaj, że wszystko wskazuje na to, że morderca znał również Fularczyka.

– To co proponujesz? – rzuciła Dorota i usiadła obok koleżanki. Z powodu zmęczenia było jej zimno, więc nawet nie zdjęła grubej zimowej kurtki.

– Ja bym stawiała, że obaj coś odkryli.

– Okej, brzmi sensownie. Tylko co? Jeżeli coś na prezesa, to przecież mógł ich zwolnić albo przekupić. Poza tym nie dawałby im rzeczy, które mogły go pociągnąć na dno.

– To może sekretarka miała z każdym z nich romans, chciała czegoś więcej, oni nie byli zainteresowani i bach, dostali w łeb. – Grzelczyk wykonała energiczny ruch ręką, próbując pokazać, jak to mogło wyglądać.

– Ta opcja z sekretarką jest trochę naciągana, ale to, że na coś trafili, zdecydowanie bardziej do mnie przemawia. Warto porozmawiać z jeszcze wcześniejszym księgowym.

Nie czekając na reakcję koleżanki, starsza aspirant Dorota Czerwińska sięgnęła po leżące na biurku akta i wybrała numer do sekretarki, Diany Kownackiej. Po chwili znała już personalia poprzednika Seroczyńskiego.

– Nazywa się Wiktor Koziół. Zaraz dostanę jego adres, jedziemy? – rzuciła, czując, że w końcu się obudziła, a jej głowa zaczęła pracować na odpowiednich obrotach.

Chwilę później siedziały w radiowozie i w powolnym tempie przemieszczały się po stolicy. Nawigacja w telefonie pokazywała, że do celu mają jeszcze trzydzieści minut.

– Chyba któraś będzie musiała zainwestować w samochód – rzuciła rozbawiona Zofia. – Wyglądamy trochę jak takie dwie nieogarnięte blondynki.

– Oj tam, oj tam. Od razu nieogarnięte. Nie ma wymogu posiadania samochodu. Ja niestety musiałam sprzedać swoją strzałę, żeby dołożyć do mieszkania. Może za jakiś czas coś kupię, ale na razie tak mi dobrze – powiedziała Dorota i rozpięła kurtkę. Dopiero teraz zrobiło jej się na tyle ciepło, mimo że od dziesięciu minut waliło na nią ogrzewanie ustawione na dwadzieścia pięć stopni.

– Ja za to najzwyczajniej w świecie nie mam gdzie parkować. Planuję kupić takiego małego smarta, elektryka, ale nie wiem, czy będę nim jeździć do pracy. Przecież te sępy z komendy nie odlecą znad niego przez miesiące. Będą mi dogryzać każdego dnia, a za plecami mówić, że w sumie to superpomysł. Taniej, buspasami można śmigać i za darmo parkować. Nie chce mi się tego słuchać, więc na razie delektuję się podróżowaniem komunikacją miejską i też jest dobrze.

– Czyli jesteście *dream team* – powiedziała Dorota, parkując przed blokiem, gdzie mieszkał poprzedni księgowy. – Myślisz, że będzie w domu?

– Podobno prowadzi własną działalność, więc trzeba liczyć, że go zastaniemy.

Okolica, do której dotarły, nie wyglądała najlepiej, chociaż leżący wszędzie dookoła śnieg na pewno poprawiał jej odbiór. Dookoła wznosiły się niskie budynki, z elewacją pamiętającą zamierzchłe czasy, czyli dość standardowy widok w dużej części warszawskich osiedli.

Weszły na klatkę za starszą panią ciągnącą wózek z zakupami, po czym wspięły się na trzecie piętro. Zapukały pod wskazany adres i czekały. Dorota już miała nacisnąć wysłużony dzwonek, gdy usłyszały szmery za drzwiami, a kilka sekund później otworzyły się one na oścież.

– Słucham? – rzucił na ich widok chudy mężczyzna o zapadniętych oczodołach i mocno zarysowanej żuchwie.

– Dzień dobry, pan Wiktor Kozioł? – spytała Czerwińska i delikatnie się uśmiechnęła.

– Tak, to ja.

– Starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to podkomisarz Zofia Grzelczyk. Możemy porozmawiać?

– Tak, tylko długo to zajmie? Mam dzisiaj zaplanowane sporo pracy.

– Postaramy się nie zająć dużo czasu – odpowiedziała.

Mężczyzna bez słowa wszedł do mieszkania i ruszył w głąb. Obie odczytały to jako zaproszenie i poszły za nim. Zamiast do kuchni lub salonu, które były standardowym miejscem rozmów, zaprowadził je do czegoś na kształt biura. Na środku pomieszczenia stało wielkie biurko, a za nim skórzany fotel, tak typowy dla prezesów wielkich firm. Na każdej ze ścian na półkach równiutko stały segregatory, prawdopodobnie z dokumentami klientów.

– Co panie sprowadza w moje skromne progi? – powiedział pewnym głosem i poprawił kalkulator stojący na biurku.

Próbował udawać, że jest rozluźniony, ale jego ciało mówiło co innego. Swoimi wypielęgnowanymi palcami nerwowo stukał o blat, a prawą nogą miarowo uderzał o podłogę.

– Pracował pan w firmie Kartonpol jako księgowy? – przemówiła jako pierwsza starsza aspirant Dorota Czerwińska, cały czas bacznie przyglądając się mężczyźnie.

Wyglądał zupełnie inaczej niż zamordowany Mariusz Fularczyk i Paweł Seroczyński. Mógł podobać się kobietom, mimo że bił od niego jakiś mrok. Zapadnięte oczy hipnotyzowały ciemnym kolorem, a szelmowski uśmiech, którym co chwilę obdarowywał siedzące przed nim policjantki, wywoływał lęk.

– Tak, zgadza się. Bardzo miło wspominać ten czas. Wiele się nauczyłem i w sumie dlatego zdecydowałem się na otwarcie własnego biura księgowego. Wcześniej nie czułem się gotowy na ten krok.

– Kiedy zaczął pan tam pracować, a kiedy skończył?

– Skończyłem ponad rok temu. Po trzech latach pracy.

– Znał pan Mariusza Fularczyka? – wtrąciła Zofia Grzelczyk, która dotychczas siedziała cicho.

– Tak – odpowiedział trochę zmieszany, po czym ponownie poprawił kalkulator i przysunął się bliżej biurka.

– Kiedy ostatni raz rozmawialiście? – zapytała druga policjantka i rozpięła kurtkę.

– Hmm, w zeszłym tygodniu.

– Aha, kumplowaliście się? – dopytywała dalej.

– Nie nazywałbym tego tak. Zналиśmy się ze studiów. Ja poleciłem go na stanowisko księgowego w Kartonpolu – odpowiedział mężczy-

zna, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Rozumiem, że słyszał pan o jego śmierci? – spytała Dorota Czerwińska.

– Tak, nadal nie mogę w to uwierzyć. – Zrobił smutną minę, wykrzywiając usta w podkówkę. – Szczerze powiem, że była to pierwsza osoba w moim wieku, która zmarła. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś go zabił. Był niezmiernie spokojnym i wręcz niezauważalnym człowiekiem. Miałem wrażenie, że obcowanie z ludźmi stanowiło dla niego duży problem. Zawsze ciężko się z nim rozmawiało, szczególnie w miejscach publicznych. Jednak jako księgowy spisywał się rewelacyjnie.

– A skąd dowiedział się pan o jego śmierci? – odezwała się Grzelczyk.

– Kolega do mnie zadzwonił. Też ze studiów. Powiedział, że Mariusz nie żyje. Na początku zupełnie nie zrozumiałem. Szczególnie że podkreślił, że został zamordowany. Tak bardzo nie pasowało to do Fularczyka, że mój mózg nie mógł tego ogarnąć. Mariusz co najwyżej mógłby wpaść pod samochód, zachorować, ale nie paść ofiarą morderstwa...

– Kiedy ostatni raz widział się pan z zamordowanym? – spytała Dorota.

– My... – Mężczyzna zawiesił głos i podrapał się po czole. – Mieliśmy się spotkać w dniu, kiedy zginął.

Kobiety spojrzały na siebie ze zdziwieniem.

– I co się stało, że do spotkania nie doszło? – odezwała się jako pierwsza Czerwińska.

– Moja narzeczona zadzwoniła, że córeczka ma gorączkę. Ona zawsze panikuje w takich sytuacjach, więc nie dojechałem na miejsce.

Pomogłem jej przy córce, obejrzelśmy film i zupełnie zapomniałem o spotkaniu.

– A pamięta pan, co oglądaliście? Film, serial, program przyrodniczy? – wtrąciła Zofia Grzelczyk.

– Hmm... To było... nie wiem, nie pamiętam. Nie mam do takich rzeczy głowy. To narzeczona zawsze wybiera filmy, ja nie mam nic do gadania – odpowiedział zmieszany.

– Może pan coś więcej opowiedzieć o znajomości z Fularczykiem, jaki był?

– Cichy. Zamknięty w sobie.

– Czy mógł mieć jakieś problemy seksualne?

– Nie wiem, aż tak się nie kumpłowaliśmy. A w ogóle to czemu pani pyta?

– Nie mogę panu powiedzieć. Tajemnica śledztwa. – Uśmiechnęła się serdecznie, mimo że mężczyzna denerwował ją jak mało kto ostatnio. – Proszę jeszcze opowiedzieć o swoim następcy, Pawle Seroczyńskim. Znaliście się wcześniej?

– Tak – odpowiedział i zmrużył oczy, a na jego twarzy pojawił się cień zdenerwowania.

– Można wiedzieć skąd?

– Nie wiem, nie pamiętam dokładnie, ale strzelałbym, że poznaliśmy się na jakiejś konferencji lub szkoleniu. Ja należę do tych, co cały czas się doszkalają, a książki jakoś mi nie wchodzą, dlatego wolę spotkania w realu.

– Czy utrzymywali panowie kontakty towarzyskie?

– Nie – odpowiedział podniesionym głosem, jakby to było czymś obraźliwym. – Tak naprawdę to chyba najdłużej rozmawialiśmy pod-

czas zdawania mu moich obowiązków, bo to on po mnie został zatrudniony na stanowisko księgowego w firmie Nowickiego.

– Wie pan, że Paweł Seroczyński został pobity? – spytała Czerwińska.

– Tak, ale z tego, co słyszałem, to w domu.

– Zgadza się.

– Nie wiem, jak to możliwe, że dwóch księgowych z tej samej firmy doznaje uszczerbku na zdrowiu, z tego jeden ze skutkiem śmiertelnym... – W tym momencie popatrzył na komisarz Zofię Grzelczyk, zmarszczył czoło, a płatki jego nosa wydęły się. – Czy mi coś grozi?

Obie policjantki spojrzały na siebie zdziwione. O tym ani przez sekundę nie pomyślały.

– Nie sądzę – wtrąciła Dorota Czerwińska, mimo że nie do niej zostało skierowane pytanie. – Nic nie wskazuje na to, aby był pan w niebezpieczeństwie.

– Uff... – odetchnął i spojrzął na zegarek. – Czy możemy już skończyć? Zaraz mam umówioną rozmowę z ważnym klientem – spytał, a na jego twarzy pojawił się niezbyt szczery uśmiech.

– Tak. Na dzisiaj dziękujemy – powiedziała Dorota.

Pożegnały się z mężczyzną, który zaczął się pocić ze zdenerwowania, co nie uszło uwadze policjantek.

– Facet jest śliski okropnie. – Jako pierwsza odezwała się Zofia, gdy tylko znalazły się w samochodzie. Odpaliła silnik i cierpliwie czekała, aż zgromadzony podczas krótkiej wizyty śnieg na przedniej szybie się roztopi. – Ta historia, że mieli się spotkać, ale nie dojechał, śmierdzi na kilometr.

– To co robimy?

- Trzeba zadzwonić do pani prokurator i wyprosić załatwienie dostępu do jego telefonu. No i trzeba przepytac tę narzeczoną. Może coś chlapnie i będziemy miały punkt zaczepienia.

Rozdział 19

– Czy to krew? – spytała zaskoczona Klaudia, gdy następnego dnia weszła do kuchni.

Na podłodze obok stołu raziała po oczach zaschnięta czerwona plama sporych rozmiarów. Pomieszczenie zupełnie nie przypominało tego, które zastali dzień wcześniej, wprowadzając się do dziwnego budynku. Wszędzie wałały się brudne naczynia, resztki jedzenia i puste butelki po alkoholu w liczbie zdecydowanie za dużej, biorąc pod uwagę, że mieszkali tu raptem w piątkę. Ale nie to było najgorsze. Kwaśny zapach drażnił w nos tak intensywnie, że dziewczynie momentalnie zrobiło się niedobrze.

Zresztą od rana czuła się dziwnie i patrząc na zostawiony bałagan, wiedziała, co było przyczyną jej kilku nadprogramowych wizyt w toalecie, podczas których miała wrażenie, że wybuchnie. Jeszcze nigdy się nie zatrula, a choroby, o których opowiadały niektóre koleżanki, jak choćby rotawirus, omijały ją szerokim łukiem, dlatego siedząc po raz czwarty na toalecie, była przerażona. Uczucie to wiązało się nie tylko z faktem, że nie wiedziała, jak sobie poradzić z tą sytuacją, ale też z tym, że nie będzie w stanie brać czynnie udziału w zadaniach. Po każdej wizycie ubywało jej sił, a nie wiedziała, ile jeszcze razy taka sytuacja się powtórzy.

Czując skręcające się jelita, patrzyła na pomieszczenie i próbowała coś sobie przypomnieć. Niestety, niewiele pamiętała z tego, co działo się podczas późnego obiadu. Gustaw przygotował nie najgor-

szą potrawkę, którą zdecydowanie za mocno przyprawił. Chłopak chciał się popisać i dodał za dużo przypraw, które drażniły ją przy każdym kęsie, ale nie skomentowała tego, obawiając się, że przykry obowiązek gotowania spadnie na nią, a naprawdę tego nie znosiła. W czasie posiłku każdy opowiedział coś o sobie, poświęcając większość wypowiedzi swojej aktywności w mediach społecznościowych. Dlatego zamiast na jedzeniu skupiła się na rozmowie i poznaniu reszty domowników.

– To ja zacznę – powiedział jako pierwszy Gustaw, który nie miał krzesła, dlatego zupełnie bez krępacji usiadł na stole, spuszczać gołe stopy na podłogę i nic sobie nie robiąc z faktu, że kogoś może to denerwować. – Przede wszystkim, jak chcecie, możecie mówić do mnie Gucio, mimo że brzmi to trochę infantylnie. Generalnie to studiuje prawo, ale chyba nie tym będę zajmował się w życiu, chociaż jak to powtarza mój tata, „warto mieć dobre wykształcenie, zawsze może się to kiedyś przydać” – ostatnie słowa wyrecytował pewnym głosem. – Aktualnie skupiam się na moim profilu na Instagramie, gdzie sporo się ostatnimi czasy dzieje. Przede wszystkim pokazywałem swoją metamorfozę.

– Matko, nie mów, że byłeś dziewczyną! – powiedziała Blanka, wytrzeszczając oczy i składając usta w dzióbek. – Jak zaraz usłyszę coś takiego, to zwątpię, zrzygam się i zostanę zakonnica. A to byłaby strata.

– Nie bój żaby – rzucił chłopak i włożył do ust łyżkę ryżu z warzywami. – Byłem kiedyś gruby jak świnia. – Wydał policzki i zaprezentował wszystkim swoją okrągłą twarz. – Ważyłem prawie sto trzydzieści kilogramów. Ponad dwa lata temu przeprowadziłem się do Warszawy. Nie wiem dlaczego, ale dopiero wtedy doszło do mnie, że nie

chcę taki być. W domu matka zawsze mnie przekarmiła, a później ja sam się pasłem. Uwierzcie mi, wyglądałem strasznie, pociłem się niemiłosiernie. Gdziekolwiek wszedłem, roztaczałem obrzydliwy odór. Nie wiem, jak sam ze sobą wytrzymałem. Na szczęście to się skończyło i zaczęła się nowa era. Siłownia, dieta, medytacje. Schudłem ponad pięćdziesiąt kilogramów i teraz laski na mnie lecą, bo mam to. – W tym momencie podniósł koszulkę i zaprezentował zgromadzonym idealnie powcinany sześciopak.

– Wow! – odezwała się jako pierwsza siedząca najbliżej chłopaka Blanka i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć, jednak chłopak szybko zasłonił brzuch i delikatnie musnął jej dłoń swoją.

– Nie tak szybko... – Puścił oczko i ponownie nabrał sporą porcję przygotowanego przez siebie posiłku. – Generalnie w sieci publikuję filmiki z siłowni, moje jedzenie i coraz częściej doradzam innym w kwestiach diety i treningów. Nie uwierzycie, ale ludzie mi za to płacą całkiem niezły hajs. Jakbyście chcieli, to was też mogę poprowadzić – powiedział, cały czas patrząc na Blanke, która również nie odrywała od niego wzroku nawet na sekundę.

– A jak myślisz, dlaczego tutaj jesteś? – spytał nagle Kacper, który poczuł się niewidzialny przy brylującym koledze.

– To chyba widać od razu. – Gustaw przeczesał włosy jak gwiazdor kina i dumnie wypiął klatkę. – Inteligencja, uroda i wrodzony czar. Mam wszystko, co uwielbia internet. Poza tym moja osobowość i wiara w siebie powodują, że ludzie do mnie lgną. Kiedyś ktoś napisał, że jestem inspirujący. I tego właśnie chcę, zmieniać ludzi. Te ostatnie dwa lata pokazały mi, że *sky is the limit*. Nie ma rzeczy niemożliwych i jeżeli się wierzy w coś mocno, to na bank się uda. Nie znoszę tych wszystkich zrzedzających ludzi, którzy cały czas piszą, jak

jest źle, niedobrze i co im nie wyszło. Jebię ich i mam nadzieję, że dojdzie do nich, że nie tędy droga. Niektórzy czepiają się mnie za to, że tak nie powinno się robić, bo przecież niektórzy są chorzy i faktycznie mają pod górkę. Jak dla mnie to pieprzenie. Każdy jest w stanie się zmienić, tylko musi tego naprawdę chcieć. Gdybym nie uparł się na zmianę, teraz pewnie ważyłbym sto pięćdziesiąt kilogramów i siedział w domu, co chwilę mdlejąc od własnego smrodu. A ty co robisz? Bo modelem nie jesteś... – rzucił Gustaw, robiąc lekki przytyk w kierunku wyglądu kolegi.

Kacper nie miał tak pociągłej i wyrazistej twarzy, a pulchne policzki powodowały, że jego niebieskie oczy zapadały się. Ekstrawagancka fryzura sprawiała, że wyglądał może ciekawie, ale niekoniecznie atrakcyjnie.

– Ja stawiam bardziej na intelektualne aspekty – rzucił z przekąsem, wyraźnie wkurzony. – Niby twierdzisz, że jesteś studentem prawa, a zachowujesz się raczej jak sterydźiarz, który nigdy książki nie widział.

W pomieszczeniu zaległa cisza, a wszystkie trzy dziewczyny przenosiły wzrok z jednego chłopaka na drugiego, zastanawiając się, który pierwszy rzuci się do bitki.

– To poleciałeś, smerfie – skomentował Gustaw i uśmiechnął się do kolegi. – Mój drogi, wyluzuj trochę, bo ci żyłka pierdząca pęknie i będzie śmierdziało. W życiu trzeba mieć trochę luzu, bo inaczej człowiek gnije od środka.

– A co, ty jakiś fekaliowy specjalista jesteś?

– Ja nie, ale...

Nie zdążył skończyć, bo w tym momencie siedząca po drugiej stronie stołu Blanka nagle wstała, odepchnęła krzesło, na którym sie-

działa, podbiegła do równo ułożonych pod oknami kartonów i zaczęła wymiotować, a pomieszczenie wypełnił kwaśny zapach.

– Widzisz, do czego doprowadziłeś? Już doszedł do niej twój smród po pęknięciu żyłki pierdzącej! – zaśmiał się Gustaw i teatralnie zatkał nos.

– Żałosny jesteś – skomentował Kacper i podobnie jak reszta ruszył do dziewczyny, która cały czas wisiała nad jednym z kartonów.

Brunet nadal siedział na stole, nie ruszając się nawet o milimetr. Po pięciu minutach wszyscy siedzieli z powrotem na swoich miejscach, popijając kolejne drinki. Błada jak ściana Blanka odezwała się jako pierwsza:

– Nie wiem, co się stało – zaczęła przeproszającym głosem. – Od dawna mi się nie zdarzyło coś takiego. Ale siara...

– Spoko, wszystko okej – powiedział Kacper.

Uśmiechnął się do dziewczyny i wypił łyk drinka – wódki z sokiem jabłkowym – którego przed chwilą zrobił sobie i pozostałym uczestnikom zabawy. Tylko Gustaw odmówił. Twierdził, że nie lubi wódki i woli whisky.

– Opowiesz, czym się zajmujesz? – spytała Patrycja i zalotnie uśmiechnęła się do chłopaka, dokładnie tak samo jak kilkanaście minut wcześniej do Gustawa.

– Jestem komikiem.

– Ale ekstra! – krzyknęła podekscytowana Klaudia, która dotychczas siedziała cicho. – Ja uwielbiam CrazyMuffina. Jak tylko pokazuje się nowy skecz, oglądam parę razy. Są genialne. Też takie robisz?

– Niektórzy twierdzą, że moje są nawet lepsze. Generalnie nabijam się ze wszystkiego. Każdy temat jest dobry, nawet spotkanie z takim pajacem jak ten tutaj.

Puścił oko do Patrycji, wskazując na Gustawa. Ten zupełnie ignorował zaczepki kolegi, jedząc powoli swoje danie i patrząc na krajobraz za oknem. Sypiący cały czas śnieg powodował, że zielona trawa, którą mogli podziwiać dzień wcześniej, zniknęła, a białe korony drzew zlewały się z chmurami.

– Wymyślisz coś dla nas? – spytała Klaudia, która jakby nie dostrzegając, że nie ona wywołuje największe zainteresowanie Kacpra.

– Hmm... – Chłopak popatrzył na nią, uniósł prawą brew i zaczął mówić: – Pyta smerf Papy Smerfa: „Co to są cycki?”. Ten drapie się po głowie i odpowiada: „Dowód na to, że mężczyzna może skupić się na dwóch rzeczach naraz”.

– Zajebiste! – skomentowała Klaudia, bijąc brawo.

– Mam jeszcze jeden – rzucił szybko i uśmiechnął się do dziewczyny zalotnie. – Smerfetka pyta Papy Smerfa: „Dlaczego kobiety żyją dłużej?”. Ten na to: „Bo Pan Bóg doliczył im czas na parkowanie”.

– Dobry jesteś – rzuciła Patrycja i pociągnęła duży łyk swojego drinka. – Dużo takich znasz?

– Tysiące – odpowiedział z dumą w głosie.

– A dasz radę na tym zarabiać? – wtrącił kąśliwie Gustaw, cały czas patrząc na widok za oknem.

– Pewnie, i to zdecydowanie lepiej niż ty na swoich pseudopora-
dach. Dostałem już kilka zaproszeń na imprezy firmowe. Oczywiście
odpłatne – skłamał. – A co najważniejsze, dotychczas wcale się nie
promowałem. Jestem już po pierwszej rozmowie z agentem, który
ma zająć się wyszukiwaniem dla mnie klientów, więc jeszcze o mnie
usłyszycie.

– Zazdroszczę – powiedziała trochę smutnym głosem Patrycja. –
Ja dopiero zaczynam. Jeszcze nie mam sprecyzowanego pomysłu na

siebie, ale sieć to moje miejsce. Tam czuję się najlepiej.

Dwie pozostałe dziewczyny pokiwały głowami. Wieczór zwierzeń rozwijał się powoli, a stężenie alkoholu w żyłach czwórki z nich rosło. Gdy sięgnęło poziomu zdecydowanie przekraczającego normę, nagle pojawiły się wyzwiska, których każdy wolałby uniknąć. A na końcu w ruch poszły pięści, na czego ślady w postaci siniaków Klau-
dia patrzyła, nie mogąc sobie przypomnieć przebiegu zdarzeń.

Rozdział 20

– Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam! Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam! – śpiewała Kasia, wchodząc do mieszkania przyjaciółki. W jednej ręce niosła mały torcik, a w drugiej bukiecik. – Niech żyje nam! Kochana, wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Obyś była szczęśliwa jak nigdy, a mały Mikuś wygrywał wszystkie konkursy na najgrzeczniejszego malucha w Mazowieckiem.

– Oj, mógłby, nie obraziłabym się – skomentowała Dorota i wyściaskała przyjaciółkę.

Szybko dokończyła przygotowania do kolacji, a w tym czasie Kasia odwiedziła śpiącego już małego.

– Jezu, jaki on śliczny! – pisnęła, gdy tylko zamknęła za sobą białe drzwi do sypialni. – Chyba podobny do tatusia? Chociaż widziałam go tylko dwa razy.

– Oby nie, bo będzie strasznym podrywaczem.

– Matko... – szepnęła Kasia z niedowierzaniem. – Marek już sobie jakąś znalazł?

– Nie, na razie roi sobie, że coś będzie między nami – powiedziała lekkim głosem Dorota, układając sztucę na stole.

– To chyba dobrze?

– Nie. Ja nic nie chcę. Potrzebuję spokoju. Poza tym po Jakubie muszę odpocząć.

– A... – Kasia urwała i chwyciła za bagietkę z pomidorami i czosnkiem.

– A co? Chciałaś coś powiedzieć.

– Matko, czy ty musisz to robić nawet po pracy? Wyczuwać niewypowiedziane?

– Muszę. Gadaj! – Pogroziła przyjaciółce palcem i wlepiła w nią wzrok, udając groźną.

– Spotkałam ostatnio Jakuba.

– I co u niego?

– Dobrze, zmienił pracę. Kupił małe mieszkanie i pytał, czy mogłabym mu pomóc je wykończyć.

– To super. Mam nadzieję, że się zgodziłaś – powiedziała Dorota i nałożyła sobie sałatki.

– Wstępnie się umówiliśmy na spotkanie w przyszłym tygodniu. W tym wyjechał.

– To w czym problem?

– Nie był sam – odpowiedziała bardzo cicho Kasia.

– Aha.

– Z dziewczyną – dodała jeszcze ciszej.

– Cieszę się, że u niego dobrze – skomentowała Dorota, chociaż poczuła delikatne ukłucie zazdrości. Jeszcze chwilę przed narodzinami Mikołaja Jakub pisał do niej SMS-y i maile z prośbą o spotkanie. Cały czas liczył, że wrócą do siebie. – Wiem, że mocno przeżył to, co się stało. Moją ciężę, wyjazd...

– Nawet bardzo u niego dobrze – wtrąciła Kasia. – Wpadłam na nich w windzie. Nie miałam gdzie uciec i bardzo źle mi z tym było.

– Ładna? – rzuciła Dorota.

– Taka blondyneczka drobna. Zupełnie inna niż ty.

– Czego mi nie mówisz?

– Pokazała mi pierścionek. Zaręczynowy.

– Aaa, szybko.

– Trochę. On chyba wyczuł, że to dość dziwna sytuacja, bo odciągnął ją prawie siłą, jak wyszliśmy z windy. Ona dalej chciała opowiadać o ich romantycznych zaręczynach, ale powiedział, że muszą iść, bo zaraz się dokądś spóźnią. Tylko chyba wcale się nie spieszyli, bo ona patrzyła na niego zdziwiona.

– Fajnie, że sobie ułożył życie – powiedziała Dorota i sięgnęła po butelkę, której nie dopiła podczas ostatniego spotkania z Markiem. – Chociaż on jest szczęśliwy.

– A ty nie jesteś?

– Nie to chciałam powiedzieć. Chociaż on układa sobie z kimś życie.

– Przecież ty też możesz – rzuciła Kasia i wytrzeszczyła oczy. – Marek bardzo chętnie zagościłby w twoim życiu na stałe i zapewniam cię, że nie tylko z powodu Mikołaja.

– Może i tak, ale na razie nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Lepiej opowiadaj, jak ty się czujesz i jak przygotowania do ślubu. Chyba w końcu powiecie sobie to kończące życie „tak”.

– Ty jak zwykle swoje. Ślub to nie pogrzeb. A jeśli chodzi o szczegóły, to wysyłałam ci zdjęcia potencjalnych sukienek.

– No tak. Są piękne, takie w twoim stylu.

– Tak myślałam. – Zaśmiała się. – Ty pewnie poszłabyś do ślubu w białym dresie.

– Alternatywnie w jednoczęściowym kostiumie, ale koniecznie w jakichś odjazdowych trampkach.

– Masakra. Ja nie mogę zrozumieć, jak to jest, że cię tak lubię, skoro w większości kwestii jesteśmy tak różne.

– Ha ha, i wzajemnie. A tak serio, jakbym miała ci coś pomóc, to dawaj znać.

– No co ty, ja, organizatorka wszelakich imprez, miałabym prosić kogoś o pomoc? Właściwie wszystko już rozpisane na dziesięć etapów. I tak jest łatwiej, bo kościelnego ślubu nie będzie. Chociaż podobno po tym wszystkim, co zrobił Konrad, nie byłoby tak trudno unieważnić tamto małżeństwo.

– Ja się tam nie znam, ale jakby co, wrzucę Mikołaja w wózek i pociągiem, autobusem, autostopem, jakkolwiek, ale ogarniemy wszystko, co trzeba, aby ciocia Kasia była najszczęśliwsza na świecie.

Rozdział 21

– Kacper uderzył Patrycję – powiedział Gustaw jakby z dumą w głosie, gdy zobaczył stojącą na środku kuchni Klaudię, której mina mówiła sama za siebie: „Co, do cholery, tutaj się stało?”.

– Jak to uderzył?

– A co pamiętasz?

– No... twoją kolację. Wymianę zdań z Kacprem, którego nazwałeś smerfem, i wymioty Blanki. I w sumie później to nic. Mam totalny blackout, co raczej mi się nie zdarza. Zresztą dziwnie się czuję. Jakbym miała gripę żołądkową...

– Sraczka? – spytał bez owijania w bawełnę, a widząc kiwnięcie głową dziewczyny, zrobił smutną minę. – To współczuję – westchnął chłopak, po czym podszedł do stojącego przy ścianie kosza na śmieci i zaczął sprzątać walające się dookoła rzeczy. – A co do twojej pamięci, to niewiele straciłaś. Chwilę później doszło o awantury i zaraz było po wszystkim.

– Awantury? – powtórzyła po nim dziewczyna i przysiadła na jednym z czterech krzeseł, nic sobie nie robiąc z faktu, że na powierzchni do siedzenia jest mnóstwo okruszków po bliżej nieznanym pokarmie. Również fakt, że rozmówca w tym czasie zamiatał, raz po raz podnosząc z ziemi walające się śmieci, nie robił na niej wrażenia. Rozsiadła się jak królowa, kładąc stopy w puchatych kapciach na stojącym obok krześle.

– Blanka znowu wymiotowała, a Patrycja dostała jakiegoś ataku śmiechu. Ni z gruszki, ni z pietruszki zaczęła wszystkich wyzywać. Generalnie gadała straszne głupoty, ale chyba powiedziała coś, co obraziło naszego niebieskowłosego, bo ten jej przywalił, jakby był kuzynem Bruce’a Lee.

– Matko, i co jej zrobił?

– Wyglądać wyglądało to strasznie, bo strzelił ją w nos i poleciała krew, tak intensywnie, że zalała ją całą.

– To jej? – Wskazała na podłogę.

– Tak. Blanka tak się przestraszyła, że to coś poważniejszego, że osunęła się na ziemię. Zresztą ty też wpadłaś w panikę. Piszczalaś, aż mnie bębenki zaczęły boleć.

– Przepraszam – powiedziała smutnym głosem. – Zawsze panikuję na widok krwi. Mam jakiś wewnętrzny lęk przed nią. Parę razy zemdlałam, więc ciesz się, że nie padłam jak Blanka.

– Byłoby ciekawie – powiedział przeciągle i uśmiechnął się do niej uwodzicielsko. – Wczoraj jednak pokazałaś zupełnie inną twarz. Ciekawszą.

– Ja? – rzuciła dziewczyna i poprawiła niesforny kosmyk włosów, który uparcie cały czas spadał jej na czoło.

– Tak – powiedział i stanął metr od niej. Na jego twarzy pojawił się zadziorny uśmiech, a oczy zaświeciły. – Serio nie pamiętasz tego?

– Ale czego?

– Przystawiałaś się do mnie. Gdy Blanka się ocknęła, poszła z Patrycją do łazienki. Tej drugiej krew cały czas leciała z nosa i Blanka zaoferowała jej pomoc. Twierdziła, że często jej leci krew i ma na to patent.

– Pewnie wciąga za dużo białego proszku – skomentowała kąśliwie dziewczyna.

– Kacper zniknął nagle i zostaliśmy sami. Nagle zaczęłaś mi opowiadać o tym, jacy to faceci są straszni, o ostatnim chłopaku, który uwielbiał ostry seks, ale nie dawałaś rady, więc poszedł gdzie indziej.

– Serio? Powiedziałaś ci o tym? – wtrąciła zdziwiona i sięgnęła po stojącą na stole butelkę piwa. Otworzyła, uderzając o rant stołu, nic sobie nie robiąc z faktu, że według wiszącego na ścianie zegara była zaledwie dziewiąta dziesięć rano.

– Tak, ale to nic. Nagle wstałaś i zaczęłaś...

– Co zaczęła robić Klaudusia? – rzuciła Patrycja, która nagle wyszła z za rogu. – Czyżby jakieś zbereżne rzeczy? – Przybyła cmoknęła w stronę dziewczyny.

– To chyba nie jest twoja sprawa, lepiej zajmij się sobą. Pobiłaś się z kimś o klienta? – skomentowała Klaudia, z rozbawieniem patrząc na siniec pod lewym okiem koleżanki, widoczny mimo grubej warstwy makijażu.

Dziewczyny mierzyły się chwilę spojrzeniem jak byk z matadorem na arenie, aż Patrycja przeniosła wzrok na Gustawa i zupełnie ignorując koleżankę lub nie mając pomysłu na ripostę, rzuciła:

– Nieźle gotujesz – powiedziała i pociągnęła jedno z krzeseł, tak aby usiąść naprzeciwko chłopaka, który cały czas latał z miotłą. Ona również nie wpadła na pomysł, aby mu pomóc. – Kto cię nauczył?

– Sam się nauczyłem pichcić – odpowiedział, podnosząc kolejne opakowanie po chipsach, które Blanka znalazła w jednym z kartonów. – Moja mama zawsze tłusto gotowała, więc jak postanowiłem schudnąć, musiałem wszystkiego nauczyć się sam. I...

Tym razem to on nie skończył, bo zza rogu wyleciał niczym pocisk Kacper. Podbiegł do prężącego się kolegi i wyprowadził cios, który w ułamku sekundy powalił przyszłego prawnika.

– Ty złamany kutasie! – darł się. – Co mi dorzuciłeś do żarcia?! Ja nigdy nie podniosłem ręki na kobietę! – krzyczał, a zszokowane dziewczyny zerwały się na równe nogi, jednak zamiast podejść i rozdzielić mężczyzn, asekuracyjnie się od nich odsunęły.

Kacper znowu walnął Gustawa w skroń, powodując u niego chwilową utratę przytomności i uniemożliwiając jakąkolwiek reakcję. W tym momencie usłyszeli głos:

– Witajcie. Mam nadzieję, że wczoraj bawiliście się wyśmienicie, lepiej poznaliście towarzyszy i jesteście gotowi do pierwszego zadania.

Dziewczyny spojrzały na siebie z lekkimi uśmiechami na twarzach, jakby zapomniały już o mającej miejsce chwilę wcześniej wymianie uszczypliwości, a Kacper zszedł z leżącego na ziemi kolegi i zajrzał do jednego z kartonów. Wyciągnął czerwono-zielone jabłko i wgryzł się w nie, ignorując nadal nieruchomego przeciwnika.

– Zjedzcie śniadanie i równo o dwunastej macie być gotowi do wyjścia. Ciepłe ubrania znajdziecie przed drzwiami wyjściowymi w kartonie. Po śniadaniu zabierzcie rzeczy i oddalcie się do swoich pokojów. Jeszcze przed wyjściem nagrajcie kilka słów o sobie, o osobach, które poznaliście, i o swoich marzeniach. Na tej podstawie zbudujemy czołówki do sieci.

Rozdział 22

– Imię i nazwisko? – spytała Dorota Czerwińska siedzącej naprzeciwko nich partnerki Wiktora Kozła, który jak na razie był ich jedynym punktem zaczepienia. Znał obie ofiary, a jego zachowanie wzbudziło ich zainteresowanie. Podczas rozmowy wyglądał tak, jakby się czymś denerwował.

– Kinga Wasilewska.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty siódmy czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, Grudziądz.

– Miejsce zamieszkania?

– Warszawa, Kwitnącej Wiśni sto czterdzieści dziewięć, mieszkania trzynaście.

– Czym pani zajmuje się na co dzień? – kontynuowała wypytywanie Czerwińska.

– Aktualnie nigdzie nie pracuję na stałe. Dorabiam sobie jako makijażystka na weselach, a głównie opiekuję się córką.

– Jej ojcem jest Wiktor Kozioł?

– Tak – odpowiedziała lekko obruszona.

– Co robiła pani w wieczór jedenastego stycznia?

– Byłam w domu – odpowiedziała, patrząc cały czas na przestrzeń między policjantkami, jakby bała się spojrzeć którejs z nich

w oczy. – Mała się źle poczuła, więc zadzwoniłam po Wiktora. Przyjechał i pomógł mi przy córce.

– Ile córka ma lat?

– Cztery.

– Co dokładnie jej dolegało? – dopytywała Dorota.

– Dostała gorączki. Ja bardzo denerwuję się takimi rzeczami. Wpadam w popłoch i najchętniej jechałabym od razu do szpitala na ostry dyżur. Moi rodzice zawsze panikowali, gdy katar leciał mi z nosa, a skaleczenie czy kaszel to był już stan zejściowy. Niestety odziedziczyłam to po nich, dlatego Wiktor wspiera mnie i nieco hamuje w tych paranojach.

– To się chwali – wtrąciła Dorota i spojrzała na koleżankę, lekko zmieszana. – Czy mąż...

– Jeszcze partner – poprawiła ją kobieta z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Przepraszam, czy partner wychodził tego wieczora?

– Nie. Gdy mała zasnęła, obejrzeliśmy coś w telewizji i poszliśmy spać. Cały czas był ze mną, no, może poza wyjściem do toalety – zaśmiała się.

– Czy kiedykolwiek partner wspominał o panu Mariuszu Fularczyku?

– Tak, nawet kiedyś poznałam go osobiście. Bardzo spokojny mężczyzna, myślałam, że Wiktor jest opanowany, ale on był wręcz ekstremalny w swoim spokoju.

– Kiedy to było?

– Ze dwa lata temu, przez przypadek na jakimś kongresie dla księgowych. Pojechałam tam jako asystentka. Wiktor miał wtedy przemowę i potrzebował pomocy przy rozdawaniu prezentacji i ta-

kich technicznych rzeczach. Panowie nie widzieli się od lat. Później umówili się raz na piwo, ale Mariusz nie pił, więc wyszła z tego herbata czy kawa.

– A ostatnio? Coś wspominał o nim?

– Tak – odpowiedziała pewnym głosem. – Tego wieczora, o który pani pytała, miał się z nim spotkać, ale przeze mnie nie dojechał. Miałam wyrzuty sumienia, ale powiedział, że nie powinnam, przecież mogą spotkać się innym razem.

Policjantki pogadały z kobietą jeszcze chwilę i wyszły.

– Jest nad wyraz spokojna – skomentowała Zofia Grzelczyk i wyciągnęła telefon, który zaczął dzwonić jej w kieszeni. Wysłuchała, co ktoś po drugiej stronie ma do powiedzenia, i rzuciła: – Jacek Zagor chce z nami pogadać.

Dziesięć minut później siedziały naprzeciwko starszego mężczyzny, który stukając w klawiaturę tylko palcami wskazującymi, wprowadzał dane ze zrobionych wcześniej notatek. Policjantki usiadły po przeciwnej stronie dużego białego biurka, którego praktycznie całą powierzchnię zastawił aktami, kubkami i opakowaniami po jedzeniu.

Dorota Czerwińska została mu już wcześniej przedstawiona, ale pierwszy raz mogła mu się tak naprawdę przyjrzeć. Mężczyzna miał co najmniej sześćdziesiąt lat, a na głowie kruczoczarne włosy, które prawdopodobnie pofarbował dzień wcześniej, bo skórę pod nimi i przy uszach zdobiły cały czas czarne plamy.

– Miło was widzieć – zaczął, kiedy w końcu skończył pisać. – Jak wam mija dzień? Dzisiejsza pogoda jest okropna, a podobno nie będzie lepiej. Idzie jakiś arktyczny mróz znad Rosji i dowali nam nieźle zimnem. Podobno ma być nawet minus dwadzieścia stopni. Dawno

u nas tak zimno nie było. Pamiętam, jak byłem mały, to takie zimy były standardem. Lepiliśmy co roku bałwana, który stał przez trzy miesiące, a teraz jak spadnie cokolwiek śniegu, trzeba szybko się uwijać, bo zaraz zniknie. Dwa lata temu mojej wnuczce taczka od sąsiadów zwoziłem śnieg. Napadało raptem dwa centymetry, a ja z łopata latałem i zgarniałem. Udało nam się zrobić takiego małego bałwanka. Następnego dnia rano, jak wstaliśmy, wszędzie było zielono, a przed naszym domem stało białe coś. Nie przypominało już tego, co stworzyliśmy wieczór wcześniej. A co do mrozu, to ja na szczęście mam jeszcze ubrania szyte za komuny. Jakości tak dobrej, że lata lecą, a to się nie niszczy i wygląda prawie jak w dniu zakupu. Teraz to robią takie gówna, że po dwóch założeniach się rozpada. Ostatnio kupiłem sweter, kosztował ze trzy stówy, wyprałem tak, jak było napisane na metce, i to był koniec. Zrobiła się z niego taka szmata, że nie dało się już tego założyć.

– Czy możesz przejść do sedna? – rzuciła w końcu poirytowana Zofia Grzelczyk i zacisnęła usta.

– A no tak. No dobra, sprawa wygląda następująco. Przeszukaliśmy całe mieszkanie tego Osła – cmoknął i otworzył leżącą najbliżej papierową teczkę.

– Kozła – poprawiła go Czerwińska.

– Przepraszam, pomyliły mi się zwierzaki. Gdy byłem mały, moi dziadkowie mieli małego osła, przeurocze zwierzę. Zawsze podgryzał mi szalik, a mojej siostrze włosy, myśląc, że to sianko. Ale wracając do sprawy... – Zreflektował się, widząc spojrzenie kobiet. – Jak to ja, przeszukałem każde pomieszczenie bardzo dokładnie. Miałem do dyspozycji dwóch takich młodziaków, ale ja im nie ufam. Już parę razy przejechałem się na ich niedokładności. Ostatnio jeden nie za-

uważył łuski, która przetoczyła się i wpadła pod szafkę. Jak się później tłumaczył, myślał, że w taką centymetrową szparę nic się nie zmieści. Więc sprawdziłem po tych żółtodziobach raz jeszcze i znowu przekonałem się, że brakuje im szóstej klepki albo jakiegoś zmysłu, bo przegapili jedną ważną rzecz. No więc w szafce z butami znalazłem zimowce. Wiem, niezbyt to zaskakujące, ale na jednym z nich, a dokładniej na prawym, była zaschnięta substancja brunatnoczerwonego koloru. Pierwszy test zrobiony na miejscu potwierdził, że to krew.

– Wow! – krzyknęła Zofia i klasnęła w dłonie. – Wiedziałam, że gnojek coś ukrywa.

– Spokojnie, proszę pani. Następnie sprawdziliśmy, czy to ludzka krew, bo przecież zawsze mógł wejść w rozjechanego zająca czy mysz. Gdy jeszcze byłem młodym funkcjonariuszem, to zdarzała mi się taka przedwczesna euforia, dlatego od lat nie cieszę się i nie informuję zainteresowanych, dopóki nie mam ostatecznych, potwierdzonych, najlepiej dwoma testami, wyników. Ale w tym wypadku wiemy ze stuprocentową pewnością, że to ludzka. Pobraliśmy próbki i analizujemy, czy jest to krew pana Fularczyka.

– I to jest news. – Grzelczyk ponownie klasnęła w ręce i wstała. – Masz dla nas coś jeszcze?

– Nie. Wydaje mi się, że na chwilę obecną to i tak sporo. Takie odkrycia potrafią zmienić wszystko. Jeżeli okaże się, że to krew zamordowanego, macie połączenie... – trajkotał dalej technik kryminalistyki.

Rozdział 23

dd3Kogo chciałabyś wyeliminować z gry?

Blanka patrzyła na pytanie na kartce, którą znalazła na łóżku, i zupełnie nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Obie dziewczyny ją denerwowały, a panowie stanowili spore zagrożenie, więc w sumie może pozbywając się z gry jednego z nich, ułatwiłaby sobie drogę do zwycięstwa.

Od natłoku myśli głowa zaczęła ją jeszcze bardziej boleć, a w gardle ją drapało. Doskwierał jej głód, ale na myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze.

Czuła jednak, że nie to jest jej największym problemem. Nigdy nie lubiła brać udziału w grach, jakichkolwiek. Planszówki, karciane, podchody – od wszystkiego stroniła, jak tylko mogła. Nie lubiła, gdy ktoś narzucał jej zasady i nie miała na to żadnego wpływu.

– Tak się nie gra – próbował tłumaczyć jej ojciec, gdy uczył pięcioletnią Blankę grać w Monopoly. Liczył, że córce się spodoba, jednak ta po pięciu minutach gry miała przed sobą zdecydowanie za dużo kart i pieniędzy, które co chwilę podbierała z kasy.

Później było tylko gorzej, nie tylko jeżeli chodzi o wszelkie gry i zabawy. W relacjach międzyludzkich też nie kierowała się ogólnie przyjętymi zasadami. Od zawsze musiała mieć poczucie, że to ona jest zwyciężcą, że to ona dyktuje warunki.

Gdy weszła w dwunasty rok życia, jej ciało zaczęło się zmieniać. Robiło się coraz bardziej krągłe, co wywoływało zainteresowanie,

szczególnie wśród męskiej części otoczenia. Idąc po ulicach znienawidzonego Radomia, którego się brzydziła, słyszała, jak mijani chłopcy, a nawet i dorośli mężczyźni cmokają, gwizdzą, a czasami rzucają niecenzuralne teksty. Podobało jej się to. W końcu czuła się zauważona i doceniana. Gdy dwie koleżanki w szkole zaczęły się z niej wyśmiewać i obgadywać ją za plecami, o czym szybko się dowiedziała, postanowiła się zemścić.

Całą klasą wybrali się na wycieczkę do Krakowa. Dla większości nastolatków był to pierwszy samotny wyjazd bez rodziców. Większość ekscytowała się jak przed Gwiazdką, planując, kto z kim usiądzie, kto z kim będzie w pokoju, ale dla Blanki nie miało to znaczenia. Chciała ukarać koleżanki za szydzenie z niej.

Plan zemsty dopracowała w najmniejszym szczególe. Z barku dziadka, który zbierał od lat alkohole, zabrała dwie najmniejsze butelki. Wrzuciła je do torby podróźnej, którą przygotowała jej mama. Chciała zrobić to sama, bo czuła się dość dorosła, ale matka uparła się, że robi to za nią. Jednak gdy ta nie patrzyła, Blanka dorzuciła zdobycz od dziadka i podmieniła kilka rzeczy, których nie lubiła nosić, a na koniec dorzuciła otrzymany na urodziny aparat fotograficzny.

Podróż do dawnej stolicy Polski minęła im bez problemów. Rozlokowanie w pokojach okazało się powodem do niezadowolenia dla większości, ponieważ to wychowawczyni wszystko narzuciła, zupełnie nie przejmując się tym, co dzieci sobie wymyśliły.

Blanka jednak po cichu triumfowała, bo wylądowała z dwiema znienawidzonymi koleżankami, jakby nauczycielka w ten sposób chciała je pogodzić. Pierwszego dnia po powrocie z wycieczki usiadła na jednym z trzech łóżek i patrząc na świergoczące dziewczyny,

miała ochotę wyjść z pokoju, uciec daleko i nigdy nie wracać. Siedziała jednak cicho, licząc, że ten czas szybko upłynie i w końcu będzie mogła zrealizować swój przebiegły plan.

O dwudziestej pierwszej trzydzięci wychowawczynie klasy przeszła po wszystkich pokojach, sprawdzając, czy jej podopieczni leżą grzecznie w swoich łóżkach. Upewniwszy się, że tak jest, pogasiła im światła i wróciła do pokoju dzielonego z dwiema mamami, które zgodziły się pojechać na wycieczkę jako opiekunki.

Wtedy do akcji ruszyła Blanka. Zapaliła małą lampkę stojącą przy swoim łóżku i wyciągnęła pierwszą butelkę alkoholu. Jedna z dziewczynek już chciała pobiec po wychowawczynię, ale Blanka zaczęła przygotowywaną wcześniej przemowę:

– Przepraszam, jeżeli zrobiłam coś nefajnego i was do siebie zraziłam. Niestety czasami mi się to zdarza. Uwierzcie mi, że nie chciałam. Słyszałam kiedyś, jak mówiliście, że chciałyście spróbować alkoholu, więc ukradłam ojcu.

Dwie koleżanki patrzyły na nią jak na kosmitkę, zupełnie nie dając po sobie poznać, co myślą. W końcu jedna z nich uśmiechnęła się i rzuciła cicho zawstydzonym głosem:

– Ja nigdy nie piłam.

I tak się zaczęło. Dziewczyny, maczając raz po raz język w alkoholu, wlewały w siebie wysokoprocentowy płyn, zupełnie nieświadome zastawionej przez Blankę pułapki. Godzinę później leżały nieprzytomne, a koleżanka robiła im zdjęcia.

Gdy następnego dnia do pokoju weszła wychowawczynie, rozpoczęła się awantura na ogromną skalę. Najpierw dziewczynki oskarżały siebie nawzajem o posiadanie zakazanej butelki. Blanka tymcza-

sem szła w zaparte, że to nie ona, ale koleżanki przywiozły alkohol na obóz. W końcu tylko ona nie zionęła zakazanym trunkiem

Gdy dotarli do domów, rozpętała się kłótnia między rodzicami. Ci oskarżali się wzajemnie, robiąc przeciwnej stronie wyrzuty o złe wychowywanie dzieci. Gdy kolejne osoby dowiadywały się o zaistniałej sytuacji, stawały po jednej lub drugiej stronie.

I wtedy stało się coś zaskakującego. Ktoś wkradł się w nocy do budynku szkoły i pooblepiał ją sporych rozmiarów plakatami. Gdy rano woźny otworzył drzwi i wpuścił dzieci i nauczycieli, nikt nie myślał o lekcjach, sprawdzianach czy zadaniach domowych. Każdy z niedowierzaniem patrzył na fotografie dwóch uczennic klasy szóstej B, które leżały na podłodze w dziwacznych pozach.

Od tego momentu nikt już się nie zastanawiał, kto przywiózł alkohol na wycieczkę. Nie miało to znaczenia. Dzieci wiedziały, że z Blanką nie można zadzierać, bo potrafi się mścić. Dorośli zaś postanowili zrobić wszystko, aby usunąć ją ze szkoły, dlatego rodzice Blanki, mimo oporu i ciągłego powtarzania, że ich córka została do tego zmuszona, musieli w końcu podkulić ogony i zabrać córkę do innej placówki.

Teraz Blanka analizowała sytuację, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z poprzedniego wieczora. Mając jednak totalną pustkę w głowie, wzruszyła ramionami i poszła raz jeszcze umyć zęby, bo ciągle miała w ustach okropny kwaśny posmak swoich wymiocin.

Rozdział 24

– Trzy dni czekania na wyniki, żeby dowiedzieć się, że zebrana z buta krew nie należy do zamordowanego. *Fuck!* – krzyknęła podkomisarz Zofia Grzelczyk i kopnęła stojący obok śmietnik, który przeturlał się po podłodze, a znajdujące się w nim rzeczy wypadły, rozsypując się pod biurkiem. – Miałam wielką nadzieję, że coś pyknie i będziemy mieli przeciwko niemu coś więcej niż przecucie. Prokurator gapi się nam na ręce i jak nie damy rady, urwie nam łby.

– To może trzeba rozpatrzyć inny trop – wtrąciła Czerwińska. – Może Seroczyński i Fularczyk mieli jeszcze jakiegoś znajomego, wroga? Może byli hazardzistami albo kupowali dragi i mieli długi.

– Albo to kosmici i nie wrócili do bazy – powiedziała Zofia i swoim zwyczajem przysiadła na biurku. – Ale... – Zawiesiła wzrok na koleżance, uśmiechnęła się od ucha do ucha, po czym chwyciła za telefon. – Jarek, cześć, mam sprawę. Ty badałeś próbki z buta i porównywałeś z Fularczykiem?

Mężczyzna coś odpowiedział, ale Dorota nie słyszała.

– Jakbym za godzinę wpadła do ciebie z jedną próbką, mógłbyś się tym od razu zająć? Sprawa superpilna. Jesteś najlepszy. Dzięki. – Odłożyła telefon i zaczęła się ubierać. – Jedziesz ze mną?

– Ale dokąd? – spytała zdziwiona.

– Na wycieczkę, do Seroczyńskiego.

– Przecież on jest w śpiączce.

– Wiem, ale sprawa, którą do niego mam, nie wymaga rozmowy z nim.

Gdy podjechały pod mały domek na warszawskim Mokotowie, śnieg cały czas zacinał, a samochodem rzucało na każdym zakręcie. Niestety rosnąca z każdą minutą biała warstwa na chodnikach i ulicach była tym razem dla służb miejskich przeciwnikiem nie do pokonania. Zresztą rzadko się zdarzało, że wygrywali to starcie.

Funkcjonariuszki jak na zawołanie zapięły się pod szyję i wyszły na zewnątrz.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – rzuciła Dorota, idąc za koleżanką.

– Nie lubisz niespodzianek?

– Średnio.

– Dopiero teraz sobie uzmysłowiłam, że przecież ten krwawy ślad może zawierać DNA Seroczyńskiego, a nie Fularczyka. Czyż nie?

– W sumie to tak. Trochę czasu minęło, ale może jakimś cudem...

– No właśnie na cud liczymy. Mam nadzieję, że uda nam się dostać jego DNA.

Drzwi otworzyła im młoda, około dwudziestoletnia dziewczyna, która wyglądała i zachowywała się tak, jakby połknęła kij od szczotki. Z zaciśniętymi ustami, które ledwo co się poruszały, poinformowała je beznamiętnym głosem, że nie ma możliwości rozmowy z właścicielem domu. Sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy tylko zobaczyła odznaki przybyłych kobiet. Na jej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, odsunęła się i wpuściła do domu. Okazało się, że jest to pasierbica pobitego mężczyzny, która pomaga matce w opiece nad ojczymem. Zaprowadziła policjantki do kobiety, która

siedziała na wielkiej kanapie w otoczeniu trzech kotów i oglądała jakąś komedię.

– Panie z policji – powiedziała jej córka i zostawiła Dorotę Czerwińską wraz z Zofią Grzelczyk na środku salonu.

Przez chwilę stały tak bez słowa, przyglądając się kobiecie, która próbowała zastopować oglądany film, ale nie będąc w stanie tego zrobić, ściszyła go maksymalnie i wstała, trzymając jednego z włochatych czworonogów na rękach.

– Coś się stało? Znaleźliście tego bydlaka, który zaatakował mojego męża? – spytała piskliwym głosem, który tak bardzo nie pasował do jej wyglądu.

Kobieta miała na sobie czarne skórzane spodnie z materiałowymi wstawkami po bokach, a do tego białą koszulę wpuszczoną do środka. Delikatny makijaż powodował, że wyglądała dużo młodziej, niż pokazywała metryka. Zdecydowanie była atrakcyjna, za to ton jej głosu pasował bardziej do przekupy z bazaru, która musi przebić się ze swoją ofertą do przechodzących obok potencjalnych klientów.

– Dzień dobry, podkomisarz Zofia Grzelczyk i starsza aspirant Dorota Czerwińska – przedstawiła je inicjatorce wizyty. – Na chwilę obecną nie mamy postępu w pracach, ale jest pewien trop, który musimy sprawdzić. Nie chcę pani robić nadziei, ale musimy pobrać od pani męża DNA.

– DNA? – powtórzyła po policjantce kobieta i uniosła brwi. Ku zdziwieniu policjantek na jej czole nie pojawiła się żadna zmarszczka. – Ale on jest nieprzytomny. Wszyscy twierdzą, że nie uda mu się z tego wyjść, ale ja wierzę, że będzie inaczej. On jest taki dzielny. Lekarze twierdzili, że nie przeżyje operacji. Później nie dawali mu szans na wyjście ze szpitala. Ale Paweł jest cały czas z nami.

Walczy. Zabraliśmy go do domu, chociaż niektórzy zalecali hospicjum. Jednak ja nie mogłam. To jak porzucenie bliskiego. Tutaj jest jego miejsce. Z nami, z rodziną...

– Rozumiem i podziwiam panią – odezwała się Dorota Czerwińska, delikatnie się uśmiechając. – Możemy pobrać wymaz z ust, co nie jest inwazyjne ani bolesne, ale również może pani przekazać nam szczotkę, której używa.

– Sam już niczego nie używa – wtrąciła żona Seroczyńskiego, lekko obruszona. – Proszę za mną.

Kobieta zaprowadziła je do usytuowanego na tyłach domu sporego pomieszczenia. Jego okna wychodziły na niezbyt duży ogród, który w okresie letnim zapewne nie robił wielkiego wrażenia, ale przysypany grubą warstwą śniegu mógł się podobać.

Naprzeciwko okna na wielkim łóżku na kółkach, tak typowym dla szpitala, a w domu wyglądającym dość dziwnie, leżał mężczyzna. Jego zapadnięte policzki i lekkie cienie pod oczami powodowały, że wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści pięć lat.

– Mogą panie pobrać to DNA, o ile nie będzie go to bolało – powiedziała kobieta, po czym usiadła na ustawionym obok łóżka taborecie i zaczęła głaskać mężczyznę po dłoni.

Zofia Grzelczyk wyciągnęła przygotowany wcześniej zestaw i poszła do mężczyzny od drugiej strony, aby nie przeszkadzać gospodyni.

– Słyszała pani kiedyś o Mariuszu Fularczyku lub Wiktorze Koźle?
– spytała Dorota Czerwińska.

– Nie, zupełnie nic mi te nazwiska nie mówią. A powinny?

– To są księgowi, którzy podobnie jak pani mąż pracowali w firmie Kartonpol.

– Im też się coś stało? – spytała przerażona i ścisnęła spoczywającą bezwładnie rękę męża, jakby miał jej dodać otuchy.

– Niestety jednemu z nich tak – odpowiedziała policjantka, licząc, że kobieta nie będzie dopytywać o szczegóły.

– Boże, co to się dzieje na tym świecie... Mam nadzieję, że jest w lepszym stanie niż mój Paweł.

– Niestety nie. – Dorota pokręciła głową. – Nie żyje.

– I panie myślą, że to ma coś wspólnego z pobiciem mojego męża?

– Tego na chwilę obecną nie wiemy. Badamy różne wątki, stąd nasza dzisiejsza wizyta.

– Odkąd znalazłam męża w garażu w kałuży krwi, myślę o tym, kto i dlaczego mógł zrobić coś tak okrutnego, i nie mam zupełnie pomysłu. Mąż jest niezwykle sympatyczną osobą. Zawsze skory do pomocy, uczynny. To on angażował mnie do udzielania się w schronisku dla bezdomnych. Co roku organizował ze znajomymi zbiórki przed świętami, na długo zanim te wszystkie komercyjne akcje się rozpromowały. Nigdy nikomu nic nie zrobił złego, więc nie jestem w stanie sobie wyobrazić, dlaczego ktoś nagle chciał wyrządzić mu krzywdę. To jest jakiś absurd, do czego to już doszło... – Kobieta pochyliła się nad mężem, widząc odsuwającą się od niego policjantkę, i dotknęła jego twarzy. – Codziennie marzę o tym, aby się obudził, by było jak kiedyś.

– Cuda się zdarzają – odpowiedziała cicho Grzelczyk. – Ja skończyłam. Nie będziemy już przeszkadzać. Jakby coś sobie pani przypomniała albo coś znalazła, proszę do nas dzwonić.

Policjantki wyszły z domu, w drodze do samochodu Dorota sięgnęła do kieszeni po telefon, który cały czas wibrował jej w kieszeni,

ale nie chciała go wtedy wyciągać. Byłby to nietakt w stosunku do cierpiącej kobiety. Gdy zobaczyła, że ma już pięć nieodebranych połączeń od Wandy, wiedziała, że musiało stać się coś złego.

Rozdział 25

Marian Wilski jak co rano zaczął dzień o piątej trzydzieści. Pół roku wcześniej dostał od kolegi z pracy książkę „Klub piąta rano. Szczęśliwy poranek zmienia wszystko”. Początkowo był do niej sceptycznie nastawiony, ale gdy pochłaniał kolejne rozdziały, ignorując specyficzne tryskanie tęczą w amerykańskim stylu, zaczął dostrzegać sens całej idei. Powoli wdrażał założenia i po pół roku stwierdził ze zdziwieniem, że takie wczesne wstawanie ma same plusy. Miał więcej czasu dla siebie, pracował bardziej efektywnie i był szczęśliwszy.

Po porannych ćwiczeniach i planowaniu dnia przyszedł czas na sprawdzenie skrzynki mailowej. Odpowiedział na dwie wiadomości w sprawie projektu, który właśnie prowadził. Jedna dotyczyła zamówienia, które złożył dwa dni wcześniej. Sprzedawca informował go o braku dwóch wybranych produktów na magazynie i pytał, czy mogą je zastąpić, jednocześnie przedstawiając zbliżone jakościowo i cenowo zamienniki. Drugi dotyczył nowej współpracy. Kolejny raz okazało się, że poczta pantoflowa to najlepszy sposób pozyskiwania klientów. Autor maila widział dom wybudowany przez firmę Wilski Investment i zakochał się w nim. Został poinformowany o długich terminach realizacji, ale zupełnie go to nie zraziło i liczył na spotkaniu. Przez chwilę Marian siedział z uśmiechem na twarzy, czując, że czeka go kolejny intensywny, lecz również niezmiernie satysfakcjonujący dzień.

Już miał zamknąć pocztę i wrócić do niej po śniadaniu, gdy jego wzrok skupił się na dość dziwnym tytule kolejnej wiadomości: „Zdecyduj, czy przeżyje”.

W pierwszym momencie pomyślał, że to jakiś chwyt marketingowy. Już wiele razy przekonał się, że specjaliści od przyciągania uwagi potencjalnych klientów używają zaskakujących tytułów, które mają jeden cel – spowodować, że użytkownik otworzy maila. I tak też postąpił Wilski, zupełnie nie wiedząc, co go czeka.

Jednak to, co zobaczył, gdy załadowały się wszystkie elementy wiadomości, spowodowało, że poczuł, jak w klatce piersiowej robi mu się ciasno. Podczas ostatniej wizyty u kardiologa lekarz jasno powiedział mu, że nadciśnienie, z którym walczył od lat, zwykle naturalnymi sposobami, niedającymi stałych efektów, może doprowadzić do jego przedwczesnej śmierci.

Teraz jednak nie miało to znaczenia.

Kochasz swoją córkę?

Zrobiłbyś dla niej wszystko?

**Jako prawdziwy ojciec... chyba powinieneś,
prawda?**

O ile jeszcze mógłby zignorować treść maila, biorąc go za jakiś głupi żart, o tyle załączonego zdjęcia dziewczyny w dziwnym pomieszczeniu już nie. Jego ukochana córeczka leżała na niewielkim łóżku i wyglądała, jakby potrzebowała pomocy natychmiastowej pomocy.

Z letargu wyrwał go krzyk żony, która jak nigdy pojawiła się w salonie o tak wczesnej porze.

– Boże, co się stało? – krzyczała, zbiegając po schodach. Dostojna zazwyczaj kobieta teraz wyglądała jak pacjentka oddziału psychiatrycznego.

– Chodzi ci o tego maila? – spytał zdziwiony, czując lekką ulgę, że nie jest już z tym sam.

– Maila? Jakiego maila?

– To czemu zesłaś?

– Zadzwoiła do mnie przed chwilą Grażyna. Jej córka pisała do niej całą noc, a ona dopiero przed chwilą oddzwoniła. Podobno w sieci jest jakiś... – Kobieta zaczęła płakać, nie mogąc wydusić z siebie kolejnych słów. Usiadła obok męża przy kuchennym stole i przekręciła stojącego na nim laptopa. Niezdarnie wpisała w wyszukiwarkę adres strony BawSieJakNigdy.pl.

Po chwili oboje oglądali krótki filmik z piątką młodych ludzi, którzy jedli jakiś posiłek. Po chwili obraz przyspieszył i zwolnił, dopiero gdy jedna z dziewcząt zaczęła wymiotować, później jeden z chłopaków nagle zerwał się na równe nogi i przywalił ich córce.

– Boże, co to jest? – spytał przerażony mężczyzna.

– Nie wiem, ale Patrycja nie odbiera.

– Wiem, też dzwoniłem do niej przed chwilą.

– Wiedziałeś już o tym wcześniej? – krzyknęła zdenerwowana kobieta.

– Nie, dostałem dziwnego maila – powiedział mężczyzna i włączył program pocztowy, w którym znalazł wiadomość.

Kobieta szybko zapoznała się z nią i kręcąc z niedowierzaniem głową, ponownie zaczęła szlochać.

Rozdział 26

Wpadła do szpitala jak burza. Intensywne światła, pomalowane błyszczącą farbą ściany w kolorze bladej zieleni i ten zapach, który powodował, że człowiek najchętniej wybiegłby stamtąd jak najszybciej. Ale Dorota nie mogła. Nie chciała.

Gdy zobaczyła pięć nieodebranych połączeń od Wandy, nogi momentalnie ugięły się pod nią. Dobrze wiedziała, że nie wróży to niczego dobrego. Po chwili pędziła już z Zofią na sygnale do szpitala na Niekłańskiej, do którego pojechała kuzynka wraz z małym Mikołajem.

Już od kilku dni młody pokasływał i miał lekki stan podgorączkowy. Dorota mocno się tym stresowała, ale uspokojona przez lekarza pediatrę, który ich odwiedził z wizytą domową, trochę wyluzowała.

Gdy tego ranka wychodziła z domu, synek oddychał przez nos i pokasływał nie mocniej niż dzień wcześniej. Stan podgorączkowy cały czas się utrzymywał, ale to mogło się ciągnąć jeszcze kilka dni. Według lekarza świadczyło o tym, że młody organizm walczy z jakąś infekcją. Zresztą mężczyzna wyjaśnił, że u dzieci nawet wzrost temperatury do czterdziestu stopni nie jest niczym wyjątkowym i groźnym, nie tak jak u dorosłego człowieka. Jednak nie temperatura okazała się problemem, ale duszności, które pojawiły się nagle, jak grom z jasnego nieba.

Gdy Dorota dotarła do szpitala, Wanda z małym już byli w jednym z gabinetów, gdzie lekarz badał malucha. Jak się później okazało, gdy tylko rejestratorka zobaczyła dziecko, które z trudem łapie oddech, pomimo tłumów kłębiących się w poczekalni uruchomiła odpowiedni kod, a tym samym spowodowała natychmiastowe zainteresowanie lekarzy i pielęgniarek.

– Wanda, co się dzieje? – spytała przerażona policjantka, gdy już odnalazła kuzynkę.

– On tak ciężko zaczął oddychać. Myślałam, że się czymś zakrztusił, ale nie. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam się do ciebie dozwonić, więc skontaktowałam się z tym lekarzem, co ostatnio był u nas, i on kazał tu natychmiast jechać.

– Boże... – Podeszła do malucha i chwyciła za rączkę.

– To pani syn? – spytała lekarka Doroty.

– Tak.

– Czy wiadomo, czy jest na coś uczulony?

– Nie. On ma zaledwie cztery miesiące.

– Od jak dawna jest chory?

– Od pięciu dni, maksymalnie tygodnia.

– A ten świst?

– Rano go nie było. Spałam z nim, usłyszałam. Gdy wychodziłam do pracy, smacznie spał. Trochę kaszlał, ale bez przesady.

– Rozumiem. Będziemy musieli zabrać syna na intensywną terapię.

– Intensywną terapię? – powtórzyła po kobiecie Dorota, jakby sens tych słów do niej nie docierał.

– Tak, bezwzględnie potrzebuje tlenoterapii. Plus musimy zrobić mnóstwo badań, żeby wiedzieć, co mu dokładnie dolega. Proszę się nie denerwować. Zrobimy wszystko, aby szybko wyzdrowiał.

Po chwili Dorota została wyproszona z sali. Usiadła na jednym z równo ustawionych pod ścianą krzeseł w czymś na kształt poczekalni, po której kręciło się mnóstwo rodziców z dziećmi. Jedne kichały, inne siedziały z opatrunkiem na ręce czy głowie. Jeden chłopiec leżał na łóżku z dziwnie wykręconą nogą. Mimo że każdy potrzebował opieki i pomocy, to jej syn dostał ją jako pierwszy, co jeszcze bardziej ją dobiło i uświadomiło, że sytuacja jest bardziej niż poważna.

Oparła się na krzesło, a głowę odchyliła do tyłu i zamknęła oczy. Łzy spływały jej po policzkach, a dźwięki przestały do niej docierać.

– Dorota! – Poczowała ostre szarpnięcie. Przed nią stał Marek Kamiński z miną, której nigdy nie widziała. Zazwyczaj uśmiechnięty policjant miał rozbiegane oczy i nerwowo przygryzał poliki od środka. – Boże, co się stało? Gdzie jest Mikuś? Wiadomo, co z nim?

– On...

Podniosła się z krzesła zdecydowanie za szybko i momentalnie poczuła zawroty głowy. Marek chwycił ją w ramiona i przytulił. W pierwszym momencie chciała się wyślizgnąć z jego objęć, ale przytrzymał ją. Nie jakoś bardzo mocno. Gdyby się postarała, w sekundę mogłaby się wyswobodzić, ale jakaś jej część uległa. Rozluźniła ciało i przylgnęła do niego.

– Rano czuł się dobrze – szepnęła mu do ucha. – Kaszlał trochę, miał katar, ale nic strasznego. Byłam święcie przekonana, że nic mu nie jest poważnego. – Głos jej się załamał i zaczęła płakać. – Boże, a jak on...

– Ćśśś. Wszystko będzie dobrze – powiedział spokojnie, jednocześnie głaszcząc ją po plecach.

– To wszystko moja wina. Powinnam była zostać w domu, pilnować. Troszczyć się. Być z nim, kiedy mnie potrzebuje, a nie latać po mieście i ścigać przestępców.

– Dorota, będzie dobrze. Mikołaj jest w dobrych rękach. Lekarze zajmą się nim najlepiej, jak potrafią.

Marek cały czas szeptał jej do ucha pocieszające słowa, a ona pierwszy raz od dawien dawna poczuła się zaopiekowana. I wcale nie czuła się niekomfortowo w tej sytuacji.

Rozdział 27

Nagie ciało Patrycji zwisało z sufitu do góry nogami, a z ran wypływała na podłogę krew. Długie, gęste blond włosy, z których połowa nie należała do niej, wyglądały jak mop po wielu godzinach czyszczenia podłóg. Jej twarz, którą tak chętnie pokazywała w mediach społecznościowych, zwykle nienagannie umalowana, teraz była wręcz nie do poznania. Lewy oczodół zionął pustką, a prawy zakrywała opuchnięta powieka. Przez ranę w prawym policzku można było zobaczyć uzębienie, teraz niekompletne. Na korpusie dziewczyny wisiały strzępki materiału, jeszcze niedawno tworzącego biały T-shirt, którego dół wciągnęła w czarne rurki. Stanik też nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Rozerwane ramiączka wisiały luźno, a pozostałości koronki zasłaniały tylko jedną pierś. Druga wypadła z miseczki i ciągnięta przez grawitację zupełnie nie przypominała jędrnych, młodych piersi, które Patrycja tak lubiła eksponować i na których widok niektórzy mężczyźni podskakiwali entuzjastycznie.

Z kilku ran na jej brzuchu sączyła się krew, która spływała dalej po klatce piersiowej i twarzy.

Gdy dobiegająca z głośników muzyka umilkła, czworo młodych ludzi stanęło w pełnym oczekiwania bezruchu. Każdy miał nadzieję, że wykonał zadanie prawidłowo i już za chwilę otrzyma pierwszą nagrodę.

– Możecie odsłonić oczy – usłyszeli zmodyfikowany głos.

Powoli zsunęli z twarzy nieprzepuszczające światła opaski i po chwili niewielkie pomieszczenie wypełniły okrzyki przerażenia. Spodziewali się zobaczyć przed sobą rozwaloną doszczętnie piniatę, a zamiast tego ujrzeli poznaną kilka dni wcześniej dziewczynę, która zwisała na rzeźniczym haku jak zarżnięte zwierzę, a rany na jej ciele mówiły same za siebie. Przed chwilą zabili człowieka.

Rozdział 28

Klaudia Zajkowska patrzyła na niedawno poznane osoby i miała wrażenie, że zaraz się udusi. Od kiedy pamiętała, dostawała duszności w sytuacjach stresowych, mimo że nigdy nie zdiagnozowano u niej astmy czy innej choroby układu oddechowego. Jej oddech przyspieszał z sekundy na sekundę, a obraz stawał się coraz bardziej zamazany. Pokój, w którym stali, wyglądał jak pomieszczenie w rzeźni. Wszędzie była krew. Na ścianach, suficie, podłodze, a także na nich – uczestnikach krwawej zabawy, w którą zostali wkręceni.

Po grze plenerowej, podczas której prawie spadła z ośmiu metrów, ponieważ zawierzyła pomocy Patrycji, wróciła do pokoju, gdzie znalazła kartkę z pytaniem:

**Klaudio,
komu ufasz,
a komu nie?**

Odpowiedź była prosta. Dziewczynie, która chciała ją wyeliminować. Zupełnie nie wiedziała dlaczego, ale fakty przemawiały same za siebie. Patrycja przez trzydzieści sekund patrzyła na prawidłowy przebieg bezpiecznej trasy w parku linowym, a następnie źle ją pokierowała. Klaudia w ostatnim momencie zauważyła nacięcie na kolejnej deseczce, na której zamierzała stanąć. Niby założyła uprząż, ponieważ nie chciała ryzykować. Gdyby jej nie wzięła, mogłaby po-

troić swoją ewentualną wygraną, ale wysokość zawsze stanowiła dla niej problem. Nawet wejście na drabinę budziło w niej strach. I tak zrobiła to, czego od niej wymagano, i nie odpuściła, bo wychodziła z założenia, że trzeba być twardym, i nie mogła okazywać słabości. Poza tym zależało jej na kasie za wykonanie zadania. Nawet w wersji okrojonej kwota imponowała.

Jednak niezależnie od wszystkiego Patrycja, której wiotkie ciało zwisało teraz z rzeźniczego haka, nie zasługiwała na taki koniec, nawet jeżeli z premedytacją okłamała koleżankę. Jej pokiereszowana i zniekształcona twarz skierowana była dokładnie w jej stronę, jakby dziewczyna chciała ją ukarać za to, że na kartce napisała jej imię. „Tylko czy jedynie na podstawie mojego jednego głosu ktoś skazywałby ją na śmierć?”, pomyślała i podniosła wzrok na resztę uczestników tej krwawej jatki.

Stojąca najbliżej Blanka była blada jak ściana i patrzyła na ciało koleżanki jak zamurowana. Tylko zaciśnięta pięść i spływająca z niej krew świadczyły, że to żywa osoba, a nie woskowa lalka, która nie jest w stanie się ruszyć. Jej długie paznokcie spiłowane w szpic przebijały grubą skórę na wewnętrznej stronie dłoni niczym chirurgiczny skalpel.

Będący po jej prawej stronie Kacper aż przysiadł, rażony widokiem, gdy tylko zapaliły się światła, i z rękoma założonymi na swoich oryginalnych włosach powtarzał zamiennie: „ja pierdolę”, „o kurwa” lub „to nie dzieje się naprawdę”.

Tylko Gustaw wyglądał na opanowanego. Mierzył wszystkich swoim świdrującym wzrokiem, jakby z zachowania towarzyszy chciał wyciągnąć obciążające ich dowody. Oparł się o ścianę, po której powoli ściekały krwawe ślady ich zabawy. Jeszcze chwilę wcze-

śniej wszyscy wesoło pokrzykiwali – „Rozpierzdolmy jelonka!”, „Giń!”, a teraz stali tak, jakby wymazali z pamięci swoje zachowanie i fakt, że aktywnie przyczynili się do śmierci dziewczyny. Kto najmocniej przyłożył do tego rękę, ciężko było powiedzieć. Każdy mógł zadać ten decydujący cios, rozrywając klatkę piersiową i naruszając serce lub płuca. Każdy mógł uderzyć ją ostrym hakiem w głowę, doprowadzając do urazu, po którym nie miałyby szansy przeżyć ani chwili dłużej.

– Trochę nabrudziliście – odezwał się nagle głos, który w zaistniałych okolicznościach brzmiał jeszcze bardziej surrealistycznie. Jednak inaczej niż poprzednim razem. Nie był już taki sympatyczny, lecz rozkazujący. – Sprzątnijcie ten syf. To, co zrobiliście, zostanie z wami na zawsze – zaśmiał się szyderczo. – A teraz do roboty. Nie możecie żyć w takim chlewie.

Rozdział 29

Dorota zupełnie nie wyłapała, kiedy minęły trzy dni, odkąd odwiedziły dom Seroczyńskiego. Siedziała właśnie z Mikołajem i czytała mu bajkę, gdy do sali cichutko wszedł Marek.

– Idź na dół, teraz ja pobawię się z małym. Musisz przewietrzyć głowę, poza tym ktoś na ciebie czeka.

– Na mnie? – powiedziała zdziwiona.

– Tak, i nie ma dyskusji. – Pocałował ją w czoło i delikatnie musnął dłonią po poliku. – Idź.

Zupełnie zdezorientowana, pogłaskała syna, narzuciła na siebie kurtkę i wyszła z oddziału intensywnej terapii, który mieli opuścić już następnego dnia, by przenieść się na oddział pediatryczny. W głowie nie miała żadnego pomysłu, kogo może spotkać, ale gdy zobaczyła stojącą przy drzwiach Zofię Grzelczyk, uśmiechnęła się. Pracowały ze sobą niedługo, a już poczuła rodzącą się między nimi więź.

– Co ty tu robisz? – rzuciła zdziwiona.

– Przechodziłam obok i postanowiłam wpaść.

– Z tego, co wiem, to mieszkasz na Ursynowie, więc to chyba kawał drogi.

– No dobra, zapomniałam, że Sherlock Holmes z ciebie. Rozmawiałam z Markiem i stwierdziłam, że dobrze ci zrobi mały spacer.

– Aha – westchnęła zdezorientowana.

– Niestety ja w życiu trochę czasu spędziłam w szpitalach i najlepiej robiło mi na głowę wszystko to, co nie było z tym związane. Dla-

tego postanowiłam opowiedzieć ci o naszej sprawie, bo się dzieje.

– Matko, prawie o tym zapomniałam.

– I słusznie. Ale teraz Mikołaj jest w dobrych rękach, wszystko idzie w dobrym kierunku, więc możemy spokojnie pogadać. Może coś wymyślisz i dodasz do sprawy – powiedziała i ruszyła do wyjścia.

Dorota od trzech dni nie wychodziła z budynku szpitala, dlatego ze zdziwieniem zanotowała, że cały biały puch, który stanowił wyzwanie dla ekip odśnieżających, ale i pięknie zdobił ubrudzone psimi fekaliami trawniki, nagle gdzieś zniknął.

– No dobra, to co się zadziało? – odezwała się jako pierwsza Dorota.

– Najważniejsze jest to, że krew na butach należy do Seroczyńskiego. Prokurator wydał natychmiast nakaz trzymiesięcznego aresztu dla Wiktora Kozła, więc już zapoznaje się z więziennymi zwyczajami. Dodatkowo dostaliśmy dane z logowania jego telefonu i tutaj zaczyna robić się ciekawie. Przede wszystkim wcale nie siedział w domu tego dnia, gdy zginął Mariusz Fularczyk, tak jak twierdzi. W godzinach od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej trzydzieści przebywał w budynku Kartonpolu. Raczej mało prawdopodobne, żeby odwiedzał kogoś innego niż zamordowany.

– No ładnie, czyli nas okłamał – zaśmiała się pod nosem Dorota Czerwińska.

– Tak to wygląda. Bo niby co robiłby jego telefon w biurze u Fularczyka?

– No to nieźle. Ale z tego, co powiedziałaś, to wychodzi, że wyszedł przed jego śmiercią – skomentowała zawiedziona.

– Tak, ale wyobraź sobie, że wrócił. Jest kolejne logowanie o dwudziestej trzeciej trzydzieści, czyli już w czasie, kiedy ofiara mogła być

martwa.

– Z tego bardzo ciężko będzie się wytłumaczyć w jakiś rozsądny sposób.

– Moja droga, to nie koniec. Okazało się, że na bilingach są dość ciekawe połączenia, trudne do racjonalnego wyjaśnienia. Od dziewiętnastej do dwudziestej czwartej jego partnerka dzwoniła do niego dwanaście razy. Dość dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że według tych dwojga w tym czasie siedzieli w domu i zajmowali się wspólnie chorą córką.

– Czyli składanie fałszywych zeznań. Chyba musi go bardzo kochać – powiedziała Dorota i zrobiła duży krok, chcąc ominąć wielką pośniegową kałużę.

– Chyba tak. Facet siedzi już w areszcie i prokurator zastanawia się, co zrobić z kobietą. Jeżeli chcesz, to możesz pojechać ze mną na przesłuchanie Kozła. Jestem ciekawa, co ma do powiedzenia.

– Nie wiem, czy powinnam – powiedziała Dorota już mniej entuzjastycznie.

Czuła, że w jej sercu toczy się walka. Z jednej strony jako matka nie chciała opuszczać swojego syna, który dopiero co wyszedł z ciężkiej choroby. Czekala ich jeszcze długa droga do pełnego wyzdrowienia, ale lekarze byli dobrej myśli. Z drugiej strony miała wewnętrzną potrzebę, by chociaż na chwilę opuścić dość dołujące cztery ściany szpitala i zająć się czymś innym. Słuchanie od kilku dni praktycznie non stop rozmów o chorobach, powikłaniach i sposobach leczenia spowodowało, że miała dość.

Po chwili namysłu szybko skoczyła na piętro i upewniwszy się, że Marek zostanie z Mikołajem, a syn jest bezpieczny, pojechała z koleżanką na komendę. Gdy weszła do budynku i do jej nozdrzy dotarł

znajomy zapach – mieszanka testosteronu i potu – od razu poczuła się jak w domu.

Wiktor Koziół wraz ze swoim adwokatem siedzieli w pomieszczeniu przesłuchań i cicho rozmawiali. Starsza aspirant Dorota Czerwińska wraz z podkomisarz Zofią Grzelczyk weszły wyprostowane jak struny, przypominały wręcz maszyny. Usiadły naprzeciwko nich na metalowych krzesłach z materiałowym obiciem.

– Imię i nazwisko? – zaczęła bez słowa wstępu koleżanka Czerwińskiej.

– Wiktor Koziół – odpowiedział spokojnie mężczyzna z delikatnym uśmiechem na twarzy, jakby zupełnie zapomniał, że jego sytuacja nie jest zbyt optymistyczna.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty drugi stycznia osiemdziesiątego ósmego roku, Wesoła.

– Wykonywany zawód?

– Księgowy.

– Co robił pan jedenastego stycznia w godzinach popołudniowych i wieczornych?

– Już państwu mówiłem, że siedziałem w domu. Pomagałem przy dziecku. Mała się trochę pochorowała. Kinga zawsze panikuje, ma to po rodzicach.

– I co dokładnie robili państwo tego wieczora?

– Tak szczegółowo to nie pamiętam. Zrobiłem młodej inhalację, dałem leki, trochę opukałem, bo miała mokry kaszel, a później coś oglądaliśmy.

– A co?

- Nie pamiętam.
- Wychodził pan z domu?
- Raczej nie.

- Raczej... - powiedziała przeciągle Zofia Grzelczyk, utkwiała wzrok w mężczyźnie, po czym sięgnęła do leżącej przed nią teczki i wyjęła wydruki. - Niedawno otrzymaliśmy od operatora telefonicznego dane, które całkowicie przeczą temu, co pan opowiadał. Wcale nie spędził pan wieczoru w domu. W godzinach od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej trzydzieści przebywał pan w budynku przy Zamoyckiego. Tak się składa, że mieści się tam siedziba firmy Kartonpol. To chyba nie przypadek? - Policjantka przerwała na chwilę, założyła ręce na brzuchu i bacznie przyglądała się przesłuchiwanemu. Ten nawet nie drgnął. - Ale to nie koniec rewelacji. Według otrzymanych danych pan tam wrócił i już wtedy pan Mariusz Fularczyk mógł nie żyć. Aaa! - krzyknęła, patrząc na dane. - Żeby pana jeszcze bardziej dobić, to pana partnerka cały czas wydzwaniała do pana, co chyba jest nieco zaskakujące, skoro siedzieliście razem w domu i oglądaliście telewizję, jak oboje twierdzicie.

Mężczyzna spuścił wzrok i nie odzywał się przez dobrą minutę. Siedzący obok adwokat wyglądał na zdziwionego. Szeptał coś klientowi do ucha, ale ten lekceważył go, kręcąc cały czas głową.

- Byłem tam - powiedział cicho, ignorując swojego obrońcę. - Umówiliśmy się jakiś czas temu. Ja chciałem gdzieś w miejscu publicznym, on nalegał na biuro. Nigdy nie czułem się dobrze wśród ludzi. - Podniósł wzrok i popatrzył na Dorotę Czerwińską. - Był jedną z najskrytszych osób, jakie poznałem, dlatego tak ciężko mi się pogodzić z tym, co się stało. Myślę, że mogę powiedzieć, że się przyjaźniliśmy.

Nie spotykaliśmy się zbyt często, ale pozostawaliśmy w stałym kontakcie.

– Po co pan do niego pojechał?

– Po nic szczególnego. W naszej branży jest sporo konferencji, programów doszkalających i takich tam. Mariusz nie chciał jeździć sam, więc prosił mnie o towarzystwo. Oczywiście jak mogłem, tojechałem. Dlatego ustalaliśmy plan na najbliższe miesiące.

– Co poszło nie tak? – wtrąciła siedząca dotąd cicho Dorota Czerwińska.

– Nic.

– Dlaczego go pan zabił?

W tym momencie adwokat pokręcił głową, dając sygnał klientowi, że nie musi on odpowiadać.

– Nie zabiłem go – powiedział Wiktor Koziół. – Gdy wychodziłem, żył. Kończył jakieś sprawozdanie. Chciałem wyciągnąć go na piwo, ale odmówił. Obiecał, że następnym razem pójdzie, chociaż szczerze w to wątpiłem.

– O której pan wyszedł?

– Nie pamiętam dokładnie. Myślę, że było około dwudziestej pierwszej.

– Ale wrócił pan jeszcze? – spytała Zofia Grzelczyk i oparła się przedramionami o blat stołu, który zdecydowanie swoje lepsze czasy miał za sobą. Odpryskujący lakier miejscami stał na sztorc, wbijając się w skórę, a mimo to trwała w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w mężczyznę.

– Ja...

– Nie musisz nic mówić – wtrącił ponownie siedzący obok mężczyzna, który zaczął się widocznie pocić.

– Jestem to winny Mariuszowi. Wróciłem. – Spojrzał na Dorotę, jakby bał się świdrującej go wzrokiem Zofii. – On już nie żył. Leżał w biurze w kałuży krwi. Przestraszyłem się.

– Dlaczego pan tam wrócił?

– Przez pomyłkę zabrałem jego teczkę i zorientowałem się pod domem. Nie odbierał. Była to część sprawozdania, które robił, więc dość ważna rzecz. Wiedziałem, że będzie do późna w biurze, więc nie zastanawiając się, pojechałem z powrotem do niego.

– Dlaczego wymyślił pan tę całą historyjkę z dzieckiem, chorobą i wspólnym wieczorem?

– Bałem się.

– Czego?

– Że wyjdzie na jaw moja przeszłość.

Po tych słowach adwokat zrobił się błądy. Zupełnie się tego nie spodziewał. Dorota z Zofią spojrzały na siebie porozumiewawczo. Domyślały się, że zaraz usłyszą zaskakującą historię.

Rozdział 30

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?! – krzyczała Bożena Wilska, matka Patrycji, gdy zobaczyła na ekranie ciało córki, zwisające niczym szmaciana lalka z przymocowanego na suficie haka. – Nasza córka przez ciebie nie żyje! – wrzeszczała głośno, a jej głos łamał się co jakiś czas pod wpływem napierających łez.

Oboje z mężem siedzieli przed komputerem i patrzyli na ekran. Nagle pojawił się obraz z domu, w którym umieszczono Patrycję, a dokładniej jej ostatnie chwile, gdy uderzana raz po raz przez nieznane jej rodzicom osoby powoli traciła przytomność, a następnie życie. Cały obraz był dość niewyraźny, bo nagrywany kamerą z noktowizorem, aby mimo panującej ciemności oglądający mógł zobaczyć, co się dzieje.

– Dlaczego?! – wykrzyczała ponownie kobieta i uderzyła męża z całej siły w plecy. Ten, nie spodziewając się ciosu, przewrócił się i uderzył głową w stojący przed nim stolik, na którym spoczywał laptop. Mężczyzna z jękiem chwycił się za głowę, z której poleciała krew.

– Nie dałem rady... Próbowałem... – wydukał, leżąc w pozycji embrionalnej. – Znalazłem już typa, którego miałem zabić. Kupiłem w sklepie nóż. Za gotówkę. Poszedłem tam pieszo. Nikt by mnie nie namierzył. Wszystko dopracowałem w każdym detalu. To był jakiś bezdomny, nikt by za nim nie zatęsknił, ale nie mogłem. Stałem nad

nim dobre dwadzieścia minut, trzymając nóż i próbując wyprowadzić pierwszy cios. Ale nie mogłem...! – ostatnie słowa wykrzyczał.

– I skazałeś Patrycję na śmierć. – Kobieta schyliła się nad mężem i wysyczała mu do ucha: – Mogłeś raz w życiu zrobić coś dobrego dla naszej córki, dla naszej rodziny, ale ty jak zwykle podkułłeś ogon i wybrałeś nicnierobienie. Nigdy nie byłeś prawdziwym mężczyzną, takim z jajami, który stanąłby w obronie rodziny i pokazał, kto jest prawdziwym lwem.

Po tych słowach wyprostowała się i z całej siły wyprowadziła kopnięcie w podbrzusze męża. Ten nawet nie pisnął, by jej dalej nie prowokować.

Rozdział 31

– Moje życie nie należało do najzwyczajniejszych. Wychowywałem się bez ojca. Nie dlatego, że umarł, po prostu nie żył z nami. Mieszkał praktycznie po sąsiedzku, a gdy widział matkę lub mnie, przechodził na drugą stronę ulicy i udawał, że nas nie zna. Pewnie zastanawiacie się dlaczego? – Spojrzał na siedzące naprzeciwko policjantki. – Jestem, jak to się kiedyś mówiło, bękartem. Moja matka wdała się w romans z żonatym mężczyzną. Nie wiem, na co liczyła. Czy karmił ją obietnicami wspólnego życia, czy może miała ochotę na miłe, lecz krótkie chwile z mężczyzną swoich marzeń, bo muszę powiedzieć, że ten facet mógł się podobać. Wyglądał trochę jak Bond lub inny lowelas. Gdy matka zaszła w ciążę, podobno poszła do niego i zakomunikowała o swoim stanie. Nic sobie z tego nie zrobił. Powiedział ni mniej, ni więcej, że to nie jego sprawa. Że nawet nie ma pewności, że to jego, bo przecież mogła spać jeszcze z innymi mężczyznami. I tym sposobem żyliśmy sobie we dwójkę. Mama pracowała jako sprzątaczką w szpitalu, ale nigdy niczego nam nie brakowało. Przynajmniej tak to pamiętam. Poświęcała mi całą swoją uwagę i to zupełnie mi wystarczało. Nie miałem zbyt wielu zabawek, nowych ubrań, ale ona zawsze potrafiła jakoś mnie rozweselić.

– Czyli byliście szczęśliwi? – wtrąciła Dorota Czerwińska, cały czas bacznie przyglądając się przesłuchiwanemu.

– Do czasu – odpowiedział smutno mężczyzna i spojrzał na policjantkę. – Gdy miałem około dwunastu lat, zmarła żona mojego bio-

logicznego ojca, a on jakby obudził się z letargu, bo nagle przypomniał sobie o mojej matce, której unikał jak ognia, od kiedy zaszła w ciążę. Zaczął ją odwiedzać. Przychodził do niej o każdej porze. Przynosił kwiatki, bombonierki. Czasami nawet do mnie się odezwał, spytał, jak w szkole. Od razu mi się to nie podobało. Wiem, że byłem jego częścią, ale nie miałem z nim żadnych relacji, a te biologiczne bzdury jakoś mnie do niego nie przekonywały. Po pół roku wprowadził się do nas, i to nie sam. Zabrał za sobą swojego syna, czyli mojego przyrodniego brata Maćka. O ile chłopak okazał się całkiem spokojny, o tyle ojciec już nie. Wtedy wszystko się posypało. Matka zrobiła się inna, mniej opiekuńcza. Nie było już czasu na nasze niedzielne wyjścia do kina czy filmowe wieczory. Wiem, że była zakochana, ale dziwnie się z tym obnosiła. Wpatrzona w ojca jak w obrazek, zupełnie nie dostrzegała, jak on znęca się nade mną, krzyczy z byle powodu. Z czasem zaczął mnie bić. Początkowo były to takie niewinne szturchnięcia, gdzieś strzelił mnie w tył głowy, kopnął w zadek. Znosiłem to dzielnie, bo liczyłem, że może z czasem będzie lepiej. Ale nie było. Wręcz przeciwnie. Dodatkowo między nimi zaczęło się psuć. Gdy pewnego dnia wróciłem ze szkoły, z pokoju mamy dochodził jej cichy płacz. Chciałem wejść, ale zamknęła się na klucz, twierdząc, że jest zmęczona i jak odpocznie, to przyjdzie. Gdy wyszła, oczy miała opuchnięte od płaczu. Nie wyglądała na zaspaną, ale na niezwykle smutną. Oczywiście na pytania o to, co się stało, odpowiadała, że nic takiego. Gorszy dzień i tyle. Sytuacja powtarzała się coraz częściej. Ojciec potrafił wydrzeć się na każde z nas, tak naprawdę bez powodu. Na Maćka też krzyczał, a muszę powiedzieć, że chłopak był jeszcze spokojniejszy niż ja. Mama wiedła w oczach. Schudła okropnie, nic nie chciała jeść. Musiałem zadzwonić do jed-

nej z ciotek to znaczy jej sióstr, bo nie wiedziałem, co robić. Ale to nic nie dało, poza kolejną awanturą. O dziwo, mama zawsze stawiała po stronie ojca. Nie wiem dlaczego, ale idealizowała go, tłumaczyła, mimo że toczyła się w dół po równi pochyłej. W pewnym momencie przestała totalnie jeść. Raz próbowała wynieść śmieci, gdy nas nie było. Znalazł ją na schodach sąsiad. Nie poznał jej prawie, bo przez kilka miesięcy nie wychodziła z domu. Anoreksja, powiedzieli nam w szpitalu, gdy zabrała ją karetka. Stamtąd trafiła do ośrodka psychiatrycznego. Miałem nadzieję, że będzie lepiej, jak wyjdzie. Musiałem tylko pozbyć się problemu.

Mężczyzna zawiesił głos i utkwiał wzrok w blacie. Po chwili zebrał się w sobie i kontynuował:

– Miałem trzynaście lat. Byłem głupi. Nie wiedziałem, co robić. Winą za to wszystko obarczyłem ojca, dlatego postanowiłem się zemścić. Długo myślałem, co zrobić. Żaden z dorosłych nie kwapił się do pomocy nam, więc wziąłem sprawy w swoje ręce. Po swojej stronie miałem tylko Maćka, który też co chwilę dostawał od ojca. Obmyśliliśmy plan. W nocy zakradliśmy się do salonu, gdzie spał na kanapie po wypiciu kilku browarów. Uderzyliśmy go w głowę dość mocno, by stracił przytomność, zawlekliśmy do auta i wrzuciliśmy do bagażnika. Byliśmy gnojkami i nie dopracowaliśmy szczegółów. Nie mogliśmy odpalić auta, więc zostawiliśmy go w bagażniku. Planowaliśmy rano wrócić i wtedy jakoś go wywieźć. Niestety się obudził i krzykami zaalarmował sąsiada, który wyszedł bardzo wcześnie z psem. Ten wezwał policję i tym sposobem aresztowano nas i skazano za napaść, chociaż prokurator nalegał na usiłowanie zabójstwa. Przesiedziałem trzy lata w poprawczaku, ale nie żałuję. Mama wyzdrowiała i już nigdy do niego nie wróciła. A ja dobrze się sprawowa-

łem, więc nie miałem problemów. Wiadomo, czasami dostałem od kogoś łomot, ale wolałem to niż cierpienie mojej mamy.

– Smutna historia, która faktycznie stawia pana w niezbyt dobrym świetle – skomentowała Dorota Czerwińska.

– Wiem, ale zapłaciłem za to.

– Czyli twierdzi pan, że gdy przyszedł drugi raz do biura, to pan Fularczyk już nie żył.

– Tak. Byłem w szoku. Wyszedłem z biura i wróciłem do domu. Ja go nie zabiłem.

– A jak pan wszedł? – kontynuowała policjantka.

– Gdy jeszcze tam pracowałem, zgubiłem klucze. Pani Diana dorobiła mi nowy komplet. Gdy już odszedłem, znalazłem tamten zagubiony, ale jakoś nie miałem okazji oddać.

– A jak pan wyjaśni obecność krwi Seroczyńskiego na swoich butach?

– Co? – krzyknął zdziwiony i spojrzał na adwokata.

– W pańskim mieszkaniu zabezpieczyliśmy buty, na których są ślady ludzkiej krwi, a dokładniej pobitego Pawła Seroczyńskiego – wtrąciła siedząca dotąd cicho Grzelczyk.

– To niemożliwe.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z panem Seroczyńskim? – spytała Czerwińska.

– Gdy przekazywałem mu swoje zadania. Zostałem poproszony przez prezesa o przekazanie wszystkiego, co robiłem.

– A czy później pan się z nim spotkał?

– Raz na jakiejś konferencji. Pogadaliśmy chwilę.

– Kiedy to było? – Dorota przyglądała się mężczyźnie, próbując wyczytać coś z jego twarzy, jednak ta przypominała nieruchomą maskę.

– Chyba w listopadzie zeszłego roku, w Krakowie.

– Sprawdźmy.

– Proszę się nie krępować. Aaa! – krzyknął nagle. – Już pamiętam. Leciła mu wtedy krew z nosa. I podałem mu chusteczkę, aby zata-
mował krwotok.

– Mhm... Okej – mruknęła Dorota i spojrzała na koleżankę.

Obie dobrze wiedziały, że siedzący przed nimi mężczyzna mija się z prawdą, a krew na jego podszewkach znalazła się tam w innych okolicznościach, musiały to tylko udowodnić.

Rozdział 32

Zgodnie z wytycznymi mieli stworzyć dwie drużyny, jednak okazało się to niezmiernie trudne.

– Podzielimy się według płci – rzucił Gustaw, mimo że ostatnia rzecz, jakiej chciał, to bycie w grupie z kolegą. Mimo to wyszedł z założenia, że wrogów najlepiej trzymać blisko.

– Taaa – skwitowała Blanka i pokręciła głową z dezaprobatą. – Po moim trupie.

– Lepiej tak nie mów, bo jeszcze się spełni – odezwał się Kacper, który siedział na szczycie stołu i skubał orzeszki znalezione w jednym z kartonów. – A co do podziału, to może zrobmy losowanie. Tak będzie sprawiedliwie.

Chłopak chwycił leżące na blacie pudełko z zapalkami, wyciągnął cztery i dwóm ułamał główki. Odwrócił się do zgromadzonych i po chwili wyciągnął prawą dłoń do siedzącej najbliżej Blanki.

– Kto wyciągnie krótsze, jest razem, kto trafi na dłuższe, tworzy drugą drużynę. Chyba jasne i idealne w swej prostocie.

Przystali na to i po chwili siedzieli już podzieleni – Blanka z Gustawem i Kacper z Klaudią.

– I co teraz? – rzuciła Klaudia, gdy po pół godziny siedzenia i czekania na dalsze instrukcje nadal nic nie działo. Wstała i podeszła do stojących pod oknem kartonów. – Kiedy będzie coś do jedzenia? – rzuciła roszczeniowym tonem do Gustawa. – Nie miałeś nam przypadkiem usługiwać i gotować przez kilka dni?

– Usługiwać? Chyba cię pojebało. Nie jestem twoim niewolnikiem. Wykonywałem zadanie...

– Które miało trwać dwa dni, a te nie upłynęły – wtrącił z uśmiechem na twarzy Kacper. – Więc Klaudia ma rację. Ja również coś bym zjadł – powiedział i pogłaskał się po brzuchu, pokazując swój głód.

– Wy serio chcecie jeść? – spytała Blanka, która dotychczas siedziała cicho, jakby udawała, że jej nie ma. – Ja chcę stąd wyjść. Patrycja nie żyje. Nie powinniśmy tu zostawać. Ktoś powinien ją zabrać. Rodzina powinna móc ją...

– I wtedy przyjedzie policja i koniec naszej gry – rzucił Kacper, jakby zupełnie zapomniał o tym, że ktoś naprawdę zginął, a on miał w tym swój udział.

– Gry? Tylko to cię interesuje? – kontynuowała Blanka, mierząc chłopaka wzrokiem.

– Niechętnie, ale zgadzam się ze smerfem – wtrącił Gustaw. – Nasz bunt nic nie zmieni. Zresztą uważam, że niezależnie od tego, co czujemy, to, co się wydarzyło, to nie nasza wina. Zostaliśmy do tego sprowokowani i każdy sąd nas uniewinni. Nie mamy wyjścia i musimy tutaj zostać.

– Czy was już totalnie opętała żądza sławy?! – krzyczała dziewczyna, nerwowo chodząc po pokoju.

– Odezwała się ta, co ma to w dupie – skomentował Kacper i wrzucił do ust sporą porcję orzeszków. – Latasz z wywalonymi cycami jak jakaś panienska lekkich obyczajów. Robisz sobie fotki, prężąc dupę, a tu nagle kręgosłup moralny cię zaatakował. Nieźle. To się spokojnie nadaje na skecz.

– Pokazywanie dupy i zabijanie człowieka to dwie zupełnie inne sprawy, debilu! – wykrzyczała dziewczyna i wyciągnęła z papierowej, stojącej na stole torby butelkę wódki. Odkręciła ją pewnym ruchem i pociągnęła kilka głębszych.

Wszyscy patrzyli na nią z niedowierzaniem. Jako pierwsza ciszę przerwała Klaudia:

– Mnie też to się nie podoba. Ale nie sędzę, żeby ktoś sobie tego nie przemyślał. Jeżeli ma to lecieć w telewizji, to musi być zgodne z prawem. Może doszło do jakiegoś nieszczęśliwego wypadku...

– W wyniku którego szanowna Patrycja wylądowała na rzeźniczym haku z głową w dół, a nam dano pałki do nawalania jej – wtrącił rozbawiony Gustaw, który cały czas sprzątał pomieszczenie. Mimo że robił to już od dłuższego czasu, nie było widać znaczącej poprawy.

– To co mamy zrobić? Przecież jak wyjdziemy, to zakują nas w kajdanki i pójdziemy prosto do więzienia... – wydukała roztrzęsionym głosem Klaudia i zaczęła rytmicznie bujać się w przód i tył.

Momentalnie wszystkim udzieliła się atmosfera strachu, bo nagle każdy stracił ochotę na dyskusje i pomieszczenie wypełniła cisza przerywana szelestem podnoszonych przez Gustawa śmieci.

Rozdział 33

Zima zaatakowała Polskę ze zdwojoną siłą. Śnieg powoli zasypywał ulice Warszawy, powodując, że ruchliwe na co dzień miasto wyludniało się. Każdy trzy razy się zastanawiał, zanim wyszedł z domu. Ilość lecącego z nieba śniegu gwarantowała wydłużone dojazdy do obranego celu, a atakujące z telewizji komunikaty o drogowcach, którzy swoim zwyczajem zostali zaskoczeni przez zimę, nie napały optymizmem. Lepiej było zostać w domu niż narażać się na kłopoty.

Dorota naciągnęła grube wełniane skarpety i zapięła sweter, którego nie nosiła od lat. Nie pachniał zbyt ładnie, ponieważ nie zdążyła go wyprać, co denerwowało ją niezmiernie, ale miło grzał w plecy. Poszła do łazienki, spryskała się delikatną mgiełką kupioną w Primarku i poszła sprawdzić, czy Mikołaj nadal śpi.

Od kiedy wyszli ze szpitala, najchętniej nie wypuszczałyby go z rąk lub siedziała bez ruchu przy jego łóżeczku, cały czas patrząc na jego małą klatkę piersiową, która rytmicznie unosiła się i opadała. Jednocześnie wiedziała, że na dłuższą metę nie da radę wytrzymać w domu, dlatego po długich negocjacjach uzgodnili z Markiem, że będzie chodzić do pracy co drugi dzień. O dziwo, szef się zgodził, a Zofia Grzelczyk ucieszyła, że znowu ma partnerkę. W tym czasie to Marek zamiennie z Wandą mieli zajmować się małym, który po całym zamieszaniu chorobowym zachowywał się jakby nigdy nic.

Dorota usiadła na kanapie i włączyła telewizor, który oglądała okazjonalnie. Z reguły puszczała kanał informacyjny, tak jak teraz, chcąc dowiedzieć się, co się dzieje w kraju czy na świecie. Z rzadka, jak miała siłę i czas, no i gdy mały dawał jej chwilę oddechu, wybierała jakiś lekki serial lub film. Położyła nogi na małym pufie w tym samym kolorze co kanapa i zawinęła się w kolorowy koc.

Reporter telewizyjny, stojąc przy jednej z głównych ulic stolicy, opowiadał o prognozowanych opadach i problemach finansowych Warszawy, które spowodowały, że nie było jej stać na odpowiednie oczyszczanie ulic, nawet w takiej sytuacji jak śnieżycy paraliżująca miasto.

Miała wrażenie, że trochę odpłynęła, gdy nagle usłyszała delikatne pukanie do drzwi, a jej telefon zaświecił się. Dopiero teraz zreflektowała się, że kilka godzin temu go wyciszyła, wyłączając nawet opcję wibracji. „Zofia Grzelczyk” – pojawiło się na ekranie.

Zignorowała telefon i ruszyła do drzwi, za którymi stała... jej partnerka.

– Cześć – rzuciła zdziwiona Dorota. – Coś się stało?

– Cześć, a musi się coś stać, aby odwiedzić koleżankę z pracy? – Uśmiechnęła się i przekroczyła próg, ignorując brak zaproszenia.

– Chyba nie.

– No właśnie, dlatego postanowiłam zajrzeć do ciebie, pogadać o pogodzie i innych sprawach.

– Aha – skomentowała, cały czas patrząc na koleżankę jak na kosmitkę.

Zofia przeszła obok niej, po drodze zrzucając śniegowce, które przy panującej za oknem pogodzie były znakomitym wyborem, i ru-

szyla do salonu. Usiadła na kanapie, cały czas uważnie rozglądając się po mieszkaniu Doroty.

– Fajnie tu masz. Musisz koniecznie wpaść kiedyś do mnie, bo mamy dość zbliżony gust. Też mam szarą kanapę i drewniany stół. Tylko ja kupiłam przezroczyste krzesła, a ty masz zupełnie inne, kolorowe. No i ja na jednej ścianie mam tapetę, a u ciebie króluje biel, co w sumie chyba bardziej mi się podoba – komentowała, nadal skanując salon wzrokiem.

– Dzięki – powiedziała Dorota i usiadła obok koleżanki. Czuła lekkie skrępowanie.

– Nieźle przysypało. Myślałam, że nie dojadę do ciebie. Ostatnie pięćset metrów musiałam przejść. Dobrze, że Marek wyjaśnił mi, gdzie dokładnie mieszkasz i gdzie mogę porzucić radiowóz, bobym zrezygnowała.

– Marek? – spytała zdziwiona.

– Nie stresuj się, wiem, że wy jesteście razem.

– To nie tak... – przerwała, sama nie wiedząc, jak to skomentować.

Łącząca ich relacja każdego dnia ewoluowała. Od jej początkowego stanowczego nastawienia na nie, poprzez delikatne mizianie w szpitalu, po wspólną noc. Gdy dzień wcześniej przyszedł do niej z wielkim misiem dla młodego, a później wspólnie oglądali jej ukochany film, „50 pierwszych randek”, nagle znalazł się tak blisko. Jego zapach docierał do niej ze zdwojoną siłą i gdy odprowadzała go do drzwi, zamiast cmoknąć go w policzek, złożyła pocałunek na jego ustach. Później wszystko poszło szybko i kilkanaście minut później leżeli wtuleni w siebie i nadzy, nasłuchując, czy nie narobili zbyt wielkiego hałasu i nie obudzili syna.

– Dziewczyno, masz już trochę ponad osiemnaście lat. Dziecko i to, co robisz po godzinach pracy, zupełnie mnie nie interesuje, oczywiście póki nie łamiesz przepisów. Możesz być z Markiem, nie być, zostać jego żoną lub nie. Mnie to nie interesuje. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że to fajny facet i kilka koleżanek będzie miało smutniejszy czas, jak w końcu zrobicie *coming out*.

– Aha – wydusiła Dorota.

Cała ta sytuacja była dla niej wielkim zaskoczeniem. Kiedy zobaczyła na teście ciążowym dwa paski, postanowiła, że będzie sama, mimo że Jakub zapewniał, że chce z nią być. Twierdził, że każdemu zdarzają się błędy, takie jak ten, gdy ona po kłótni z nim upiła się i doszło do najgorszego. Był przekonany, że jest w stanie jej wybaczyć i traktować dziecko jak swoje. Dorota jednak w to nie wierzyła. Przecież nikt nie chciał być zdradzonym.

W stronę Marka też bała się patrzeć. Intrygował ją, kręcił, a zarazem wizja bycia i życia z nim stanowiła totalną abstrakcję. Był jak nierealna postać z filmu fantasy, która istnieje tylko na ekranie telewizora.

– Dobra. – Zofia wytrąciła ją z rozmyślań. – Nie przyszedłam na plotki. Ciebie nie ma w pracy, a śledztwo trwa. Ty nie możesz być na komendzie, więc postanowiłam, że komenda przyjdzie do ciebie. – Nie czekając na komentarz koleżanki, wyciągnęła z dużego plecaka, który położyła obok kanapy, stos dokumentów. – Nasz ulubieniec wśród księgowych, Wiktor Kozioł, cały czas szedł w zaparte, że krew na butach nie pochodzi z ich domu, ale z konferencji, podczas której się spotkał z Seroczyńskim. Sprawdził, oczywiście, faktycznie byli w tym samym czasie na jakiejś hipernudnej konferencji w Krakowie, więc w tej kwestii nie kłamał. Tak samo szedł w zaparte odno-

śnie do swojej drugiej wizyty w biurze firmy od kartonów. Gdy przyjechał, Mariusz Fularczyk nie żył. On się przestraszył i dlatego nie powiadomił służb. Twierdził, że i tak nie żył, więc niewiele by to zmieniło. Z tego samego powodu nakłonił partnerkę do kłamstwa. Błagał, żebyśmy nie ciągnęli jej do odpowiedzialności, bo to jego wina.

– Czyli wszystko bez zmian? – spytała Dorota i przykryła się kocem, pod którym leżała, zanim przyszła koleżanka.

– No nie. – Zofia Grzelczyk wyciągnęła z dokumentów kilka zdjęć i podała koleżance. – Nasz gadatliwy technik przyszedł do mnie i powiedział, czym mnie niezmiernie zdziwił, że coś przegapił. Człowiek, który zawsze przedstawia siebie jako superprofesjonalistę, czegoś nie zauważył. Koniec świata. Powiedział, że nie mógł spać po nocach. Spytał, czy mógłby jeszcze raz wrócić do mieszkania Wiktora Kozła. Zrobiliśmy ponowny nalot na jego dom.

– I? – spytała, a Grzelczyk podsunęła jej zdjęcie jakiejś dziury w podłodze.

– Skrytka. Okazało się, że pod tym wielgaśnym biurkiem, przy którym siedział podczas naszej wizyty, jest schowek. Zupełnie niewidoczny, gdy biurko stoi na swoim miejscu. Nasz gaduła podczas pierwszej wizyty zupełnie tego nie wyłapał, ale męczyły go dziwne ślady na podłodze, które były efektem przesuwania mebla. Nie wiem, jak Kozioł sam to przesunął, ale dwóch wielkich funkcjonariuszy ledwo dało radę. W dziurze znaleziono mnóstwo dokumentów, które stanowią dowód jego przestępstwa. Potwierdzają nieprawidłowości, a dokładniej znikające kwoty. Podobno założył kilka firmowych kont, na które przelewał pieniądze.

– I nikt o tym nie wiedział?

– Nikt. Ani prezes, ani sekretarka nie znali tych kont. Wiktor Kozioł miał uprawnienia do wszystkiego, ale nikt nie sądził, że wykorzystywał to do kradzieży.

– Ile ukradł? – spytała zaintrygowana Dorota i poprawiła koc, który nie zabezpieczał jej stóp.

– Liczą. Wstępnie szacują straty na około czterysta tysięcy. Ale mogło być tego więcej.

– O matko! – krzyknęła ze zdziwienia Dorota. – Spora premia. Wiadomo, gdzie są te pieniądze?

– Niestety na kontach ich nie ma. Trochę przycisnęłam jego narzeczoną i sytuacja robi się trochę smutna. Niestety facet nie tylko kradł. Skarżył się na przemocowego ojca, którego prawie zabił, a jest niewiele lepszy.

– Czyżby samospełniająca się przepowiednia?

– Dokładnie. Facet bił swoją partnerkę, a ta, zamiast odejść, tłumaczyła go i całą winę przypisywała sobie i swojemu zachowaniu.

– A gdzie w tym pieniądze?

– Wyobraź sobie, że na przyjemności. Chodził na dziwki. Prawie czterysta tysięcy przewalił na dupczenie. A jego partnerka o tym wiedziała i go usprawiedliwiała. Ba, ona wymyśliła, że to po części jej wina, że nie potrafi spełnić jego dziwnych zachcianek seksualnych.

– Jezu, do czego to doszło? – spytała samą siebie Dorota i odłożyła na stolik trzymane cały czas w rękach zdjęcia dziury w podłodze.

– Też się zastanawiam. Prokurator już działa. Facet spędzi w więzieniu długie lata, chociaż na jego korzyść przemawia fakt, że się przyznał. W sumie to się nie dziwię. Wszystkie dowody mówią przeciwko niemu. Nie zostało mu nic innego jak posypać głowę popiołem i kajać się. Opowiedział prokuratorowi wszystko ze szczegółami. Po-

dobno Seroczyński zadzwonił do niego zdenerwowany i chciał wyjaśnić. Mieli się spotkać w biurze, ale Koziół stwierdził, że odwiedzi go w domu. Doszło do niespodziewanej kłótni i chwycił to, co było pod ręką. Sytuacja się powtórzyła z Fularczykiem, ale o wiele szybciej. Nie mógł zadzwonić do poprzednika, więc wykręcił do jeszcze wcześniejszego księgowego. Tym razem Koziół poszedł przygotowany, bo po drodze wziął z budowy tę młotowiertarkę. I słusznie, bo dowiedział się, że kolega nie zamierza niczego ukrywać. Mówił, że zgłosi wszystko szefowi, a także policji. Koziół tłumaczył, że wpadł w amok. Nie chciał – powiedziała z satysfakcją w głosie Grzelczyk.

Rozdział 34

– Jak leży?

Młoda dziewczyna wyszła z przymierzalni, stanęła przed lustrem i zaczęła oglądać się z każdej strony, przy okazji prężąc się przed chłopakiem, który niechętnie podniósł głowę znad swojej komórki.

– Spoko, ale niewiele różni się od tamtych trzech, które przymierziałaś w poprzednich dwóch sklepach. Kup już jakąś i chodźmy.

– Matko, wiedziałam, że tak będzie. Po co szedłeś? Mogłeś zostać w domu, a tak mnie tylko stresujesz.

– Stresuję? – powiedział wkurzony.

Wstał z wielkiego okrągłego pufa, na którym siedział od kilkunastu minut, przyglądając się różnym kreacjom, w których prezentowała się jego dziewczyna. Wyszedł z przymierzalni i stanął przed jednym z telebimów, na którym wyświetlano prezentacje stylizacji imprezowych. Krótka sukienka wyszywana srebrnymi cekinami, ze sporym dekoltem, a do tego buty na sporym obcasie w tym samym kolorze. Po kilku sekundach pojawiła się kolejna propozycja, tym razem długa suknia, spod której wystawały tylko czubki czarnych butów. Kreacja była dość skromna, ale zdecydowanie bardziej mu się podobała, może za sprawą ładnej brunetki z dużymi oczami, która zalotnie się uśmiechała, prezentując tę sukienkę.

Wojtek z wielką ciekawością czekał na kolejną propozycję, gdy nagle w całym sklepie zgasły wszystkie ekrany i po pięciu sekundach zaczęły pojawiać się na nich napisy:

Jesteś gotowy na grę?

Chcesz decydować o życiu i śmierci?

Bycie bogiem może wciągać.

Momentalnie ucichły wszelkie rozmowy, a wszyscy podeszli bliżej, jakby bali się, że coś przegapią. Kilka osób włączyło nagrywanie w swoich telefonach, chcąc uwiecznić to, co oglądali. Po chwili czarne ekrany zniknęły, a w ich miejscu pojawił się obraz z kilku kamer, pokazujący dwoje młodych ludzi siedzących po przeciwnych stronach stołu. Kobieta podpięta była do jakiegoś urządzenia.

– To chyba sprzęt do rażenia prądem – powiedziała ubrana w długi czarny płaszcz blondynka stojąca najbliżej telebimu po prawej stronie.

W tym momencie z głośników popłynął dziwny, jakby zniekształcony głos:

– Co człowiek jest w stanie zrobić dla pieniędzy i sławy? Wszystko? Poznajcie Blankę i Gustawa, uczestników nowego programu, jakiego świat jeszcze nie widział. Blanka to fanka imprezowania i pokazywania swoich walorów. Czasami próbuje udawać intelektualistkę i chodzi na studia, ale zdecydowanie nie leży to w zakresie jej zainteresowań. Za to ten przystojniak to Gustaw, ma co nieco w głowie, ale dla poklasku jest w stanie zrobić wiele. Chcecie popatrzeć na ich zadanie?

Głos na chwilę zamilkł, a kamera zrobiła zbliżenie na twarz dziewczyny, na której skroniach perliły się i spływały powoli krople potu.

– Czy przespałaś się kiedyś z żonatym mężczyzną? – spytał chłopak, a po sklepie wśród ludzi stojących dookoła Wojtka rozległ się

szmer.

– To jeszcze kilka słów wyjaśnienia... – Z głośników ponownie popłynął mechanicznie zmodyfikowany głos. – Bohaterowie zabawy mają za zadanie zmylić przeciwnika. Gustaw ma wyłapać momenty, kiedy Blanka kłamie. Ona zaś ma tak odpowiadać, aby on tego nie wychwytał. Każda wygrana nad przeciwnikiem to pieniądze dla danej osoby. Gdy Gustaw wychwyci kłamstwo, ma narzędzie do karnia. Może porazić koleżankę prądem. W jego gestii jest nie tylko przycisk włączający zasilanie, ale również regulacja mocy prądu, który porazi Blankę. Dzięki temu może zniechęcić ją do kolejnych kłamstw albo... zrobić jej krzywdę. Gdy jednak ona odpowie zgodnie z prawdą, a on uzna, że kłamała, prąd nie popłynie, a Blanka może udawać.

Wśród ludzi rozbrzmiewały coraz głośniejsze szepty.

– Trzeba zadzwonić na policję – rzuciła starsza kobieta w długim kożuchu i z wielkim szalem szczelnie zawiniętym wokół szyi. – Przecież mogą zrobić krzywdę tej dziewczynie!

– Ale to się już wydarzyło. Właśnie znalazłem informację, że podobne nagranie poszło w wielu miejscach w Polsce. Tutaj jest chyba jakieś opóźnienie – wtrącił chudy mężczyzna z koszulką z logo sklepu, w którym się znajdowali. – Na Instagramie pojawiły się relacje z innych miejsc w Polsce.

– O Boże... – skomentowała ponownie kobieta. – To jakiś absurd. Kiedyś takie rzeczy się nie działy. Do czego to nas doprowadzi...

– Czy przespałaś się kiedyś z żonatym mężczyzną? – ponownie usłyszeli pytanie chłopaka, który wbijał w dziewczynę świdrujące spojrzenie, jakby chciał zobaczyć jej myśli.

Blanka utkwiała wzrok w blacie dzielącego ich stołu.

– Tak – odpowiedziała pewnym głosem i spojrzała na przeciwnika, lekko się uśmiechając.

– Mówi prawdę – odezwała się znowu starsza pani.

– Oczywiście. Przecież taka laska nie ma żadnych skrupułów i zalicza każdego, niezależnie od tego, czy nosi obrączkę, czy nie – rzucił młody chłopak, cały czas nagrywając wielkie ekrany, na których wyświetlano twarz dziewczyny. Dobra jakość obrazu powodowała, że widać było na niej wszelkie niedoskonałości jej skóry.

Siedzący naprzeciwko niej chłopak cały czas bacznie się jej przyglądał. W końcu nacisnął jeden z guzików na wielkim panelu, który stał przed nim. Wszyscy zgromadzeni zamilkli, oczekując na reakcję dziewczyny. Przez pierwsze sekundy zupełnie nic się nie działo, ale wtedy chłopak znowu coś przekręcił i nacisnął, a do ich uszu dobiegł krzyk dziewczyny.

– Kurwaaa! – wydarła się, jej oczy rozszerzyły się, a na twarzy pojawił grymas bólu.

– Więc jednak kłamała? – zdziwił się chłopak ze smartfonem.

– Ale ona może udawać – powiedziała krótko ostrzyżona dziewczyna, która dotychczas stała cicho.

– Albo ściemniała przy odpowiedzi, albo udaje teraz, ale nie sądzę.

W tym momencie na ekranie pojawiły się dwie skarbonki z imionami Blanki i Gustawa, a wokół nich wirowały monety. Nagle wszystkie wleciały do skarbonki podpisanej imieniem dziewczyny.

– O matko, więc jednak – skomentował nagrywający chłopak.

– No właśnie, wy, młodzi od razu wydajecie wyroki, a nie wszystko złoto, co się świeci. To, że dziewczyna wygląda, jak wy-

gląda, nie musi oznaczać, że jest... – Starsza pani przerwała, jakby wstydziała się dokończyć zdanie.

– Puszczalska? – spytała dziewczyna. – Ale wie pani, skoro monety trafiły do niej, to znaczy, że mówiła prawdę i faktycznie spała z żonatym.

Kobieta zamruwała szybko, po czym prychnęła oburzona, gdy zorientowała się, że jej rozmówczyni ma rację.

Tłum pod telebimem robił się coraz gęstszy, jakby informacja o tym, co się dzieje, rozeszła się lotem błyskawicy po okolicznych sklepach w podwarszawskim centrum handlowym. Każdy chciał zobaczyć, co się dzieje.

– Czy ukradłaś kiedyś coś ze sklepu? – Gustaw zadał kolejne pytanie.

Ponownie ludzie zgromadzeni w sklepie przed ekranami z wielkim entuzjazmem zaczęli komentować, coraz głośniej się przekrzykując.

– Nie – odpowiedziała dziewczyna z jeszcze większym spokojem niż poprzednio, jakby zupełnie zapomniała, co może ją czekać, jeżeli skłamię.

Mierzyła się przez dłuższą chwilę z chłopakiem, którego dłoń zawisała nad przyciskiem, jednak w końcu cofnął ją, wierząc koleżance. Znowu na ekranie pojawiły się skarbonki i również tym razem wszystkie monety trafiły do Blanki.

– Ostatnie pytanie – przemówił Gustaw. – Czy przyczyniłaś się do czyjejś śmierci?

Przez zgromadzony tłum przeszedł jeszcze głośniejszy szum niż wcześniej. Wszyscy ze zdziwionymi minami patrzyli na ekrany.

– Nie – odpowiedziała tak jak poprzednio, jednak tym razem nie patrzyła na przeciwnika, tylko utkwiała wzrok w narzędziu tortur, które stało przed nią.

Chłopak obserwował dziewczynę przez moment, po czym przedstawił coś na panelu, zawiesił dłoń nad czerwonym guzikiem i zaważał się, jakby pierwszy raz doszło do niego, co może zrobić koleżance.

– Nie mogę na to patrzeć – rzuciła oburzonym głosem starsza pani i zaczęła przedzierać się przez tłum w stronę wyjścia ze sklepu.

W końcu Gustaw opuścił palec i wcisnął przycisk.

Do uszu zgromadzonych dobiegł przeraźliwy dźwięk, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie słyszeli. Wdzierał się w ich głowy niczym śruba w ścianę i przebijał kolejne warstwy. Najgorszy był jednak fakt, że najwyraźniej Blanka skłamała, czego potwierdzeniem były monетки, które tym razem wpadły do skarbonki chłopaka.

Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w milczeniu, nie wiedząc, jak to skomentować. Ciszę przerwał mechaniczny głos płynący z głośników:

– Mam nadzieję, że się podobało. Chcecie więcej? Wiem, że tak. Każdy z nas ma mroczną część, którą głęboko ukrywa. Oczywiście nie musicie nikomu robić krzywdy, aby pokazać, że jesteście z nami. Wrzucicie na Instagram zdjęcie osoby, która was skrzywdziła, dodacie hasztag #BawSieJakNigdy, a może zdarzyć się cud.

Rozdział 35

Dorota stanęła przed klatką bloku, w którym mieszkała od miesiąca, i zaczerpnęła powietrza. Ostatnio tak dużo się działo, że nie miała czasu dobrze przyjrzeć się swojej nowej okolicy. Czterokondygnacyjny blok z wielkiej płyty nie robił szczególnego wrażenia, ale rewanżowały jej to sąsiedztwo z parkiem i bliskość komendy.

Powoli ruszyła w stronę przystanku autobusowego, na którym umówiła się z Zofią Grzelczyk. Koleżanka zadzwoniła, informując, że jest nowa sprawa. Dobrze wiedziała, że Dorota ma pełne prawo odmówić, ona jednak tego nie zrobiła. Miała z kim zostawić syna. Marek Kamiński przychodził do nich zdecydowanie częściej, niż wstępnie ustalili. Zostawał dużo dłużej i coraz swobodniej czuł się w jej mieszkaniu. Z jednej strony czuła ulgę, że nie jest z tym wszystkim sama, że jest u jej boku ktoś, kto w każdym momencie może jej pomóc, wesprzeć lub odciążyć w codziennych obowiązkach. Z drugiej strony wolałaby sama zdecydować o tym w odpowiednim momencie, a nie zostać zaskoczoną, a w pewien sposób wręcz osaczoną przez ojca Mikołaja.

Lubiła jego towarzystwo, uwielbiała, gdy robiąc wspólnie kolację, co jakiś czas muskał ją swoją szorstką dłonią po biodrze lub brodą po szyi, wywołując u niej gęsią skórę na plecach. Uwielbiała, gdy słyszała jego głos dobiegający z pokoju syna, gdy czytał mu bajki lub opowiadał wymyślone przez siebie historyjki, w których z reguły

głównymi bohaterami byli królewna Doris i rycerz na białym koniu imieniem Marko.

Nie do końca podobał jej się fakt, że bez żadnych ustaleń ilość jego ubrań w szafie z dnia na dzień rosła, a jego wizyty zazwyczaj były niezapowiedziane.

Teraz jednak chciała od tego odpocząć.

Po pięciu minutach pojawił się radiowóz, za którego kierownicą siedziała Zofia.

– Wskakuj – rzuciła, gdy z lekkim poślizgiem zahamowała w zakazanym miejscu. Panujący mróz spowodował, że jezdnie, a także chodniki przypominały bardziej lodowiska niż bezpieczne powierzchnie, po których można było chodzić czy jeździć samochodami.

Trzema sprawnymi ruchami policjantka wykręciła, robiąc przy tym mały korek i wywołując zdenerwowanie u jednego z kierowców, który wyraził swoją złość, używając klaksonu. – Znalezione ciało na brzegu Wisły – powiedziała, gdy już skończyła manewr, pokazując podenerwowanemu kierowcy środkowy palec i uśmiechając się przy tym sympatycznie.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Mężczyzna.

Zofia skręciła na Wisłostradę w stronę Łomianek, gdzie samochody poruszały się wolno i w dużym ścisku.

– W sumie do przewidzenia. Wiesz, że ośmiu, a według niektórych nawet dziewięciu na dziesięciu samobójców to mężczyźni? Porażające dane.

– Wiedziałam, że są w przeważającej większości, ale nie wiedziałam, że aż tyle. Ale w sumie, jak sobie tak pomyślisz, to faceci nie ga-

dają o problemach, zawsze udają silniejszych, zamiast się tak najzwyczajniej w świecie wygadać, a nawet i wypłakać – powiedziała policjantka i skręciła w małą uliczkę.

Dorota zupełnie nie wiedziała, gdzie są i w jakim kierunku zmierzają. Warszawa cały czas stanowiła dla niej labirynt ulic i budynków, który bez nawigacji był nie do okiełznania. Nawet najbliższe otoczenie sprawiało jej nadal problemy, dlatego cały czas przemieszczała się, używając wspomagaczy. Jedynie drogę z domu na komendę opanowała do perfekcji, ale tam raptem miała dwa zakręty, więc każdy byłby w stanie to zapamiętać i się nie zgubić.

Powoli krajobraz zmieniał się na mniej miejski. Wjechały w jakieś krzaki, tracąc z widoku bloki i inne zabudowania miasta, za to wokół nich pojawiła się roślinność bardziej charakterystyczna dla okolic zbiorników wodnych. Przejechały jeszcze sto metrów wąską ścieżką, na której niemożliwe byłoby minięcie się z nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem, i stanęły. Zupełnie nic sobie nie robiąc z faktu, że blokują przejazd, wysiadły z radiowozu.

– Podobno jakiś fan zimowego wędkowania zauważył w krzakach kolorowe ubranie i zawiadomił policję. Niestety panowie z brzegu nie mogli dotrzeć we wskazane miejsce, więc poprosili tych z rzeczniczego komisariatu o pomoc. Gdy w końcu im się udało dopłynąć, co podobno chwilę trwało, okazało się, że to nie tylko kurtka, ale i cały człowiek.

– Wiadomo, kto to?

– Tak – powiedziała na wydechu Zofia, przedzierając się przez krzaki. – I tutaj robi się mały problem, ponieważ to nie żaden przeciętny Kowalski...

W tym momencie wyszły na polanę, gdzie kilku mężczyzn w białych kombinezonach zabezpieczało ciało oraz wszystko, co było podejrzane w okolicy. Pomimo faktu, że ciało pod wpływem wody mocno się zdeformowało, od razu wiedziały, kto potencjalnie targnął się na własne życie.

Rozdział 36

Wielka żeliwna brama otwierała się powoli, z każdym ruchem pokazując coraz większy fragment długiego podjazdu, którego policjantki nie mogły dojrzeć, stojąc na ulicy. Po dobrych kilku minutach otworzyła się do końca i mogły wjechać na teren. Pierwsze, co zwróciło ich uwagę, to idealnie odśnieżona droga, która została przygotowana zdecydowanie lepiej niż to, co działo się poza rezydencją. Tam pracujące w ukropie służby drogowe przegrywały z zimą z kretesem.

Niespiesznie przemieszczały się, bacznie obserwując otoczenie. Wszystkie drzewa i rośliny przysypane grubą warstwą śniegu przywoływały na myśl bajkowy klimat. Niby na zewnątrz leżał ten sam śnieg, ale tutaj, niezmacony ludzką aktywnością, dawał spektakularny efekt.

– Wow! Ale tu pięknie. – Jako pierwsza odezwała się Dorota Czerwińska.

– Całkiem nieźle – wtrąciła Zofia Grzelczyk i zaparkowała na podjeździe obok mercedesa amg oklejonego czarną matową folią. – Autka też nieźle mają. I to jest niestety niezbity dowód na to, że pieniądze szczęścia nie dają.

Po chwili stały przed wielkimi białymi drzwiami z kołatką w kształcie konia. Żadna z nich nie zdążyła jej jednak użyć, bo po sekundzie usłyszały dźwięk otwieranych drzwi. Podobnie jak przy bramie wjazdowej, tak i teraz musiały chwilę poczekać, aż ujrzały wnętrze w pełnej krasie.

– Dzień dobry, starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to podkomisarz Zofia Grzelczyk. Pani Ewa Pellowska? – spytała, mimo że dobrze wiedziała, z kim mają do czynienia.

Po pierwsze, zapowiedziały swoją wizytę, po drugie, to kobieta wpuściła je na teren rezydencji, a po trzecie... każdy ją znał. Piękna, rudowłosa, o długich nogach wprawiających mężczyzn w zachwyt, a u kobiet wywołujących ukłucie zazdrości, ponad dwadzieścia lat temu otrzymała tytuł Miss Polski. Choć od tego wydarzenia upłynęło mnóstwo czasu, nadal wyglądała tak, jakby grawitacja wraz z wiekiem niewiele jej zaszkodziły.

– Tak – odpowiedziała, stojąc w drzwiach w szarych dresowych spodniach z małymi diamencikami tworzącymi delikatne lampasy i w bluzie z tak gigantycznym kapturem, że wyglądał niczym wielki szal. – Chodzi o mojego męża? – spytała jakby nigdy nic, wprawiając policjantki w zakłopotanie. Jej zachowanie nie wskazywało, aby wiedziała, co dokładnie się z nim stało.

– Kiedy ostatnio się pani z nim widziała? – spytała podkomisarz Grzelczyk.

– Wczoraj po południu. Pokłóciliśmy się i wyszedł.

– Później się nie odzywał?

– Nie, zresztą nie spodziewałam się. On ma taki głupi zwyczaj, że nawet gdy czymś mnie urazi, zrobi coś niemiłego, to się obraża. Jakbym to ja zawiniła – odpowiedziała kobieta i oparła się o framugę, jakby pozowała do zdjęcia.

– A o co się pokłóciliście? – spytała Dorota, zapinając pod brodę suwak kurtki i poprawiając stójkę, by szczelniej otulała jej szyję.

– Kajetan raz na jakiś czas spotykał się z kolegami. Politykami. A ponieważ nie idzie im aktualnie zbyt dobrze, to namówili go, żeby

wrócił do tego syfu. Gdy tylko zrezygnował z funkcji wiceprzewodniczącego, nasze życie zmieniło się diametralnie. Nagle mogliśmy wyjeżdżać, żyć w miarę normalnie. Mąż ponownie zaczął robić to, co poprzednio, czyli pracować w kancelarii. Czułam się jak w bajce. Kajetan rozpieszczał mnie na każdym kroku. Opera. Kolacje. Wyjazdy na Mazury albo Riwierę Francuską. Wiadomo, czasami coś się psuło, ale jaki związek nie zalicza upadków. Aż tu nagle wczoraj mówi mi, że postanowił, że będzie startować w najbliższych wyborach. Wkurzyłam się. Nie po to haruję jak wół, nagrywam filmiki, prowadzę media społecznościowe. W końcu ludzie zaczęli znowu patrzeć na mnie jak dawniej. Na Ewę Pellowską, a nie na żonę polityka. Szczepię powiem, nie znosiłam tego. Panie nawet sobie nie zdają sprawy, jacy ludzie potrafią być podli. Kiedyś jedna pani mnie opluła w sklepie, bo stwierdziła, że przez mojego męża musiała zamknąć swoją firmę. Darła się na mnie wniebogłosy. Próbowałam jej wytłumaczyć, że Kajetan zawsze wspierał małe firmy swoimi działaniami, ale ona mnie nie słuchała. Musiał zareagować ochroniarz, który smacznie spał w kącie. Inaczej mogłoby dojść do rękoczynów. Oczywiście nie z mojej strony.

– Rozumiemy – powiedziała Czerwińska i zrobiła mały krok do przodu, licząc, że gospodyni wpuści je do środka, bo panujący mróz wdzierał się jej pod kurtkę.

– Możemy wejść? – rzuciła poirytowana Zofia Grzelczyk.

– A nie możemy porozmawiać tutaj? Nie lubię, kiedy ktoś wchodzi do mojej przestrzeni prywatnej – powiedziała, przenosząc wzrok z jednej policjantki na drugą. – Mój terapeuta mówi, że to nerwica natręctw. Może i tak, ale nie jestem w stanie nad tym zapanować.

O co chodzi? – rzuciła stanowczym głosem i założyła ręce na pierśsiach, przyjmując postawę obronną.

Dorota Czerwińska spojrzała na Zofię i widząc delikatne kiwnięcie głową, zaczęła:

– Dzisiaj nad ranem wędkarz zauważył w krzakach nad Wisłą pomarańczową kurtkę.

– Kajetan ma taką... – powiedziała kobieta i momentalnie poblądła.

– Policja rzeczna, która została wezwana do pomocy, wyciągnęła z wody mężczyznę. Niestety już nie żył. W kurtce znaleźliśmy dokumenty pani męża.

– To niemożliwe! – Kobieta zaczęła energicznie kręcić głową. – Tylko proszę nie mówić, że to mój mąż.

– Niestety tak. Każdy z nas wie, jak on wygląda. Oczywiście będziemy musieli poprosić o oficjalną identyfikację...

– Nie, nie, nie! – krzyczała Pellowska, osuwając się po futrynie, tak że przykucnęła w drzwiach. – Ale dlaczego on był w wodzie...?

– Tego jeszcze nie wiemy. W takich przypadkach z reguły badane są trzy ścieżki: nieszczęśliwego wypadku, samobójstwa i morderstwa.

– Boże, to niemożliwe... – Dawna miss wstała i otarła spływające po policzku łzy. – Mój mąż zawsze był taki dobry dla wszystkich. Głównie myślał o innych, a na końcu o sobie...

– A czy ostatnio stało się coś wyjątkowego?

– Już mówiłam, chciał wrócić do polityki, ale to chyba nie powód do zabicia go. No, może dla przeciwników politycznych, ale oni raczej nie mieliby jaj, żeby cokolwiek zrobić. – Kobieta popatrzyła ponownie na policjantki i zaczęła płakać. Z sekundy na sekundę jej

płacz nasilał się, a wielka przestrzeń za nią powodowała, że dźwięk rezonował coraz bardziej.

Rozdział 37

– To jest chore – powiedziała Klaudia, gdy usiadła naprzeciwko Kacpra, który zachowywał się inaczej niż dotychczas.

Zamiast głupkowatego uśmiechu pojawiła się powaga, tak do niego niepasująca. Patrzył na nią swoimi szarymi oczami, a jego twarz wyglądała tak, jakby wstrzyknięto w nią za dużo toksyny botulinowej, znanej większości jako botoks.

– Wiem, ale nie możemy odmówić. Myślę, że ten facet nie żartuje i musimy wykonywać jego polecenia, bo... – Zawiesił głos i utkwiał wzrok gdzieś za plecami koleżanki.

– Skończymy jak Patrycja?

– Może – skomentował beznamiętnie i zaczął przyglądać się leżącemu przed nim panelowi do sterowania urządzeniem do rażenia prądem.

Nigdy niczego takiego nie widział i czuł lekką ekscytację, że będzie mógł spróbować. Oczywiście nie mógł się zdradzić, ale gdy usłyszał opis zadania, ucieszył się. Początkowo miał nadzieję, że to Gustawowi będzie mógł posłać porządną dawkę prądu. Teraz jednak, patrząc na koleżankę, nie miał pretensji do Szefa o mechanicznym głosie ani do losu, który sprawił, że wyłądownął właśnie z nią.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, której żadne nie chciało lub z jakichś względów nie było w stanie przerwać. W końcu z głośników usłyszeli głos:

– Kacprze, przed tobą leżą trzy koperty. Masz tam trzy pytania do Klaudii. Możliwe odpowiedzi to „tak” lub „nie”. Jeżeli uznasz, że kłamie, możesz porazić ją prądem. Jego moc możesz zmniejszać lub zwiększać. Ty, Klaudio, możesz symulować, że zostałaś porażona, ponieważ nie zawsze, gdy Kacper włączy prąd, on popłynie. Stanie się tak tylko wtedy, gdy faktycznie miniesz się z prawdą.

Dziewczyna z chłopakiem patrzyli na siebie, próbując wyłapać każdą ważną informację.

– Klaudio, za każde zmylenie przeciwnika dostaniesz pieniądze. Kacprze, ty zaś zasilisz swoją skarbonkę, gdy poprawnie wyłapiesz, co jest prawdą, a co kłamstwem. Zaczynamy? Jesteście gotowi?

Jako pierwszy kiwnął Kacper. Jego palce delikatnie muskały przyciski na panelu, jednak siedząca naprzeciwko Klaudia nie miała w sobie tyle entuzjazmu do zadania, które ją czekało. Niby nigdy nie bała się niczego szczególnego. Jako dziecko podróżowała z rodziną po całym świecie, mieszkali w wielu dziwnych miejscach, czasami takich, do których małe dzieci miały zakaz wstępu. Raz bezdomny chciał jej zabrać zakupy. Miała wtedy dwanaście lat. Większość rówieśniczek umarłaby ze strachu i nie wiedziała, co zrobić. Ona zaś zachowała stalowe nerwy i uderzyła napastnika siatką z zakupami. Na dodatek użyła nieprzypadkowej torby. Wyprowadziła cios tą, która była najcięższa.

Teraz jednak, patrząc na urządzenie stojące przed chłopakiem z niebieskimi włosami, wiedziała, że zadanie będzie o wiele trudniejsze. Kłamać potrafiła jak mało kto, ale i tak miała w sobie jakiś lęk. Kiedyś ktoś powiedział jej, że to dobrze, że się boi, bo dzięki temu cały czas jest czujna. Ludzie, którzy ignorują zagrożenia, przeważnie giną.

– Gotowi? – spytał ponownie mechaniczny głos.

Oboje kiwnęli głowami, a Kacper sięgnął po pierwszą kopertę. Powoli rozkleił ją i wyciągnął małą białą kartkę.

– Czy okradłaś kiedyś kogoś?

Dziewczyna podniosła wzrok, utkwiony dotychczas w nieznanej aparaturze, i spojrzała na chłopaka. W jej oczach pojawiło się coś, czego Kacper wcześniej nie dostrzegał. Waleczność. Bunt. Jakaś moc, której momentalnie się przestraszył. Jakby chciała mu przekazać, że żadne pieniądze nie są warte wyrządzenia jej krzywdy.

Po dwóch minutach, które trwały niczym wieczność, a podczas których wydawało im się, że temperatura w pomieszczeniu wzrosła o kilka stopni, Klaudia, nie odrywając od kolegi wzroku, odpowiedziała:

– Tak.

To krótkie trzyliterowe słowo wypowiedziała tak pewnie, że chłopak cofnął rękę wiszącą nad czerwonym przyciskiem i położył ją na blacie stołu. Mijały kolejne sekundy, a w pomieszczeniu panowała totalna cisza. Ku ich uldze przerwał ją mechaniczny głos:

– Pierwsze pytanie za wami.

– Ale czy ona powiedziała prawdę? – rzucił Kacper i skrzywił się. Dopiero teraz, gdy minimalnie ruszył się na plastikowym siedzeniu, poczuł, że spod jego pach wydobywa się niemiły zapach kwaśnego potu. Skrzywił się i przyciągnął ręce do korpusu.

– Tego dowiesz się później. Nie psujmy zabawy naszym widzom, a muszę powiedzieć, że powoli stajecie się hitem internetu. Gratuluję.

Oboje mimowolnie się uśmiechnęli. Pomimo że cała sytuacja zaczynała ich stresować, to perspektywa bycia sławnym napawała ra-

dością.

– Pytanie numer dwa. – Kacper teatralnie wyciągnął z drugiej koperty świstek papieru. Chwilę patrzył na koleżankę, nie okazując żadnych emocji. – Czy zrobiłaś kiedyś loda w miejscu publicznym?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, jakby sens pytania do niej nie dotarł.

– Obciągnęłaś komuś w kinie albo szkole? – rzucił chłopak już ze swoim głupkowskim uśmiechem.

Mimo jego uwagi dziewczyna cały czas patrzyła na niego wzrokiem osoby niezwykle pewnej siebie.

– Nie – odpowiedziała i spojrzała na prawą dłoń chłopaka, która niespiesznie uniosła się znad blatu i wylądowała na czerwonym przycisku. W tym samym momencie lewą przekreślił gałkę mocy.

Twarz Klaudii momentalnie napięła się, a z jej ust wydobył się dźwięk, jakiego Kacper nigdy nie słyszał. Ciało dziewczyny podskoczyło nagle dwa razy, aż dysząc, osunęła się bezwładnie na krzesło.

Chłopak przyglądał się temu z coraz większym przerażeniem, jednak nie wstał, aby pomóc koleżance. Głos wcześniej poinstruował ich, że jakakolwiek pomoc przeciwnikowi oznacza dyskwalifikację i utratę wszystkich zgromadzonych pieniędzy. Gdy tylko usłyszał, że jej oddech wraca do normy, zrobił dwa słyszalne wydechy i przybrał wcześniej prezentowaną postawę bojową.

– Nie ma co przeciągać! Czas na ostatnie pytanie – zaszczębiotał radośnie głos.

Kacper po raz trzeci otworzył kopertę i bardzo powoli wyciągnął kawałek kartki. Położył go przed sobą i spojrzał na koleżankę. Wyglądała trochę inaczej niż pięć minut temu. Już nie wlepiła w niego wrogiego spojrzenia. Jej głowa była zwieszona nisko nad stołem,

przez co nie widział jej oczu ani tego, na co patrzy. W sumie trochę się z tego cieszył, ponieważ wcześniej miał wrażenie, że posyła w jego stronę gromy.

– Czy wystąpiłaś w filmie porno?

Już czytając pytanie, chłopak czuł drżenie rąk. Siedząca przed nim dziewczyna spokojnie nadawałaby się do filmów dla starszych chłopców. Sporych rozmiarów biust, usta, którymi mogłaby zrobić wiele... Nie miał jednak pojęcia, czy jej życiowa etyka pozwalałaby na tego typu źródło dochodów.

Uśmiechnął się do siebie. Dopiero teraz zorientował się, że to właśnie dlatego ich prowadzący, jak w myślach nazywał właściciela mechanicznego głośu, chciał, aby dowiedzieli się o sobie najwięcej. Teraz ta wiedza miała ogromną wartość.

W końcu Klaudia podniosła głowę i wyszeptała ledwo słyszalnie jedno słowo:

– Tak.

Patrzył na nią, zupełnie nie wiedząc, co zrobić. Miał raptem dziesięć sekund na reakcję. Zegar umieszczony za plecami dziewczyny miarowo odliczał:

Dziesięć.

Dziewięć.

Osiem.

Siedem.

Sześć.

Dłoń Kacpra zawisła nad czerwonym guzikiem.

Pięć.

Cztery.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Rozdział 38

Gdy Dorota weszła do sali ukrytej w piwnicy komendy, którą już tyle razy odwiedziła, zdębiała. W pomieszczeniu wielkości jej dwóch albo i trzech mieszkań w równych rzędach stało kilkanaście biurk, a przy każdym z nich przed wielkim monitorem siedział stukający w klawiaturę funkcjonariusz.

Obie z Zofią podeszły do czekającego na nie szefa.

– Telefony dzwonią non stop – zaczął komendant i wyświetlił na ekranie screen z relacji, którą obejrzało kilkadziesiąt tysięcy osób na żywo. Jednak na tym się nie skończyło. Nagrania w sieci rozprzestrzeniały się jak wirus, docierając do szerokiego grona odbiorców. Próba zastopowania tego procederu nie miała sensu, ponieważ ludzie udostępniali filmiki, zapisywali i wrzucali na swoje profile na różnych portalach. – Na razie nie wiadomo, z czym mamy do czynienia. Czy to jakiś dowcip, szopka odgrywana przez domorosłych aktorów, czy może jednak prawdziwy show, który wygląda dość specyficznie. Delikatnie mówiąc.

– Rażenie ludzi prądem jest chyba karalne? – spytał z sarkazmem w głosie jeden z policjantów.

– To wiemy, tylko czy faktycznie tam prąd popłynął? Poza tym gdzie oni się znajdują? Bo jeżeli poza Polską, to też rodzi problemy – skomentował inny.

– Tak, na razie trzeba się dowiedzieć, kim są te dzieciaki z nagrań. Jest ich czwórka? – wtrącił komendant.

– Z tego, co aktualnie wiemy, to tak – odpowiedziała Zofia Grzelczyk, która przepchnęła się do pierwszego rzędu i oparła o czyjeś biurko.

– Zgłaszał się ktoś już w ich sprawie?

– Cały czas ludzie dzwonią, część funkcjonariuszy odbiera telefony, a inni weryfikują dane. – odpowiedział komendant. – Jeżeli to wszystko jest prawdziwe, rozpęta się niezła burza. Wykorzystali nośniki, nad którymi nie mamy zbyt wielu kontroli. Platformy społecznościowe niby mają swoje algorytmy i ucinają przemocowe materiały, ale jeżeli nie jest to zaserwowane wprost, to nie mają na to wpływu.

– Myślicie, że to jednorazowy show?

– Tego nie wiadomo, czas pokaże. Oczywiście byłoby super, gdyby to się już nie powtórzyło, ale sposób prezentacji oraz fakt, że ktoś włamał się na serwery dużej sieci handlowej, sugeruje, że na jednym razie się nie zakończy.

– O kurde! – krzyknął młody policjant stojący z tyłu sali. Trzymał w rękach telefon i kręcił głową, idąc w stronę komendanta. – Musicie to natychmiast zobaczyć.

Funkcjonariusz, nie pytając o zgodę, nachylił się nad laptopem stojącym na biurku obok komendanta i zaczął coś pisać. Po chwili na dużym ekranie ukazał się obraz.

– Przed chwilą do sieci wrzucono nowy filmik...

Mężczyzna nacisnął „play” i ustawił głośniej. Na czarnej planszy zaczęły pojawiać się zdjęcia młodych ludzi, a z głośników popłynął głos:

– Gnębił cię ktoś? Wyzywał bez powodu? Obrażał za to, kim jesteś? A może twoja inność spowodowała, że ktoś podniósł na ciebie rękę? Potrafiłbyś wybaczyć? Zapomnieć? Uznać, że twój ból i cierpie-

nie nie miały miejsca? Zaczynij zabawę z nami. Zdecyduj, kto z tej czwórki ma zostać wyeliminowany jako pierwszy. Jak głosować? Wrzuć na Instagram dowolne zdjęcie, a pod nim odpowiedni hashtag. Oto nasi nieulubieńcy. Blaaankaaa!

Mechaniczny głos próbował wypowiedzieć imię dziewczyny jak konferansjer podczas walki bokserskiej. W tym momencie na ekranie zaczęły pokazywać się zrobione przez nią selfie, a także fragmenty jej wypowiedzi z konta instagramowego: „Jesteś głupią pizdą, zdechnij”, „No i co, że się z nim przespałam? Jest dorosły, mógł pomyśleć głową, a nie fiutem. Widocznie jego żona niewiele dla niego znaczy, skoro bez problemu dał się uwieść”.

– Jak widzicie, dziewczyna jak malina. Nic tylko się z nią przyjaźnić – ponownie usłyszeli dziwny głos. – Kolejny jest Kacperek. Śmieszny chłopak, który wyglądem przypomina smerfa. Na co dzień zajmuje się wyśmiewaniem ludzi. Orientacja seksualna, rasa, poglądy polityczne, wszystko jest powodem do niewybrednych żartów.

Tym razem wyświetlono screeny z konta chłopaka: „Rodzice się pewnie ciebie wstydzą i na ulicy udają, że się nie znacie?”, „Gdybym miał taką mordę jak twoja, utopiłbym się we własnej ślinie”.

– Nic tylko się śmiać. Klaudię też można pokochać. Uwielbia wbić ludziom szpilki.

Pojawiło się zdjęcie mocno umalowanej brunetki i jej teksty: „To, że matka nie pozbyła się ciebie po porodzie, trzeba uznać za cud”, „Nie odzywaj się do mnie, rozmowy z plebsem powodują u mnie rozwolnienie. Lepiej skocz z mostu, zrobisz ludzkości przyjemność”.

– No i na końcu Gustaw. Postać niezwykle nietuzinkowa. Zapewne podbiłby niejedno serce. Jego sześcioopak wielu uznaje za idealny.

W tym momencie na ekranie ukazało się kilka selfie chłopaka prężącego swoje mięśnie. Jego wypowiedzi były równie nieprzyjemne: „Jeżeli nie schudniesz, będziesz śmierdział do końca życia, a podczas seksu zgnieziesz własną partnerkę”. „Zabij się już teraz. Nie czekaj, aż twój własny brzuch cię przygniecie”.

– Fajowi, co nie? Ale nie przeciągajmy, czas ruszyć do zabawy. Co macie zrobić? Wykorzystajcie odpowiednio hasztagi, które wyświetlają się na ekranie. Ten, który podbije wasze serca, wygrywa. O nagrodzie powiem później.

Zgodnie z jego słowami pojawiły się wielkie napisy:

#BlankaDupodajka

#KacperDowcipek

#KlaudiaPaniIdealna

#GustawSpasionaŚwinia

Rozdział 39

Gdy usłyszała za sobą cichy dźwięk oznaczający, że dziesięć sekund minęło, po jej policzkach popłynęły łzy. Wygrała. Zdobyła kupę kasy. Trzy razy oszukała Kacpra. Zrobiła go jak małe dziecko. Chłopak patrzył na nią, nadal nieświadomy tego, co się właśnie stało.

Otarła powoli jedną z łez i uśmiechnęła się.

– Wydymałam cię, frajerze! – rzuciła przez zaciśnięte zęby z szyderczym uśmiechem na twarzy.

– We wszystkim? – spytał zaskoczony.

– Tak! – krzyknęła przeraźliwie. – Ja pierdzielę, ale to było kosmiczne. Lepsze niż seks!

– Czyli wystąpiłaś w filmie porno? – Spojrzał na koleżankę ze zdziwieniem.

– Mój drogi... Każdy z nas ogląda, oglądał lub będzie oglądał takie filmy, więc co w tym złego?

– Wiesz co, generalnie nic, ale co innego je oglądać, a co innego dać się wydymać kilku gościom.

– Maks dwóm – skomentowała z zupełnym luzem na twarzy, jakby opowiadała o przeczytanej chwilę temu powieści przygodowej.

– A co z tym lodem w miejscu publicznym? To zgadłem?

– Buuu! – ponownie krzyknęła. – Niestety zonk.

– Ale tak się krzywiłaś, prawie zemdląłeś...

– Jak to mawiają, „prawie” robi różnicę. Ten psychol zostawił mi nagranie, jak mam udawać rażenie prądem, aby zmylić ciebie i naszych podglądaczy. – Ruchem głowy wskazała na umieszczone pod sufitem kamery.

– A co z kradzieżą?

– Bałam się...

– Kradzieży?

– Nie, debilu, tych prądów. Powiedziałam prawdę. – Uśmiechnęła się. – I nie wiem, czemu wiedziałam, że nie naciśniesz.

Rozdział 40

– Dzień dobry – powiedziała Dorota Czerwińska, ponownie stając w progu domu państwa Pellowskich. – Musimy z panią porozmawiać.

– Teraz?

– Dobrze by było.

– Rozumiem – odpowiedziała smutno kobieta.

Wpuściła funkcjonariuszki do środka, jakby zapomniała o swojej fobii. Zresztą nie tylko to się zmieniło. Była miss wyglądała zupełnie inaczej niż podczas ich pierwszej wizyty. Wyrazisty makijaż gdzieś zniknął, a twarz w wersji sauté dopełniły opuchnięte i zaczerwienione oczy, a także nos, zapewne od ciągłego stosowania chusteczek higienicznych.

Policjantki powędrowały za panią domu szerokim korytarzem, którego podłoga tak lśniła, że obie szły ostrożnie, aby nie zostawić śladów swoimi brudnymi butami, mimo że przy wejściu długo je czyściły. Gdy weszły do salonu, Dorota Czerwińska cicho gwizdnęła.

– Przepraszam – zmitygowała się od razu. – Bardzo ładny dom – powiedziała, ganiąc się w myślach za swoją reakcję.

Choć była już w wielu domach, nigdy nie widziała takiego salonu. Na środku stała gigantyczna kanapa, na co najmniej osiem osób, a nad nią wisiał żyrandol, który kojarzył jej się z serialami w stylu „Dynastia” czy „Moda na sukces”.

– Proszę usiąść. – Kobieta wskazała ręką kanapę, a sama usiadła na pufie w tym samym kolorze. – Wiadomo coś?

– Niestety jeszcze nie. Ale mamy do pani kilka pytań.

– Rozumiem – odpowiedziała cicho Pellowaska i wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną, którą wytarła nos.

– Co pani robiła we wtorek, czyli w dzień poprzedzający znalezienie pani męża?

– Nic szczególnego. Rano poszłam pobiegać, zresztą jak co wtorek od chyba pięciu lat. Mam tutaj małą pętelkę i robię dziesięć kilometrów, zwykle w jakieś pięćdziesiąt minut.

– Dobry czas – wtrąciła z lekkim podziwem Dorota. Siedząca przed nią kobieta wyglądała na taką, co dba o siebie, ale wybierając raczej masaż ujędrniający, a nie cięższy trening.

– Dziękuję. Wróciłam później do domu, przygotowałam obiad. Około czternastej przyjechał Kajetan. Boże, gdybym wiedziała, że to wszystko tak przeżywa...! – Kobieta wykrzyczała ostatnie słowa i wstała. – Od wczoraj zastanawiam się, co się stało, że on się zabił. Dlaczego mi nie powiedział, że ma poważne kłopoty. Zawsze sobie obiecywaliśmy, że będziemy mówić sobie o wszystkim. Nawet o tych złych rzeczach. Wydawał się taki uszczęśliwiony powrotem do polityki, mimo że wiedział, jak mnie tym zrani, ale może chciał jakoś wyjść z tego syfu... – Nagle zawiesiła głos i spuściła głowę. – Nie sądziłam, że to mogło go aż tak zdołować.

– Co takiego? – spytała Zofia, podobnie jak koleżanka bacznie przyglądając się pomieszczeniu, w którym się znajdowały.

– Mąż miał długi – powiedziała Pellowaska, kręcąc głową z dezaprobatą. – Powiedziałam mu, że możemy sprzedać mieszkanie po moich rodzicach, żeby to spłacić. Mamy kilka lokat, ale na szybko

nie jesteśmy w stanie wyciągnąć pieniędzy, nie tracąc na tym. Stąd pomysł ze sprzedażą. Mieszkanie ma świetną lokalizację, bo w samym centrum Warszawy. Blisko metra, odnowione, z wysokimi sufity. Szybko by poszło, szczególnie że mam kilku znajomych, którzy już wcześniej o nie pytali. Ale Kajetan powiedział, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę i że ma inny pomysł. Nie dopytywałam. Ucieszyłam się, że nie chciał mnie pozbawiać pamiątki po rodzicach. Nie powiem, uwielbiam je, nie tylko ze względu na fakt, że spędziłam tam dzieciństwo i wczesną młodość. Ma swój styl, ale gdybym wiedziała, że może uratować mu życie... Boże, ja nie wierzę, że z tego powodu postanowił się zabić...

– Czego się obawiał? – dopytywała dalej Grzelczyk.

– Pani żartuje? Czego? Te pseudodziennikarskie hieny nie dałyby mu żyć. Już przez mniejsze gówna sprawiały, że nie spał po nocach. Prasa, nazywana przez wielu czwartą władzą, często ma większe wpływy niż pozostali. To, jak potrafią uprzykrzyć życie, to jest nie do ogarnięcia. I gdyby ludzie, czytając te brednie, jeszcze włączali myślenie, wychwytywali absurdalność lub mocno podkoloryzowane sytuacje, nie byłoby problemu. Ale większość naszego tępego społeczeństwa daje się wodzić za nos. Kto więcej zapłaci, tego oponent bardziej zostaje obsmarowany. Mój mąż nigdy nie zniżał się do tego poziomu, ale inni się nie szczypali. Ktoś powie, że długi to nic wyjątkowego, każdy je ma. Też tak uważam, ale dla niektórych jest to doskonałe ziarenko do wyhodowania historii pod tytułem „Jak ktoś, kto nie potrafi sam ogarnąć swoich wydatków, może zarządzać państwem?”. Masakra...

– Czy mąż był ubezpieczony? – spytała Czerwińska i spojrzała na koleżankę, która cały czas przyglądała się kobiecie.

– Tak, oboje byliśmy. Chyba w dzisiejszych czasach nie jest to nic niesamowitego.

– A czy polisa obejmowała samobójstwo?

– Boże, nie wiem. Mąż dał mi dokumenty do podpisania, tylko że ja nawet tego nie czytałam.

– Ufała pani mężowi? – rzuciła nagle Zofia Grzelczyk.

– Bezgranicznie. Nigdy mnie nie zawiódł jako mąż.

– A sprawa ponownego kandydowania?

– Wkurzył mnie tym, nie powiem. Ale jak to my, znaleźlibyśmy kompromis. Zawsze tak było. Nie potrafiliśmy dąsać się na siebie za długo.

– Poza tym zachowywał się ostatnio normalnie?

– Tak. Chociaż już nie wiem. Jakieś dwa tygodnie temu miałam wrażenie, że coś się stało. Ale nie chciał mi powiedzieć. Mój mąż zbudował wokół siebie grubą warstwę ochronną, żeby nikt nie mógł go skrzywdzić. Niektórzy uważali go za niezniszczalnego, ale chyba tylko ja wiedziałam, jak to wszystko działa na niego. Jak na niego wpływały wizyty w szpitalach, na oddziałach, gdzie umierały dzieci. Wracał do domu, wypijał pół butelki whisky i ze łzami w oczach coś oglądał. Nie wiem, co ostatnio się stało, nie chciał mi powiedzieć, ale ze dwa tygodnie temu zachowywał się inaczej. Był milczący, jakiś taki zamyślony. Pytałam, ale odburknął, że nic mu nie jest. Teraz wiem, że coś ukrywał. Gdybym go mocniej przycisnęła... – Kobieta zwiesiła głowę i zaczęła płakać.

– Czy ktoś może wiedzieć, co się wtedy wydarzyło? – spytała Dorota Czerwińska.

– Nie – wyszeptała pani domu. – Chociaż... – Podniosła na policjantkę wzrok. – Jest jedna osoba...

– Kto?

– Moja teściowa – wycedziła Pellowa przez zaciśnięte zęby, dając jasno do zrozumienia, że nie darzy jej wielką sympatią.

– Nie lubi jej pani? – wtrąciła Grzelczyk.

– Generalnie nie mam nic do niej, tylko że ona... nigdy nie pogodziła się z tym, że w życiu jej syna jest inna kobieta. Gdybym była posłuszną kurą domową, która niczym niewolnica wykonuje rozkazy jej jedynaka, może jej byłoby lepiej. Ale też mam wątpliwości. Od samego początku mną gardziła. Najpierw dlatego, że uznała, że jako była miss mam pustkę w głowie. Powtarzała Kajetanowi, że nie jestem partią dla niego, powinien ożenić się z kimś wykształconym, z ambicjami niezwiązanymi z cielesnością. Gdy skończyłam studia magisterskie, a później podyplomowe i masę różnych kursów, zaczęła mówić, że jej syn powinien mieć kogoś, kto się nim zaopiekuje, a nie żonę skupioną na swojej karierze. Ona zawsze miała niezwykle dar czepiania się mnie w każdej sytuacji. Mąż często reagował na jej niemiłe docinki, ale z czasem teściowa zaczęła robić to wtedy, gdy nie słyszał. Albo dzwoniła do mnie i wypominała mi coś przez telefon. Ostatnio zadzwoniła spytać, gdzie jest Kajetan, bo nie mogła się do niego dodzwonić. Gdy miło odpowiedziałam, że nie wiem, zaczęła się na mnie wydzierać, że nie troszczę się o niego. Na to ja spokojnie, że ma pięćdziesiąt dwa lata i nie jest małym bobasem, że może robić, co chce. Wtedy mi wygarnęła, że sześć lat wcześniej się rozchorował, bo zaraziłam go grypą, i prawie wylądował w szpitalu. Nieważne, że ja również czułam się fatalnie, to jej zupełnie nie obchodziło. Najważniejsze było to, że jej syn zachorował.

– Gdzie możemy ją zastać?

– Pewnie tkwi w domu i przyjmuje żałobników, siedząc w swoim ukochanym fotelu, w najlepszej kreacji i makijażu, jaki gwiazdy noszą na czerwonym dywanie.

– A gdzie dokładnie mieszka? – spytała Czerwińska i wyciągnęła kajet.

– Ma dom na Mokotowie, zaraz napiszę paniom adres tej czarownicy.

– Czy jest ktoś, kto mógłby chcieć zrobić pani mężowi krzywdę?

– Zabić? – spytała zdziwiona.

– Tak.

– Nie. Kajetan miał wrogów politycznych, ale nigdy nikomu nic nie zrobił, żeby zasłużyć na śmierć. Ale...

Kobieta na chwilę zamilkła. Patrzyła na krajobraz za oknem i nagle wstała, jakby sobie coś przypomniała. Szybkim krokiem wyszła z salonu, zostawiając zdezorientowane policjantki.

– Myślisz, że mówi prawdę? – odezwała się cicho Dorota Czerwińska.

– Nie wiem. Z tego, co o niej czytałam, to grywa czasami w filmach, chociaż ja osobiście nigdy w żadnym jej nie widziałam. Może odstawić teraz przed nami niezłe przedstawienie i gra smutną żonę, która straciła ukochanego.

W tym momencie do pokoju wróciła Ewa Pellowska. W ręce trzymała gruby kajet.

– Mąż wszystko notował, z reguły znanymi tylko sobie szyframi, ale może coś wam uda się ustalić.

– Dziękujemy. – Grzelczyk wzięła do ręki znalezione. – Wspomniała pani o długu, ile on wynosił i skąd się wziął?

– Mąż od zawsze uwielbiał hazard. Już w szkole podstawowej grał z kolegami w karty. Nikt wtedy nie patrzył na to podejrzliwie, a wręcz przeciwnie. Rodzice byli dumni, że ich synek tak dobrze gra w pokera. W liceum zaczął obstawiać. Nie dysponował dużymi kwotami, ale czasami, gdy szczęście mu sprzyjało, potrafił uzbierać niezłą sumę. Na studiach już przepadł z kretesem. Rodzice dawali mu kasę na utrzymanie, którą potrafił już pierwszego dnia stracić podczas gry. Wstydził się tego, więc wieczorami pracował, co odbiło się na jego studiach. Dwa razy chcieli go wywalić, ale ubłagał dziekana, żeby tego nie robili. Miał ułatwioną sprawę, bo znał go od małego, był przyjacielem rodziny. Kajetan od zawsze miał w sobie ten magnetyzm, który przyciągał ludzi i powodował, że mu wierzyli. Nie inaczej było wtedy. Z tego, co mi opowiadał, to żeby spłacać długi, pożyczal od kolejnych osób, tworząc coś na kształt piramidy. Jak był na czwartym roku, konstrukcja nie wytrzymała i gównem się rozlało, jak to mawiają. Dowiedział się o wszystkim jego ojciec, co stanowiło już karę samą w sobie. Teść służył w wojsku i w takim stylu odnosił się do syna. Wychowywał go twardą ręką. To znaczy próbował, bo Kajetan zawsze potrafił stworzyć swój azyl, gdzie go nie wpuszczał, gdzie czuł się bezpieczny i przede wszystkim gdzie czuł się sobą, a nie synem żołnierza, który według ojca powinien maszerować zamiast chodzić i spełniać jego rozkazy bez zastanowienia. A Kajetan taki nie był. W sumie to można uznać, że ja byłam jednym z jego wybryków.

Kobieta zaśmiała się i przeczesła dłonią długie rude włosy, które w połączeniu z zielonymi oczami dawały spektakularny efekt.

– Proszę sobie wyobrazić, że teściowie wybrali mężowi żonę. To nie do pomyślenia w dzisiejszych czasach. Takie rzeczy działy się w średniowieczu, ale nie teraz. Mieli zaprzyjaźnione od lat małżeń-

stwo, spędzali z nimi co roku tydzień w wakacje i tydzień zimą, na nartach. No i oni mają córkę Gabrielę. Ładna kobieta, nie powiem. Oczytana, sympatyczna, ale zupełnie nie dla Kajetana. Taka bez pazura. Mąż zawsze wypowiadał się o niej bardzo ciepło, ale jak o koleżance, a nie o osobie, z którą mógłby spędzić życie. Nawet widziałam ją kilka razy. Miło nam się rozmawiało. Ale... – Pellowaska zamknęła na chwilę oczy i pokręciła głową. – Przepraszam, ale jestem na środkach uspakajających, więc trochę mam problemy ze skupieniem.

– Nie szkodzi. Rozumiemy – powiedziała Dorota, próbując się szczerze uśmiechnąć.

– Pytały panie o dług. Mąż mówił, że winny jest około dwustu tysięcy złotych.

– Sporo.

– Tak, wiem. Martwiłam się tym, ale Kajetan zapewniał, że to załatwi.

– Komu był winny?

– Nie wiem – odpowiedziała, a jej wzrok zrobił się mętny, jakby tabletki zaczęły teraz mocniej działać. – Nie chciał powiedzieć. Twierdził, że to jego problem i sam to załatwi.

– Mam jeszcze delikatne pytanie. Może spotykał się z kimś? – spytała Zofia.

– Kajetan? Nie, jestem pewna, że nie. Zresztą z bardzo prozaicznego powodu, on nie potrafił się ukrywać. Ja zawsze wiedziałam o wszystkich niespodziankach, prezentach.

– Ale tym razem udało mu się nie zdradzić, o co chodzi?

– Tak, nie wiem, co o tym myśleć. Może się wstydził tych... – Kobieta przerwała w pół słowa i opadła na oparcie kanapy. – Przepra-

szam, ale wzięłam przed sekundą jeszcze jedną tabletkę i chyba zaczęła działać.

Wzrok Ewy Pellowskiej zrobił się jeszcze bardziej mętny, a jej ciało jakby zwiotczało. Najwyraźniej zaczęła przysypiać. Policjantki spojrzały na siebie i kiwnęły porozumiewawczo.

– Będziemy w kontakcie – powiedziały, przechodząc obok kobiety, która momentalnie straciła kontakt z rzeczywistością.

Rozdział 41

Blanka leżała nieprzytomna na betonowej podłodze. Na nagraniu, które dostali, nie widać było żadnego ruchu klatki piersiowej ani nie rozbrzmiewał żaden dźwięk, który mógłby uspokoić ich nerwy.

Maria Kruczkowska co chwilę wyciągała dłoń do ekranu, jakby chciała dotknąć córki. Pomóc jej albo dodać jej sił. O tym, że Blanka jest w jakimś programie, dowiedziała się od koleżanki z pracy, do której zadzwoniła jej córka. Szybko dostała link do transmisji online. Ktoś nagrywał wielkie sklepowe monitory, na których od razu rozpoznała swoje dziecko.

Nigdy nie mogła zrozumieć córki, która od dawna opowiadała, że jej celem jest bycie sławną. Wraz z mężem podchodzili do tego sceptycznie. Lekarz, prawnik, a nawet sprzedawca w sklepie – to są zawody. Bycie celebrytą kojarzyło im się tylko z pustymi, nadmuchiwanymi dziewczynami, które świeciły pośladkami i biustem, a w głowie miały trociny. Gdy po raz pierwszy zobaczyła córkę na ekranie, poczuła zawód. Wyglądała dokładnie jak kobiety, którymi ona sama gardziła. A gdy zaczęła się ta dziwna zabawa, miała ochotę spłonąć ze wstydu. Zapaść się.

– Czy przespałaś się z zonatym mężczyzną?

Momentalnie ugięły się pod nią nogi i rozboleła głowa. Wraz z mężem od zawsze próbowali wpoić córce zasady, które sami wyznawali. Nie kradnij, nie wymawiaj imienia Pana Boga nadaremno, nie pożądaj żony bliźniego swego. Ten jeden z najistotniejszych tek-

stów z Biblii stanowił dla nich drogowskaz, jednak dla córki znaczył niewiele, czego dowody prezentowała od dawna.

Pewnego dnia wpadła do niej do biura, które współdzieliła z dwiema koleżankami, jej kuzynka Alicja.

– Ta twoja ladacznica wysyła mojemu mężowi sprośne zdjęcia i filmy! – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu, bez słowa wstępu.

– Spokojnie, o co chodzi? – odpowiedziała wyraźnie zdezorientowana i pociągnęła krewniaczkę za ramię, wyprowadzając ją z pomieszczenia. Zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, ale przeczuwała, że dla jej współpracownic może to być dobry temat do plotek.

– Ja pierdołę... – wycedziła kobieta przez zaciśnięte zęby.

– Przejdźmy się i opowiesz mi wszystko od początku.

Wyszły z budynku i ruszyły w stronę pobliskiego parku. Kobieta usiadła na ławce i wyciągnęła papierosa.

– Blanka od niedawna przychodziła pilnować Maksa.

– Tak, sama ci to zasugerowałam – skomentowała Maria Kruczkowska, bacznie obserwując kuzynkę.

– I, kurwa, to był błąd. Kocham cię jak siostrę, ale... – Kobieta zacisnęła dłoń, a drugą przysunęła papierosa do ust i mocno się zaciągnęła. – Ja nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku – odpowiedziała drżącym głosem, obawiając się tego, co zaraz usłyszy.

– Ta mała... – Alicja powstrzymała się przed użyciem niecenzuralnego słowa w odniesieniu do Blanki. – Tak jak z tobą rozmawiałam, zaczęła do nas przychodzić. Odbierała młodego ze szkoły, a później siedziała z nim do mojego powrotu. W międzyczasie Wiesiek wracał do domu, ale on ma dwie lewe ręce do dzieci, więc Blanka zostawała u nas. I... ja pierdziele, ona zaczęła się do niego przystawiać.

– A może to on zaczął? – spytała.

– Mój mąż święty nie jest, ale nigdy nie dobierałby się do twojej córki. Zresztą widziałam jej wiadomości.

– Wiadomości?

– Tak, wysyłała mu... – W tym momencie kobieta wyciągnęła z torebki komórkę, pogrzebała w niej chwilę i zaczęła czytać: – „Widziałam dzisiaj, jak na mnie patrzyłeś. A bardziej rozbierałeś wzrokiem”. Mój mąż odpowiedział: „O co ci chodzi?”. Ona na to: „Miałam na sobie koronkowe stringi i zapomniałam założyć biustonosza”. Odesłał uśmiezek, na co twoja Blaneczka wysłała mu swoje zdjęcie, bez ubrania. Później było tylko gorzej...

Maria Kruczkowska stała jak wryta, zupełnie nie wiedząc, co z tym zrobić, jak się zachować. Czy powinna bronić Blanki, czy może przeproszać za jej zachowanie? Wstydziała się tego, co robiła jej własna córka, ale każda rozmowa kończyła się karczemną kłótnią i tekstami w stylu „jestem dorosła”, „nic ci do tego”.

Tak samo jak podczas rozmowy z kuzynką, tak i teraz, patrząc na ekran, czuła, jak jelita jej się skręcają, a ból głowy, który od rana jej towarzyszył, wzmagą się coraz bardziej.

– Czy przespałaś się z żonatym mężczyzną? – spytał raz jeszcze chłopak, nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi. Blanka w końcu podniosła wzrok, delikatnie się uśmiechnęła, a oczy jej zabłyszczały.

– Tak – odpowiedziała z pokerową twarzą.

Chłopak oparł się na przedramionach o stół i patrzył na koleżankę, jakby próbował wniknąć w głąb jej głowy i odgadnąć myśli. W końcu nacisnął przycisk, a z jej ust wydobył się straszliwy wrzask. Maria wraz z mężem patrzyli na to z przerażeniem, przynajmniej dopóki na ekranie nie pojawiły się dwie skarbonki, a wszystkie krążące

wokół nich monетки trafiły do skarbonki podpisanej imieniem Blanki, co oznaczało, że dziewczyna udawała ból.

– Czy ukradłaś kiedyś coś ze sklepu?

Blanka patrzyła na siedzącego naprzeciwko chłopaka i mierzyła go wzrokiem. Po chwili z jej ust popłynęła krótka odpowiedź:

– Nie. – Powiedziała to bez jakiegokolwiek grymasu na twarzy, jakby mówiła prawdę.

Maria wiedziała jednak, że to kłamstwo. Jej córka od zawsze miała lepkie ręce, co generowało wiele problemów. Jako dziecko niejednokrotnie wynosiła ze sklepów cukierki, bułki, cokolwiek. Robiła to nie dlatego, że ich nie było stać. Po prostu to lubiła. Ten dreszczyk emocji. Często zdobycze wyrzucała lub prowokacyjnie kładła przed matką, aby dolać oliwy do ognia, jakby i bez tego nie było im ciężko.

Na nagraniu córka siedziała naprzeciwko chłopaka, którego Maria nie знаła, i kłamała w żywe oczy jak zawodowiec. Brunet jednak odłożył na blat wiszącą nad przyciskami przez dłuższą chwilę dłoń, dając tym samym znać, że jej wierzy. W tym momencie na ekranie pojawiły się skarbonki, a monety znowu powędrowały do Blanki.

– Ostatnie pytanie – przemówił przeciwnik. – Czy przyczyniłaś się do czyjejś śmierci?

– Nie.

Chwilę potem z ust Blanki wydobył się przerażający krzyk bólu, a Maria Kruczkowska miała wrażenie, że dźwięk ten rozdziera i jej ciało. Przeszkadzający od rana ból głowy stał się nie do zniesienia. Jakby niewidzialna obręcz zacisnęła się na jej czaszce i co chwilę zmniejszała swój obwód.

Ale nie to było najgorsze, lecz widok osuwającego się na podłogę ciała córki. Jakby w ułamku sekundy uleciało z niej życie. W ostat-

nim momencie siedzący po drugiej stronie stołu Gustaw oprzytomniał i podbiegł do koleżanki, by zabezpieczyć jej głowę przed uderzeniem w betonową posadzkę.

Na nagraniu oglądanym przez Marię Kruczkowską słyhać było, jak zebrany przed monitorami tłum, który osoba udostępniająca relację w sieci raz na jakiś czas pokazywała, zamarł. Nikt się nie odzywał. Nikt nie rzucał głupich komentarzy, które wcześniej raz po raz słyszała. Panowała totalna cisza, jakby nikt nie chciał przeszkadzać, jakby swoimi komentarzami mogli zaszkodzić dziewczynie.

W tym momencie na telefon Marii Kruczkowskiej przyszedł SMS i pewnie by go zignorowała, gdyby nie przeczytała pierwszych wyrazów: „Co jesteś w stanie zrobić, aby uratować swoją córkę?”.

Szybko wyszła z przeglądarki internetowej i otworzyła wiadomość tekstową. To, co tam przeczytała, było jeszcze gorsze niż dotychczas oglądane nagranie.

Rozdział 42

Dom rodziców Kajetana Pellowskiego nie odbiegał standardem od posiadłości ich syna. Wielka rezydencja w podwarszawskim Konstancinie spokojnie mogłaby robić za kolejny dom milionerów posiadających nieruchomości rozsiane po całym świecie. Imponujący ogród i przeszklone witryny już z daleka przyciągały wzrok przechodniów.

Dorota Czerwińska zaparkowała wzdłuż eleganckiego ogrodzenia i wysiadła. Jej partnerka czekała na miejscu. Miała do załatwienia jakąś tajemniczą sprawę, o której nie chciała na razie mówić.

– Udało się? – spytała, zupełnie nie wiedząc, co miała załatwić koleżanka.

– Powiedzmy, chociaż mogłoby być lepiej. Obiecuję, opowiem ci później.

– Spoko, nie musisz mi się zwierzać.

– Muszę – odpowiedziała tajemniczo, gdy podeszły do furtki i zadzwoniły.

Po chwili usłyszały miły damski głos:

– Tak, słucham?

– Starsza aspirant Dorota Czerwińska i podkomisarz Zofia Grzelczyk...

Nie zdążyła skończyć, bo ich uszu dobiegł dźwięk odblokowywanej zapadki. Popchnęła furtkę, po czym obie weszły na teren posesji. Podobnie jak u Kajetana Pellowskiego, tak i tutaj otoczenie domu ro-

biło wrażenie. Przysypany śniegiem ogród przecinały alejki, które ktoś zdążył już odsnieżyć, dzięki czemu bez strachu mogły poruszać się w kierunku domu. Jedynie ze stojących co kilkanaście metrów lampek nikt nie usunął śniegu, ale możliwe, że zrobił to celowo. Dzięki temu światło, które dawały, było mniej ostre, a białe czapy spoczywające na krzewach nadawały temu miejscu bajkowy klimat.

Gdy dotarły do drzwi wejściowych, te momentalnie się otworzyły i wyszła z nich ubrana na czarno niska kobieta z siwymi włosami do ramion.

– Już coś wiadomo?! – wykrzyczała. Zupełnie ignorując panujące warunki, wyszła policjantkom na spotkanie w samych kapciach i cienkim sweterku.

– Niestety nie. Starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to podkomisarz Zofia Grzelczyk. Pani Magda Pellowska?

– Tak, zapraszam. – Kobieta weszła do domu, a za nią policjantki. – Boże, to jest straszne. Mój Kajtek zawsze był taki radosny. Nigdy nie zdecydowałby się na tak drastyczny krok – powiedziała płaczliwym głosem, jakby w każdym momencie mogła wpaść w histerię. – Proszę zdjąć tutaj buty. – Wskazała na mały chodniczek, gdzie równo w rzędzie stało poukładane obuwie. – Mój mąż ma alergię na brud...

– Na kurz chyba – skomentowała Dorota i od razu pożałowała swojej wypowiedzi.

– Mój mąż nie akceptuje w domu kurzu ani brudu pod jakąkolwiek postacią, więc jeżeli mamy porozmawiać, to proszę o zdjęcie obuwia i odwieszenie okrycia wierzchniego na wieszak.

Skinęła głową na przymocowane do ściany srebrne poroża, robiące nie tylko za element dekoracyjny. Policjantki posłusznie wykonały prośbę matki zmarłego i powędrowały za nią w głąb domu. Mi-

nęły pomieszczenie, z którego wybiegł mały włochaty piesek, i doszły do kuchni połączonej z jadalnią, gdzie na środku stał gigantyczny stół z dwunastoma eleganckimi krzesłami, jakie zazwyczaj widuje się w salach balowych, a nie w domach – przynajmniej takich, jakie zazwyczaj odwiedzały. Na ścianach błyszcząły srebrne kinkiety, a podłogę zdobiły olbrzymie kafle, tak wypolerowane, że można było się w nich przejrzeć.

Usiadły na wskazanych przez panią domu miejscach i grzecznie czekały.

– Napiją się panie czegoś? – spytała kobieta.

– Tak, jeżeli można, chętnie napiłabym się kawy – odezwała się jako pierwsza Zofia Grzelczyk i rozpięła najwyższy guzik koszuli.

– Ja również poprosiłabym o kawę, jeżeli to nie problem.

Chwilę później siedziały we trzy, popijając kawę, do której pani domu wyłożyła jeszcze chrupiące ciasteczka.

– Ja cały czas nie rozumiem, co się mogło stać. Każda z możliwości jest absurdalna. Mój syn nigdy nie popełniłby samobójstwa, zbyt mocno kochał życie. Poza tym obiecał mi to, po tym jak... – Starsza kobieta zamilkła nagle.

– Coś się stało? – spytała Zofia Grzelczyk, trzymając małą filiżankę. Miała wrażenie, że naczynie pochodzi z zestawu dla dzieci, ponieważ ledwo była w stanie je chwycić.

– Tak... Mój brat popełnił samobójstwo. Kajetan miał wtedy piętnaście lat. Bardzo był związany z wujkiem. Kamil traktował go jak własnego syna. Sam nie miał rodziny, dzieci. Pracował w wojsku, zresztą jak mąż. Wiedzą panie, tam jest kult siły, każdy ma być twardy. Okazywanie uczuć czy słabości jest nie do zaakceptowania. Niestety mój brat tłumził w sobie przez lata emocje i gdy jeden z pod-

władnych na jego zmianie zginął w wypadku, zresztą nie z winy mojego brata, nie wytrzymał. Odebrał sobie życie. Wiele razy rozmawiałam z synem o uczuciach, emocjach. Chciałam, żeby wiedział, że to nie wstyd je wyrażać. Że każdy może mieć gorszy dzień. Każdy może nie umieć sobie z czymś poradzić. Nie musimy być wszechwiedzący i idealni. Że możemy się bać, wstydzić, okazywać słabość. Nigdy w życiu nie powiedziałam do syna nic w stylu „nie maź się, nie bądź jak baba”. Takie rzeczy bardzo wpływają na samoocenę.

– Bardzo mądrze – skomentowała Czerwińska i pokiwała z aprobatą głową.

– Dziękuję, po tym, co stało się z bratem, poszłam na psychologię. Bardziej hobbistycznie, bo mąż nie chciał, żebym się męczyła, więc nigdy nie pracowałam w zawodzie. Czasami udzielałam się w fundacjach, ale on o tym nawet nie wie. Jakoś ubzdurał sobie w głowie, że mam korzystać z życia i nie pracować. Tylko syn wiedział o tym, co sporadycznie robię. Pomagał mi nawet. To był taki nasz sekret. – Kobieta sięgnęła po pudełko chusteczek i wydmuchała nos. – Boże, jak ja sobie dam radę sama...?

– Czy syn miał jakichś wrogów? – wtrąciła Grzelczyk, próbując inaczej złapać filizankę.

– Nie. Wszyscy go uwielbiali. Nawet jego przeciwnicy polityczni. Pomysł morderstwa to jakieś wariactwo. Czasami wkurzał ludzi, wiem o tym, zresztą panie pewnie też, ale mimo to wszyscy go szanowali. Każdy lubił z nim dyskutować, bo robił to z niesamowitą elegancją, jak dyplomata najwyższej klasy. Ale wypadek zupełnie mi nie pasuje. Ewa mówiła, że jego samochód stoi w garażu, więc nie ma mowy, aby autem wpadł do rzeki. Na spacer nad rzekę też nie po-

szedł, bo po mnie odziedziczył awersję do bezsensownego chodzenia. Jak jest cel, można iść.

– A czy syn miał ubezpieczenie na życie? – spytała Czerwińska i sięgnęła po kawę. Od rana nic nie piła, a zbliżała się już czternasta.

– Oczywiście. Pierwszą polisę wykupił mu jeszcze mąż, ale od kiedy zaczął zarabiać, stwierdził, że sam się tym zajmie.

– A kto jest beneficjentem?

– Ewa zapewne, z czego nie jestem zadowolona. Nie mają dzieci, więc wszystko przechodzi na nią – powiedziała kobieta i zmierzyła policjantki wzrokiem. – Chyba nie sądzą panie, że ona mogła...

– Niczego nie insynuujemy. Na chwilę obecną zbieramy dowody, informacje.

– Czy dobrze się między nimi układało ostatnio? – wtrąciła Zofia Grzelczyk.

– Jak by to powiedzieć, nigdy jej nie lubiłam. Jest modeleczką, która złapała bogatego faceta. Nigdy nie zapałam do niej wielką miłością, ale to, co mogę powiedzieć, to to, że zawsze dbała o Kajetana. Może nie tak dobrze jak ja, ale krzywda mu się nie działa.

– Jeżeli to nie tajemnica, to dlaczego nie mieli dzieci?

– Mój syn nie mógł mieć – odpowiedziała zdecydowanie ciszej niż wcześniej.

– Przykra sprawa – skomentowała starsza aspirant.

– Niestety. W naszej rodzinie było mało dzieci. Mój brat ich nie miał, jak już wspominałam. Ze strony męża jest tylko jedno. Chwila moment i nasz ród wyginie. To wszystko – ruchem ręki wskazała na otoczenie – przepadnie, bo nie ma nikogo, kto mógłby to odziedziczyć.

– A gdzie jest pani mąż? – spytała nagle Czerwińska.

– Mój mąż... – Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na Dorotę, a tej momentalnie przeszedł dreszcz po plecach. – Mój Grzegorz zmarł wczoraj na zawał. Obaj moi mężczyźni mnie opuścili...

Po tych słowach kobieta zanosła się płaczem.

Rozdział 43

„Wdech i wydech”, powtarzała do siebie Maria Kruczkowska, jakby dzięki temu była w stanie zapanować nad swoim ciałem, które trzęsło się niczym galareta. Nogi uginały się pod nią, a trzymany w ręce nóż mógł w każdej chwili wypaść.

Gdy dostała SMS, w pierwszej kolejności chciała pójść na policję. Ktoś groził jej córce i kazał jej zrobić coś okropnego. Najgorszego. Odebrać życie innej – niewinnej! – osobie. Gdyby tego nie zrobiła, miała już nigdy więcej nie zobaczyć córki żywej. Patrzyła na wiadomość z nadzieją, że zaraz się obudzi i wszystko okaże się tylko wytworem fantazji. Snem, który zaciągnął ją w okrutne zakamarki jej wyobraźni. Niestety nic na to nie wskazywało, a gdy dostała SMS ze zdjęciem, na którym jej córka leży nieprzytomna na podłodze, myślała, że umrze ze strachu.

Od zawsze wiedziała, że Blanka nie jest typem słodkiej blondyneczki, która na przedstawieniach staje w pierwszym rzędzie i uroczym głosem wygłasza wyuczony wierszyk. Nie. Ona stawała z tyłu, ciągnęła koleżanki za warkocze, podkładała innym nogę lub śpiewała zupełnie co innego, aby storpedować wysiłki reszty dzieci.

Jednak mimo swojego pokrętnego charakteru była jej najukochańszą córką, za którą matka zrobiłaby wszystko – i pierwszy raz w życiu miała to potwierdzić.

Od szantażysty, psychopaty, mordercy, jak nazywała go w myślach, dostała dokładne wytyczne, co ma zrobić. Znaleźć bezdom-

nego, kupić nóż, a następnie zabić.

Stała nad starszym facetem, który zupełnie otumaniony leżał na ławce. Obserwowała go od kilku godzin i dobrze wiedziała, że przesadził z alkoholem i w najbliższym czasie się nie ruszy.

Specjalnie wybrała właśnie jego. Chodził ze skwaszoną miną, jakby nie czerpał z życia już nic dobrego, tylko czekał na jego koniec. Miała nadzieję, że nikt za nim nie zatęskni. Czuła się trochę jak morderca, o którym czytała kilka dni wcześniej. Mężczyzna mordował schorowanych pacjentów, bo jak twierdził, cierpieli z powodu swoich chorób, a na dodatek nikt się nimi już nie interesował. Teraz, zaciskając w dłoni rączkę ostrego noża, miała nadzieję, że dzięki temu jej córce nic się nie stanie.

Rozejrzała się bacznie dookoła i nie widząc nikogo w pobliżu, włączyła nagrywanie w telefonie. To był warunek bezwzględny. Miała uwiecznić swoje dzieło, jakby sam fakt odebrania komuś życia nie wystarczył.

Podeszła jeszcze bliżej mężczyzny, tak blisko, że słyszała jego charczący oddech, a zwisająca ręka dotknęła jej stopy. Uniosła nóż, który kupiła w supermarkecie, płacąc gotówką. Na opakowaniu producent napisał: „Ostrzejszego nie znajdziesz!”. Gdy przystawiła palec do ostrza, momentalnie poczuła, jak przecina ono skórę, a po chwili pojawiła się pierwsza kropla krwi. Normalnie pisnęłaby z bólu, bo niewiele potrzebowała, aby czuć dyskomfort, teraz jednak nie to było istotne. Jak w transie poprawiła chwyt i ponownie się rozejrzała.

Nadal nikogo. Zamknęła oczy, próbując uspokoić walące serce, ale nie poczuła ani odrobiny ulgi. Mimo to uniosła powieki i szybkim

ruchem, jakby chciała wyprzedzić krzyczący w jej głowie głos „nie rób tego!”, wbiła ostrze w bezdomnego.

Nóż wszedł jak w masło. Może nie trafiła w nic twardego, a może faktycznie jego ostrze było niczym brzytwa. Drżącą ręką wyciągnęła je i ruch ten wykonała jeszcze pięć razy. Za każdym razem ciało delikatnie podskakiwało. Mężczyzna nawet nie jęknął, jakby zupełnie nie odczuwał, że z jego ciała ulatuje życie. Jakby alkohol znieczulił go tak bardzo, że nie odbierał już żadnych bodźców.

Uśmiechnęła się lekko i odetchnęła. Wcześniej oczami wyobraźni widziała, jak mężczyzna szarpie się z nią, a nawet wyrywa nóż i wbija w jej ciało. Jednak nic takiego się nie stało, a zadanie, które postawił jej jakiś psychopata, wykonała bez jakiegokolwiek problemu.

Rozdział 44

Dorota powoli wyciągnęła synka z dziecięcego łóżeczka i przytuliła go. Chłopiec wyciągnął rączki, jakby chciał się przeciągnąć, i przywarł do ciała matki, być może wyczuwając, że jest przy niej bezpieczny.

Czerwińska wyszła z maleństwem na rękach, stawiając stopy z taką delikatnością, jakby stąpała po kruchym lodzie, który w każdej sekundzie mógł załamać się pod nią i jej dzieckiem. Cały czas zerkając na syna i możliwie jak najostrożniej uginając kolana, usiadła na fotelu i odetchnęła, jakby ukończyła właśnie tajną misję. Delikatnie pocałowała Mikołaja w czoło, wdychając zapach syna. Dotykała jego rączek, głaskała po pleckach i główce – niedawno pojawiła się na niej urocza łysinka w miejscu, które najczęściej dotykało łóżeczka.

Minuty mijały, a Dorota czuła, jak napięcie gromadzone przez ostatnie kilka dni mija. Generalnie lubiła ten stan gotowości, ciągłego bycia na wysokich obrotach, ale teraz, gdy udało jej się wyłączyć głowę, czuła się jak nowo narodzona.

Sielankę przerwał dzwonek do drzwi. Mały otworzył oczy i widząc twarz mamy, uśmiechnął się delikatnie. Powoli wstała i ruszyła do drzwi. Nie spodziewała się żadnych gości. Wanda miała wolny weekend, a Marek pojechał do matki. Chciał zabrać małego, ale uprosiła, żeby tego nie robił. Nie teraz. Obiecała, że następnym razem pozwoli, ale aktualnie czuła potrzebę, by spędzić z nim chociaż chwilę.

Otworzyła drzwi i zdębiała. Na korytarzu stała zalana łzami Zofia i wyglądała jak siedem nieszczęść.

– Matko, co się stało? Wchodź – powiedziała Dorota i otworzyła szerzej drzwi, cały czas mocno przytulając synka.

Koleżanka z pracy, która zazwyczaj chodziła z wypiętą pierśią i wyglądała na niezniszczalną, szła jak na skazanie. Nie znały się długo, ale Czerwińska od razu wiedziała, że musiało stać się coś złego.

– Przepraszam, ale nie wiedziałam, dokąd pójść... – wymamrotała i usiadła na kanapie. – Zawsze wydawało mi się, że jestem twarda i nic mnie nie złamie. Od małego pomagałam mamie, bo mój ojciec... – Przerwała, jakby nagle zabrakło jej odwagi do zwierzeń.

– Napijesz się czegoś? – rzuciła Dorota, położyła Mikołaja na macie sensorycznej i podeszła do szafki z herbatą i kawą.

– Chętnie, ale czegoś mocniejszego – odpowiedziała i spojrzała na wiszący na ścianie zegar, wskazujący dopiero dziewiątą czterdzieści trzy.

Nie zważając na to, Czerwińska przesunęła się trochę w prawo i z najwyższej półki, do której ledwo dosięgała, wzięła otrzymaną kiedyś od Wandy nalewkę wiśniową. Nie lubiła mocnych alkoholi, ale czuła, że kiedyś przyjdzie moment, kiedy trunek się przyda, i to właśnie była taka sytuacja.

Zgarnęła jeszcze dwa kieliszki i usiadła na kanapie.

– Możesz zacząć od początku? – spytała, podając Grzelczyk wypełnione prawie po brzeg szkło.

– Od początku? – powtórzyła dwa ostatnie słowa i wlała w siebie całą zawartość. – Urodziłam się w Grodzisku Mazowieckim, to taka dziura pod Warszawą, od strony Poznania. Chociaż podobno teraz

inwestycja za inwestycją spowodowały, że wygląda dużo lepiej. Ale nie o tym. Moja mama pracowała jako położna w Szpitalu Zachodnim. Odbierała porody, pomagała przy maluchach. Kochała to, chociaż ta praca nie należała do najłatwiejszych. Czasami, gdy coś się komplikowało i dziecko lub nawet i matka umierali, całymi nocami leżała w łóżku i płakała. Słyszałam przez ścianę jej szloch. Kilka razy próbowałam z nią rozmawiać, pocieszyć, ale zawsze powtarzała, że da sobie radę. Ale poza tymi epizodami wydawało mi się, że jesteśmy niezwykle szczęśliwą rodziną. Mam dwoje młodszego rodzeństwa. Renata jest ode mnie o pięć lat młodsza, a Miłosz o siedem. Gnojki... – Zaśmiała się i wypila drugiego szota, którego w międzyczasie nalała Dorota, nie dotykając swojej nalewki nawet językiem. – Ty nie masz rodzeństwa?

– Nie, rozpieszczona jedynaczka ze mnie. – Uśmiechnęła się smutno.

– To współczuję. Rodzeństwo to generalnie zhora, szczególnie to młodsze, ale jak podrośnie, to robi się fajnie. Teraz mamy świetny kontakt i każde z nas bez wahania wskoczyłoby za innym w ogień. Zresztą nawet gdy byli mali... – Kobieta nachyliła się w kierunku stolika, na którym stał jej kieliszek ponownie napełniony przez Dorotę, i jednym haustem wypila jego zawartość. – Boże, ten cały koszmar znowu wrócił...

– Śmierć twojego ojca?

– Nigdy nie był dla nas prawdziwym ojcem. Miałam wrażenie, że tylko go wkurzaliśmy. Niezależnie od tego, co zrobiliśmy, był dla nas oschły, chociaż nigdy nie podniósł na nas ręki. Do czasu... – Zofia pokręciła głową i wyciągnęła z kieszeni mocno sfatygowaną chusteczkę. – Dokładnie pamiętam ten dzień. Na dworze pięknie świeciło

słońce. Umówiłam się z koleżanką, że po lekcjach pójdziemy nad staw, pomoczyć nogi, pogadać o głupotach. W szkole nie było zajęć z powodu matur, my miałyśmy jeszcze rok do egzaminów. Renata i Miłosz pomagali mamie w domu. Podobno około południa wrócił do domu ojciec. Darł się od progu, złość buchała z niego jak nigdy. Zwolnili go z pracy w trybie natychmiastowym za picie w zakładzie. Pracował jako spawacz i jego szef starał się przestrzegać zasad BHP. Lekkie pijaństwo tolerował, ale jak ktoś nawalony jak bela próbował coś pospawać, wywalał z pracy. I tak stało się tego felernego dnia. – Policjantka na chwilę przerwała opowieść, zerwała się na równe nogi i podeszła do okna. – Gdybym wtedy wróciła do domu wcześniej, może nie doszłoby do tej tragedii...

– Twoja mama zabiła ojca? – wtrąciła Dorota i momentalnie skarciła się w myślach. Powinna dać się koleżance wygadać, a nie wchodzić jej w słowo.

Zofia odwróciła się i pokręciła przecząco głową.

– To nie tak było. – Oparła się o zimną szybę i ignorując jej temperaturę, kontynuowała: – Z tego, co później powiedziała mi mama, gdy ustalałyśmy wersję, ojciec wrzeszczał od progu. Rzucił rzeczami, roztrzaskał lampę o ścianę, a talerz z jedzoną przez siostrę zupą wylądował tuż obok twarzy młodego. Dzieci płakały i trzęsły się ze strachu. Mama próbowała go uspokoić, ale to tylko jeszcze bardziej go nakręcało. Krzyczał, że to przez nich pije, że kiedyś taki nie był. Że dzieci cały czas płaczą, krzyczą i on nie potrafi żyć w takich warunkach. Plół trzy po trzy, kopiąc co popadnie. W końcu jeden z ciosów dosięgnął mamę. Padła jak długa, uderzając o jedno z krzesel stojących przy stole. Z jej głowy popłynęła krew. Renata kazała

Miłoszowi schować się pod stołem, a sama pobiegła do łazienki po opatrunek. Zachowała się jak bohaterka.

– Boże, to brzmi strasznie... – skomentowała Dorota i odruchowo upiła mały łyk nalewki.

– Niestety to nie koniec. Renata zgarnęła, co uznała za potrzebne, i wróciła do dużego pokoju, gdzie... – Po poliku Zofii Grzelczyk, którą wielu postrzegało jako wyjątkową twardzielkę, popłynęła kolejna łza. – Ojciec stał nad Miłoszem i kopał go z całej siły. Mama leżała nieprzytomna i nie dawała oznak życia. To, co zrobiła siostra, nigdy nie powinno się wydarzyć. Powinnam była być na miejscu i ich obronić.

– Ale sama byłaś nastolatką.

– Miałam siedemnaście lat. W niektórych krajach dziewczyny w tym wieku mają mężów, dzieci.

– Słaby argument.

– Nie ma to znaczenia. Spóźniłam się. Weszłam do domu sekundę po tym, jak Renata wbiła w plecy ojca ostrze sekatora, który leżał na kuchennym blacie. Podbiegłam do niego i sama wbiłam sekator jeszcze głębiej. Ojciec odwrócił się do mnie i ryknął niczym niedźwiedź. W życiu się tak nie przestraszyłam. Później przez lata w sytuacjach podbramkowych przypominałam sobie wyraz jego twarzy i to, że nic gorszego mnie nie mogło spotkać. Krzyczał na nas i machał łapami, jakby chciał wyprowadzić cios. Nagle przewrócił się, potykając o nogę Miłosza, który wysunął ją w ostatnim momencie. Ojciec poleciał jak długi i z impetem uderzył o podłogę. Chwilę jeszcze wierzgał, gdy nagle mama wstała. Podeszła do niego na miękkich nogach. Bałam się, że zaraz się pod nią ugną i się przewróci. Przyklęknęła obok ojca, wyciągnęła ostrze i zaczęła wbijać je znowu raz po raz w jego ciało.

– Jezus Maria... – powiedziała Dorota z cały czas otwartymi ustami. – Tak ci współczuję...

– Dziękuję – westchnęła Zofia. – To było lata temu. Mama wzięła na siebie winę. Nie chciała, żeby zabrano nas do domów dziecka. Odwiedzaliśmy ją co tydzień. Z uśmiechem na twarzy opowiadała nam o swoim więziennym życiu. Twierdziła, że ze względu na to, za co została skazana, wszyscy ją szanowali. Choć żonobójcy mają przeżabane, to jednak kobiety, które postawiły się swoim katom, już na wejściu zyskują ogromny szacunek. Te dziesięć lat rozłąki to była katorga. Gdy mama wyszła, zaopiekowaliśmy się nią jak najlepiej. Mimo że już każde z nas miało mniej więcej ułożone życie, mama nadal pomieszkuje z nami, tak naprawdę co tydzień jest u kogoś innego, raz u mnie, raz u Miłosza, raz u Renaty.

– Czyli można rzec, że taki smutny happy end? – powiedziała Dorota, czując podskórną, że to nie koniec tej historii. Chwilę czekała na odpowiedź.

– Niestety nie. Dwa dni temu zadzwoniła do mnie zapłakana Renata. Podobno ktoś napisał do niej na fejsie, że wszystko widział i że mamy, cytując, przeżebane.

– Ale niby kto to był?

– Tego nie wiemy. Konto jest fejkowe. Nie ma nawet zdjęcia. Ktoś stworzył profil tylko po to, żeby wysłać tę jedną wiadomość – powiedziała Zofia i napiła się kolejnego szota.

Rozdział 45

Liczba osób wykorzystujących zaproponowane przez niego hasztagi rosła z minuty na minutę. Najpopularniejszym okazał się #Klaudia-PaniIdealna, ale reszta nie pozostała daleko w tyle.

Czwórka młodych ludzi, którzy dla sławy, lajków i followersów byli w stanie zawrzeć pakt z samym diabłem, powoli realizowała plan, który on dopieszczał miesiącami. Plan, który zrodził się w jego głowie, wywołany smutkiem, nienawiścią i coraz bardziej narastającą chęcią zemsty. Plan, który w jego dawnym życiu nawet nie przyszedłby mu do głowy, jednak teraz nie czuł nawet odrobiny wyrzutów sumienia, że łamie wszystkie życiowe zasady, których tak przestrzegał i które tak bardzo chciał przekazać synowi.

Jacek. Jacenty. Jaculek. Mówił na niego różnie, w zależności od sytuacji, nastroju. Jego genetyczny klon. Jego najukochańszy syn, na którego tak długo czekali. Mądry, ambitny, oczytany. Dokładnie taki sam jak on w młodości. Z reguły stronił od sportów, bo to książki dawały mu przyjemność. Nie raz, nie dwa siedzieli razem na kanapie, obaj pochłonięci lekturą. On czytał jakąś książkę o górach, a syn przygodówkę z biblioteczki, którą dostał na ósme urodziny.

– Gdy ja skończyłem osiem lat, mój tata podarował mi te wszystkie książki. – Pokazał wtedy synowi cały zbiór zawierający historię Pana Samochodzika, bohaterów „Wakacji z duchami” i inne niesamowite opowieści, którymi sam zaczytywał się, będąc w podsta-

wówce, a nawet i później. Uwielbiał te ich wspólne chwile. Siedzieli w ciszy, a i tak miło spędzali czas.

Niestety wszystko się skończyło, gdy przeprowadzili się do stolicy. Długo z żoną zastanawiali się nad wyborem właściwej szkoły. Niestety trwający rok szkolny powodował, że wybór ograniczał się do prywatnych placówek, gdzie najważniejsze było regularnie płacone czesne. Zdecydowali się na tę według nich najlepszą. Miała dobre opinie, a w rankingu szkół średnich w stolicy plasowała się w trzeciej dziesiątce.

Przez pierwsze dwa miesiące Jacek przychodził do domu uśmiechnięty. Niestety z czasem zaczęło się to zmieniać. Pojawiły się humory, trzaskanie drzwiami, unoszenie głosu w sytuacjach tego niewymagających. Gdy zaczął migać się od szkoły, powinni byli się zorientować, że coś jest nie tak. Powinni byli wiedzieć, że ich ukochany jednak, o którego narodziny tak walczyli, aż w końcu zdecydowali się na in vitro, ma jakieś problemy, że coś większego jest na rzeczy. Niestety ich radary rodzicielskie tego nie wyczuły.

– Gdzie się podział mój ambitny syn? Ktoś go podmienił i zostawił jakiegoś lenia?

– Ja nawet z gorączką chodziłem do szkoły.

– W zeszłym tygodniu pozwoliłem ci zostać. W tym nie ma takiej opcji.

Powtarzali te słowa w kółko, aż pewnego dnia Jacek nie wrócił ze szkoły.

Rozdział 46

– Przyczyną zgonu było utonięcie, co do tego nie mam żadnej wątpliwości – powiedział Darek Waligóra. Wielki mężczyzna, który przypominał drwala rozwalającego konary jednym uderzeniem siekiery, stał przy topielcu ułożonym na metalowej leżance i wciągał batonika, raz po raz się krzywiąc. – Przepraszam, ale mój brzuch zaczął wygrywać niezłe serenady. Moja żona ostatnio próbuje mnie odchudzić i wciska mi batoniki z filizowanych owoców.

– Fizowanych? – powtórzyła nieudolnie Czerwińska, patrząc na patologa, który jeździł językiem po zębach.

– Filizowanych. Moja córka twierdzi, że to jakaś kosmiczna technologia. Podobno astronauta, aby zabrać jak najmniej jedzenia, korzysta z takiego rozwiązania, aby odchudzić zaopatrzenie. Im mniej na pokładzie, tym lepiej. Mnie pewnie by nie zabrali. – Poklepał się wesoło po brzuchu. – Generalnie jest bardzo smaczne, ale to, jak to cholerstwo przykleja się do zębów, to masakra. – W tym momencie uśmiechnął się do stojących przed nim policjantek i pokazał oblepione czerwoną mazią uzębienie.

– Miło, że się tak troszczą o pana.

– Troszczą? To są sadystki. Wymyśliły sobie we dwie, jak w jakimś spisku, że zrobią ze mnie cholernego mistera bikini. Wyczyściły cały dom ze słodyczy i orzeszków, które uwielbiam. Znalazły mi trenera osobistego, który, uwaga – mężczyzna uniósł palec wskazujący prawej dłoni, aby podkreślić swoją wypowiedź – przychodzi do nas do

domu. Dwa razy w tygodniu! Moja żona stwierdziła, że jak będę umawiał się z nim na siłowni, to pewnie szybko zrezygnuję, nic jej nie powiem i tyle będzie z mojego odchudzania. A tak ma pełną kontrolę, plus sama korzysta, bo później też z nim ćwiczy.

– Ale chyba są efekty? – wtrąciła Zofia, która z podkrążonymi i opuchniętymi oczami pasowała doskonale do miejsca, w którym przebywali.

– Tak, są – odpowiedział średnio zadowolony. – Ale mnie mój brzusek nie przeszkadzał. Nie był w końcu taki duży.

– Z tego, co mi kiedyś znajomy lekarz powiedział, bycie chudszym niż grubszym generalnie nie stanowi problemu. To otyłość zabija ludzkość, a nie BMI poniżej normy – wtrąciła Dorota, licząc, że utnie tym nic niewnoszące do sprawy wywody dotyczące odchudzania patologa. – A jak oceniasz stan zdrowia naszego nieboszczyka?

– Pan Kajetan dbał o siebie. Zresztą kiedyś widziałem program o bieganiu i występował tam jako gość. Wiadomo, czasami ludzie naginają rzeczywistość, ale po stanie jego narządów widać, że mówił prawdę. Ćwiczył trzy, a może nawet i cztery razy w tygodniu. Pamiętam, że w tym programie ubrany był w obcisłe legginsy, co powodowało, że wyglądał dość zabawnie. Opowiadał, że generalnie nie ma zbyt dużo czasu na treningi i ćwiczenia, dlatego robi to zazwyczaj o piątej rano.

– Kolejny klubowicz – wtrąciła Dorota.

– Kto?

– Ostatnio popularna jest taka koncepcja, która mówi, że człowiek, wstając wcześnie rano, może zyskać wiele cennego czasu, którego zazwyczaj w ciągu dnia mu brakuje. Można wykorzystać go róż-

norodnie, na ćwiczenia, czytanie, kontemplacje lub planowanie dnia.

– Próbowałaś? – spytał zainteresowany medyk.

– Nie, bo przy małym dziecku raczej jest to nierealne, ale może jak Miki podrośnie...

– Czyli twierdzisz, że Kajetan Pellowski dbał o siebie – podsumowała wywody lekarza sądowego Zofia Grzelczyk.

– Tak. Regularnie biegał, czasami chodził na siłownię. Pamiętam też, że mówił, że nie pije alkoholu. Podobno jego dziadek spożywał dużo wyskokowych trunków, więc napatrzył się za dzieciaka na średnie zachowania mężczyzny, który spał w wymiotach na podłodze lub nie wracał do domu, bo gdzieś przysnął pod drzewem w parku. Dlatego on już jako młody chłopak zrezygnował z używek i mu się to opłaciło. Generalnie facet zdrowy jak koń.

– No chyba niekoniecznie, skoro nie żyje – wtrąciła Czerwińska.

– Pod tym względem to może i tak, ale nie powaliła go żadna choroba.

– A czy są jakieś ślady wskazujące na udział osób trzecich w jego śmierci?

– Hmm... – westchnął mężczyzna. – Ma trochę otarć, ale nie jestem w stanie ustalić, kiedy powstały, więc ciężko powiedzieć, czy miały coś wspólnego z jego śmiercią.

– Gdzie je ma?

– Na nadgarstkach – powiedział i podniósł białe płótno przykrywające denata.

Oczom policjantek ukazało się ciało zmarłego. Gdyby nie okoliczności, pewnie któraś z nich skomentowałaby jego wygląd jako ape-

tyczny, idealny. Obie dbały o siebie i wiedziały, ile trzeba włożyć pracy i wysiłku, aby osiągnąć takie efekty.

– A może lubił ostre zabawy z żoną? – spytała Zofia.

– Jest taka opcja. Ostatnio nawet miałem zadziwiający przypadek... – Mężczyzna uśmiechnął się już białymi zębami. – Zmarł starszy pan. Oczywiście pierwsze skojarzenia to zawał lub inna tego typu choroba. Pan chorował, miał nadwagę i choroby z tym związane, przede wszystkim nadciśnienie i cukrzycę.

– I co, umarł inaczej? – spytała zainteresowana Dorota, cały czas patrząc na wyraźnie zarysowany mięsień prosty brzucha Kajetana Pellowskiego.

– Szybko pojawiła się na miejscu zdarzenia jego córka i zaczęła się kłócić się z kobietą, którą początkowo wziąłem właśnie za dziecko zmarłego. Okazało się, że to jego nowa żona. Powiem wam, że rozpętało się piekło. Kobiety zaczęły na siebie wrzeszczeć. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Córka zaczęła oskarżać nową mamusię o zabicie taty. Podobno miała z nim być dla kasy. Jego dom nie wyglądał imponująco, ale jak się później okazało, miał sporo odłożone. Macocha nie była dłużna pasierbicy. Oskarżała ją o brak zainteresowania ojcem, którego nie odwiedzała, chyba że robiło jej się sucho w portmonetce. Kobiety darły się na siebie niemiłosiernie, aż musiał wkroczyć policjant nadzorujący. A tak w ogóle to przyjechaliśmy tam, bo lekarz odkrył na rękach dziwne ślady. Młoda żona, a muszę powiedzieć, że niezła sztuka z niej była, nie potrafiła w żaden rozsądny sposób wyjaśnić, co się stało i jak powstały otarcia. Dopiero gdy już wszyscy wyszli, a w szczególności córka, zaczęła gadać. Okazało się, że mąż uwielbiał udziwnienia w łóżku, ale bardzo się tego wstydził. Nie chciał, aby ktokolwiek się dowiedział, dla-

tego nawet po śmierci chciała zachować jego tajemnicę w sekrecie. Jednak gdy wszyscy sobie poszli, kobieta powiedziała prawdę, ponieważ poczuła, że może mieć przez to kłopoty. Okazało się, że mąż przesłał jej filmik. Miała go w mailu, więc potwierdzało to jej wersję. Przedstawiał on parę, gdzie facet był zakneblowany i związany. Początkowo nie chciała tego zrobić, ale mąż ją ubłagał. Zgodziła się, zabawili się. Szczęśliwa rozwiązała go i schowała wszystkie zabawki. Wykąpali się i jedli obiad, gdy zaczął o tym wspominać. Podobno cały czas się ekscytował. Twierdził, że spełniło się jego marzenie. Kobieta wstała od stołu i poszła odstawić talerze, a gdy wróciła, siedział z uśmiechem na twarzy, ale się już nie ruszał. Zaczęła sztuczne oddychanie, ale bez skutku.

– Może pan Kajetan też lubił być związany – powiedziała Dorota i nachyliła się nad ciałem.

– Oczywiście jest taka opcja, chociaż te ślady raczej na to nie wskazują.

– A na co?

– Ciężko powiedzieć. Może gdy spadał, otarł się o coś.

– A czemu sądzisz, że spadał? – dopytywała dalej Dorota.

– Przede wszystkim ma dość mocno wklęsniętą czaszkę. O dziwo, nie pękła, ale to się zdarza.

– Czyli mogło to być samobójstwo?

– Tak, jak najbardziej. Ale równie dobrze i zabójstwo. Na chwilę obecną nie mam żadnych faktów potwierdzających którąś z tych teorii. Cały czas czekam na wyniki kilku badań, więc wtedy powiem coś więcej, a teraz – lekarz zasłonił ciało polityka – muszę się pożegnać, bo czekają mnie jeszcze dwie sekcje i idę na trening – powiedział

smutnym głosem i oddalił się, zostawiając policjantki w sali pełnej zmarłych.

Powoli wyszły z prosektorium i ruszyły w stronę schodów, zostawiając za sobą specyficzny zapach i chłód, który przedzierał się przez rękawy i nogawki.

– Rozmawiałaś z rodzeństwem? – przełamała ciszę Dorota. Nie lubiła wtrącać się w cudze sprawy, ale wizyta koleżanki dała jej w pewien sposób przyzwolenie na to. Gdyby nie chciała o tym rozmawiać, nie przychodziłaby do jej mieszkania i się nie zwierzała.

– Umówiłam się z nimi na spotkanie. Brat ma potwierdzić, kiedy mu pasuje. Chciałam go lekko o to podpytać, ale zachowywał się dziwnie.

– W jakim sensie? – spytała Czerwińska i mocniej popchnęła drzwi na klatkę schodową.

– Ja już chyba mam paranoję. Miałam wrażenie, że czegoś mi nie mówi.

– Hmm... – westchnęła koleżanka, pokonując dwa schodki naraz.
– Rozmowy przez telefon często zaburzają osąd. Usiądźcie wspólnie i omówcie to. Może sprawa nie jest tak straszna, jak się wydaje, może chodzi o coś zupełnie innego i stresujesz się niepotrzebnie.

Rozdział 47

Gustaw klęczał nad dziewczyną i delikatnie poklepywał ją po twarzy otwartą ręką, licząc, że zaraz się ocknie, jednak minuty mijały, a ona nie reagowała. W tej całej sytuacji jedyne, co go pocieszało, to fakt, że miała puls, a jej oddech słychać było z daleka.

– Gratuluję – usłyszał po dłuższej chwili. – Przyłapałeś ją na kłamstwie. Na twoje konto wpłynęłoby sporo kasy. Ale jak powiedziałem wcześniej, są zasady, a za ich łamanie... kary. Możesz więc cieszyć się z niczego. – Mechaniczny głos zaśmiał się złowieszczo.

– W dupie to mam! – wykrzyczał, sam siebie zaskakując. Planował być ponad to, nie przeżywać jak inni. Chciał stłumić w sobie wszelkie odruchy człowieczeństwa i skupić się na swoim celu. Na wygranej, a później sławie, nawet jeżeli miało to nieść za sobą ofiary. – Wezwij natychmiast do niej lekarza, ona może umrzeć. Jej oddech jest nierówny, jakby serce miało się zaraz wyłączyć.

– Nic jej nie będzie. A zresztą jeśli nawet, to co z tego? Kolejnego bezwartościowego bachora nikomu nie będzie żal. Możesz iść do swojego pokoju. Odpocznij chwilę, już niedługo kolejna odsłona naszego programu. Musisz być w pełni sił.

Po tych słowach głos ucichł. Gustaw podłożył pod głowę koleżanki swoją bluzę i wstał. Jakiś czas temu sprawdzał drzwi do pomieszczenia, w którym odbywała się ta przerażająca gra, ale wtedy nie ustąpiły. Gdy tym razem nacisnął klamkę, nie poczuł oporu. Pociągnął ją do siebie i otworzył drzwi na oścież. Od razu do środka

wpadło ostre światło z korytarza, rażąc go w oczy. Leżąca na podłodze dziewczyna zrobiła się jeszcze bledsza, jakby prąd, którym ją poraził, zabił jej krwinki nadające koloryt skórze.

Wyszedł na korytarz, stawiając stopę za stopą, jakby obawiał się, że zza rogu wyskoczy przeciwnik, lecz nic takiego się nie stało. W domu, którym jeszcze niedawno tak się zachwycał, a z którego w tym momencie najchętniej by uciekł, panowała grobowa cisza. Nie było słycać żadnych głosów ani też dźwięków tak typowych dla domów – kapania, szumu wentylacji.

Powoli ruszył do pomieszczenia, w którym przygotowywał posiłki. Nikogo tam nie zastał, jednak jedna rzecz wprawiła go w osłupienie. Porządek. Gdy poprzednio tutaj był, w kuchni panował okropny bałagan, który własnymi rękoma próbował ogarnąć, jednak nie udało mu się to. Zresztą nawet jakby się postarał, nie osiągnąłby takiego efektu. Wszystko aż lśniło, a na stole ponownie zawitały kartony pełne żywności.

Wyciągnął z pierwszego dwa banany i jabłko, a z kolejnego świeżą bagietkę. Dopiero gdy je zobaczył, jego ciało przypomniało sobie o głodzie. Przez nerwy, które nie opuszczały go przez ostatnie godziny, ta przyziemna potrzeba, jaką jest jedzenie, została gdzieś zepchnięta na dalszy plan, ale teraz usłyszał burczenie w brzuchu, a do ust napłynęła mu ślina. Zabrał jeszcze jedną bagietkę i ruszył do swojego pokoju.

Na pierwszy rzut oka wszystko w nim wyglądało identycznie. Na metalowej pryczy na poduszce leżał złożony koc. Na małej czarnej szafce nocnej czekała na niego komórka, z której skorzystał przed ostatnim zadaniem, nagrywając krótki materiał o swoim pobycie w programie.

Coś jednak świadczyło o intruzie, który grzebał w jego rzeczach – coś, co znalazł pod łóżkiem. Dobrze wiedział, jak zostawił swoją sportową torbę. Była całkowicie zamknięta, tak jak teraz, ale gdy wychodził z pokoju na zadanie, zostawił ją w lekkim oddaleniu od dwóch ścian tworzących kąt prosty. Teraz stała w rogu, dotykając ich. Szybko położył się pod łóżkiem i sprawdził, czy jego plan awaryjny nadal jest tam, gdzie go zostawił.

Wysunął się spod łóżka i odetchnął.

Telefon komórkowy, który rozłożył na części i przymocował pod spodem stelażu, spoczywał dokładnie tam, gdzie go zostawił. Gustaw wyciągnął torbę sportową, aby nie było podejrzane, że wpełzł pod łóżko i niczego spod niego nie wyciągnął.

Zjadł do końca bagietkę, dojadł owoce i z czystymi rzeczami pod pachą poszedł do łazienki.

Rozdział 48

– Jak to woda się nie zgadza? – mówiła Zofia uniesionym głosem, chodząc zwawo po biurze z telefonem przyklejonym do polika. Dorota przyglądała się koleżance, starając się wyczytać z jej twarzy cokolwiek, jednak bez skutku. Stukając długopisem o blat, czekała na koniec rozmowy. – Dzięki – powiedziała w końcu Grzelczyk i swoim zwyczajem usiadła na biurku. – No to mamy przełom, teraz zacznie się dziać – rzuciła i chwyciła za kubek z napisem „Królowny górą!”, który nie pasował do niej. Wszystko, co błyszczące, świecące lub różowe stało w opozycji do policjantki, której ulubionym kolorem był czarny.

– A możesz chociaż trochę jaśniej? – spytała zaintrygowana Czerwińska.

– Kajetan Pellowski nie popełnił samobójstwa.

– Chyba nie jesteś zdziwiona? Ktoś go zrzucił do rzeki, tylko trzeba dojść do tego, kto to zrobił.

– Tym, że to nie samobójstwo, to może nie jestem zdziwiona, ale bardziej zaskakujące jest to, że nie utopił się w Wiśle.

– Aha, to faktycznie ciekawe. To gdzie?

– Tego nie wiemy. Jakieś krzemionki czy inne mikrocząstki się nie zgadzają i nie pasują do naszej pięknej rzeczki. Nasz specjalista twierdzi, że to, co miał w płucach i co go utopiło, to woda typowa dla domów, taka płynąca z kranów, dostarczana z wodociągów.

– Rozumiem – rzuciła Dorota cichym głosem.

– Generalnie każda dzielnica ma trochę inny skład wody, nawet nie dzielnica, ale przepompownia czy coś w tym stylu, co obsługuje dany obszar.

– Czyli będziemy latać z próbkami i sprawdzać, kto jaką ma w rurach?

– Może nie wszystkich odwiedzimy, ale możemy zacząć od żony – rzuciła Zofia i pięć minut później siedziały w samochodzie.

Ku ich zadowoleniu Ewa Pellowska była w domu i powiadomiona o ich przybyciu obiecała nigdzie nie wychodzić. Gdy otworzyła drzwi, zupełnie nie przypominała tej kobiety, którą widziały za pierwszym razem. Rude włosy spięła w niedbały kok, co powodowało, że część niesfornych kosmyków spadała jej na twarz. Może gdyby były umyte, efekt byłby ciekawy, ale tłuste strąki, których nie myła od kilku dni, powodowały, że wyglądała nieświeżo. Ale nie to było najgorsze. Jej zazwyczaj wielkie oczy wyglądały teraz jak po walce boksterskiej. Opuchnięte powieki sprawiały, że patrzyła na funkcjonariuszki przez niewielkie szparki.

– Zapraszam – powiedziała i otworzyła szerzej wielkie drzwi, jakby żałoba spowodowała, że zapomniała o wszelkich swoich fobiach.

Powędrowały za kobietą w dokładnie to samo miejsce co poprzednio, ale miały wrażenie, że dom wygląda inaczej, smutniej. Wszędzie walały się brudne naczynia i śmieci, a z kuchni dolatywał nieprzyjemny swąd spalenizny.

– Czy jest ktoś, kto może pani pomóc? – spytała Dorota, trochę przestraszona zaistniałą sytuacją.

Ewa Pellowska, o której nieraz czytała w kolorowej prasie, uchodziła za silną kobietę. Nie poddawała się i nie przejmowała opiniami.

Teraz, gdy Dorota patrzyła na kobietę, miała wrażenie, że nie chce ona nikomu zdradzać, że cierpi. Wyszła z założenia, że jak zamknie się w domu sama, to sobie poradzi. Podobieństwo do siedzącej obok Zofii było tak uderzające, że miała ochotę poruszyć ten temat. Może wspólnie znalazłyby rozwiązanie życiowego problemu jej koleżanki.

– Moje siostry do mnie zaglądną – powiedziała krótko.

– Pani Ewo – zaczęła Zofia Grzelczyk – uzyskaliśmy dostęp do państwa polisy. Pani mąż osiem miesięcy temu zmienił ubezpieczenie na życie. Znacząco je podwyższył, dodał też opcję, w której odszkodowanie wypłacone jest również w przypadku samobójstwa. Wiedziała pani o tym?

– Wspominał coś, ale nie znałam szczegółów... – Kobieta otarła spływającą po policzku łzę i spojrzała smutno na policjantkę. – Kajetan zawsze zajmował się takimi rzeczami. Ja nic nie wiedziałam. Przynosił mi dokumenty, a ja jak owieczka podpisywałam wszystko. Szczerze mówiąc, gdyby podsunął mi umowę sprzedaży nerki, podpisałabym i nie wiedziałam o tym. Ufałam mu bezgranicznie.

– A czy wiedziała pani, że te długi, o których pani nam wspominała, to nie wszystko? Było tego więcej.

– Co?! – krzyknęła Pellowa zdziwiona.

Dorota przyglądała się z ciekawością kobiecie, której każda reakcja była naturalna, bez grama udawania czy fałszu.

– Niestety, ale pani mąż ostatnimi czasy narobił sporo długów. Znaleźliśmy w jego notesie coś na kształt spisu zobowiązań. Co zaskakujące, najwięcej dłużny był swoim rodzicom.

– Niemożliwe! – powiedziała, przenosząc zszokowany wzrok z jednej policjantki na drugą. – To jakaś pomyłka. Po pierwsze, moi

teściowie nigdy nie pożyczyliby mu pieniędzy. Po drugie, oni nie mają gotówki. Przynajmniej tak mi mówili.

– A czy wie pani o śmierci teścia?

– Śmierci? – Kobieta wybałuszyła oczy i zaczęła kiwać głową, jakby dostała jakiegoś ataku. – O co tu, kurwa, chodzi? Najpierw Ka-jetan, teraz Grzegorz... Ktoś ich morduje?

– Z tego, co udało się ustalić lekarzowi sądowemu, pan Grzegorz Pellowski umarł przedwczoraj śmiercią naturalną. Dostał zawału.

– Zawału? Widziały panie tego człowieka?

Obie policjantki pokręciły przecząco głowami.

– Teść wyglądał niczym żołnierz marines. Formy zazdrościli mu dwudziestolatkowie. Podczas każdej imprezy u nich w domu przynosił swoje wyniki badań i się nimi przechwalał, twierdząc, że nikt takich nie ma. I taki człowiek umiera na zawał? Przecież to jakaś wierutna bzdura. Rozmawialiście z teściową?

– Tak – odpowiedziała zmieszana Dorota, czując, że przebieg tej rozmowy zmienił się diametralnie. Miała wrażenie, jakby to one były przesłuchiwane, a nie odwrotnie, jak powinno być.

– I ona wam tak powiedziała? Kłamała. Zabijcie mnie, ale nie wiem dlaczego. Nigdy się nie lubiliśmy, ale zawsze uważałam ją za uczciwą osobę.

Rozdział 49

Sprawa śmierci Kajetana Pellowskiego i, co możliwe, również jego ojca ciekawiła obie policjantki niezmiernie, jednak wiedziały, że nie mogą poświęcić się jej bez reszty. Podrzuciły komputer i wszystkie notatki denata wyniesione w kartonach z jego domu do grupy młodych policjantów, którzy z wielkim entuzjazmem wykonywali każdą nawet najbardziej uciążliwą pracę. Same zaś poszły na spotkanie grupy zajmującej się niespotykaną dotychczas formą internetowego show, które ktoś nazwał „Zabawą w zabijanie”.

– Wiemy już, kim oni są – powiedział z dumą funkcjonariusz, którego Dorota widziała pierwszy raz.

Stanął na środku sali przed komendantem i zgromadzonymi policjantami i odpalił postawionego przed sobą laptopa. Wyświetlił pierwsze zdjęcie.

– Blanka Kruczkowska. Studentka drugiego roku zarządzania i marketingu, ale nie z zamiłowania. Rodzice mieszkają pod Radomiem, gdzie prowadzą swoją firmę od ponad dwudziestu lat. Mają pięć restauracji i sześć piekarni. Wszyscy uważają ich za bardzo porządnymi obywateli. Pomogli wyremontować dom samotnej matki. Co tydzień chodzą do kościoła, za to ich córka wyznaje zupełnie inne wartości. Od zawsze sprawiała problemy. Z tego, co przekazali mi policjanci z Radomia, to dwa razy przenoszono ją ze szkoły do szkoły, bo sprawiała problemy. Raz na wycieczce szkolnej upiła dwie koleżanki i porobiła im zdjęcia. Dziewczyny wylądowały w szpitalu z za-

truciem alkoholowym. Innym razem podpaliła śmietnik za szkołą, przez co spłonęła ściana sali gimnastycznej, którą niewiele wcześniej wyremontowano. Wtedy znowu rodzice przenieśli ją do innej placówki. Do liceum poszła do szkoły z internatem, prowadzonej przez siostry zakonne. Przez chwilę mieli z nią spokój, jednak była to przysłowiowa cisza przed burzą. Zaczęła udzielać się w internecie. Jej profil na Instagramie to zbiór dość obscenicznych zdjęć. Generalnie nie chcielibyście mieć takiej córki. Przejrzałem jej wpisy, poczytałem jej komentarze... Masakra. Imprezy i gołe cycki to jej pomysł na bycie w sieci. Nie ma problemów z podrywaniem cudzych facetów. Podobno poza alkoholem nie stroni też od narkotyków. Miała raz przyjemność z naszymi. Rodzice musieli stanąć na rżęsach, aby wyciszyć sprawę. Znaleźli przy niej niewielką ilość marihuany.

Policjant wrzucił na ekran raport policyjny dotyczący tego zdarzenia, po czym mówił dalej:

– Ostatni raz rodzice widzieli ją dwa tygodnie temu. Przyjechała do Radomia na weekend, ale w domu niewiele czasu spędziła. Zalana łzami matka powiedziała, że Blanka wpadła tylko po to, żeby mama zrobiła jej pranie, tata dał kasę, bo kieszonkowe jak zwykle wyparowało zaledwie kilka dni po tym, jak pojawiło się na koncie. Po powrocie do Warszawy napisała rodzicom SMS, że wyjeżdża z koleżanką nad morze i robi sobie detoks od telefonu, ale matka w ten detoks ani trochę nie uwierzyła. Kiedy tydzień temu próbowała skontaktować się z córką, jej telefon był jednak wyłączony, więc trochę się przejęła. Gdy po dwóch dniach sytuacja się nie zmieniła, zaczęła dzwonić po jej koleżankach, ale okazało się, że żadna z tych z dawnych czasów nie ma z nią już kontaktu, a do nowych nie ma numeru. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zupełnie nie zna osób,

którymi teraz otacza się jej córka. A co najśmieszniejsze, na pytanie, gdzie dokładnie Blanka studiuje, nie była w stanie powiedzieć. Płacili za wszystko i nawet nie do końca wiedzieli, co się dzieje z ich córką. Matka ledwo znalazła adres córki w Warszawie. Pojechałem tam, ale niestety niczego nie znalazłem w jej rzeczach poza jakimś dziwnym listem.

W tym momencie na ekranie wyświetliło się zdjęcie zadrukowanej kartki:

Internet czeka na Ciebie.

Nie daj się prosić i dołącz do grona takich jak Ty. Ludzi z fantazją i finezją, którzy chcą podbić świat. Wrzuć na swój Instagram zdjęcie i koniecznie użyj hasztagu #BawSieJakNigdy!

Gdy to zrobisz, bądź czujna. Niebawem dostaniesz kolejną wiadomość.

PS: Nie informuj nikogo o tym liście. To super-tajny projekt – tylko dla wybranych.

Po sali rozszedł się słyszalny pomruk. Każdy z obecnych widział zamieszczone w sieci materiały i wiedział, że ten superprojekt tylko dla wybranych był chorą grą, która mogła się źle skończyć.

– Nasi rozmawiali z jej współlokatorką. Niestety nie wypowiadała się o niej pozytywnie. Próżna, uwielbia przepych, kocha być w centrum uwagi. Wiele osób nie darzy jej sympatią, czym nigdy się nie przejmowała, a podobno potrafiła być mściwa. Dziewczyna wspominała, jak to jedna z koleżanek ze studiów zwróciła uwagę, że nie zro-

biła pracy z grupą, do której została przypisana przez panią profesor. Niestety zrobiła to po prezentacji, do której chciała się podpiąć nasza gwiazda, więc wykładowczyni nie wpisała jej zaliczenia. Blanka wkurzyła się okrutnie, darła się wniebogłosy. Następnego dnia zupełnie przypadkiem dziewczyna miała poprzebijane opony. Nie znaleziono świadków, więc nasi nie mieli podstaw do wszczęcia jakiegokolwiek postępowania.

Funkcjonariusz nachylił się nad laptopem i wyświetlił kolejne zdjęcie. Tym razem na wielkim ekranie pojawiła się twarz lekko pucołowatego chłopaka z tlenionymi włosami o końcówkach w kolorze wścieklej zieleni.

– Kacper Broniewski, kolejna ciekawa postać. W podstawówce był uważany za takiego typowego kujona. Uwielbiał się uczyć, startował we wszystkich możliwych olimpiadach. Głównie matematycznych, ale też obstawiał biologię i geografę. Grał na pianinie ku uciechy swojej mamy, nauczycielki muzyki. Niestety wszystko się skończyło, gdy poszedł do liceum. Koledzy z nowej szkoły nie docenili jego walorów intelektualnych. Szukali kompanów do bitki. Co drugi dzień wracał z limem, bez butów albo głodny, bo koledzy stwierdzili, że ma lepsze kanapki niż oni i zabierali wszystko, co mu matka przygotowała. Z tygodnia na tydzień gasł, aż przestał chcieć chodzić do szkoły. Wtedy na jego drodze pojawił się nauczyciel WF-u. W połowie roku dołączył do kadry pedagogicznej. Poza prowadzeniem zajęć szybko uruchomił klub karate. Sam był czynnym zawodnikiem, wielokrotnie wygrywał różnego rodzaju zawody. Początkowo Kacper nie chciał chodzić na jego zajęcia, ale z czasem się przemógł i wpadł jak przysłowiowa śliwka w kompot. Spodobało mu się tak bardzo, że z miesiąca na miesiąc był coraz lepszy, a kłopoty z kolegami się skoń-

czyły. Przy okazji okazało się, że ma niesamowity talent aktorski, a bardziej komediowy. Matka zapisała go do kółka teatralnego przy domu kultury. Aha, zapomniałem wspomnieć, że mieszkają w Koninie.

Na ekranie wyświetliły się liczne zdjęcia chłopaka, a na każdym z nich jego włosy miały inne kolory.

– Kacper brylował na scenie, koledzy przestali się z niego śmiać, a coraz częściej mu zazdrościli. Stał się pewnego rodzaju gwiazdą i wtedy zaczął publikować swoje skecze w internecie. O tym matka już nie opowiadała z dumą. Chłopak często przesadzał, co skutkowało rozmowami z dyrekcją, która nie podzielała jego entuzjazmu do wyśmiewania się z każdego. Inny kolor skóry, orientacja seksualna, ale także źle skrojone spodnie czy fakt bycia kibicem nieodpowiedniej według niego drużyny piłkarskiej, wszystko było dobrym powodem do szydzenia, naśmiewania się z innych. Kacper, widząc, że internautom bardzo podoba się jego poczucie humoru, kręcił kolejne szydercze filmy, jeszcze bardziej hejterskie. Obejrzałem kilka i powiem szczerze, że są okrutne. Jakbym był nastolatkiem z jakimiś problemami, a już, broń, Panie Boże, z depresją, rzuciłbym się z mostu. Takie rzeczy powinny być zabronione. Jeżeli chodzi o jego rodziców, to ojciec zmarł kilka lat temu, więc została mu tylko matka, która dorabia, ucząc dzieciaki gry na pianinie i skrzypcach. Pod opieką ma jeszcze dwójkę młodszych dzieci. Najmłodszy ma porażenie mózgowie, więc babka ma co robić. Podczas rozmowy nie ukrywała, że ostatnio rzadko miała kontakt z synem. Przeprowadził się do Poznania i przepadł. Miał pójść na studia, ale nie miał na to pieniędzy, a ona nie mogła mu pomóc. Obiecał, że zrobi wszystko, aby w ciągu roku czy dwóch coś odłożyć i pójść na uczelnię wyższą, ale ostatnio

miała wrażenie, że odpuścił. Szczególnie że od jakiegoś czasu zaczął zarabiać w sieci. Jeżeli chodzi o wygląd, to obecnie ma tlenione włosy z niebieskimi końcówkami, ale zaliczył już chyba całą tęczę na głowie. Jego kolega, z którym często kręci filmiki, wypowiadał się o nim pozytywnie, ale już ludzie w sieci nie zawsze go tak odbierają.

Policjant ponownie nachylił się nad sprzętem komputerowym i wyszukał odpowiednie zdjęcie. Tym razem na ekranie pojawiła się brunetka o mocno pomalowanych oczach.

– Klaudia Zajkowska. Kolejna wyróżniająca się postać. Jej rodzice dużo podróżowali po świecie i wszędzie ciągalі swoje dzieci. Dziewczyna ma trójkę rodzeństwa, więc była z nich spora ekipa. Imali się przeróżnych zajęć. Kelner, budowlaniec, sprzątaczką, cokolwiek, co szybko dawało pieniądze, i z tego, co powiedzieli, to bardzo często całkiem niezłe. Dzieci chodziły do szkoły w każdym miejscu, gdzie na dłużej osiadali, ale zazwyczaj były z tym problemy. Przede wszystkim językowe, a co za tym idzie, kłótnie z innymi dziećmi, brak postępów w nauce. Wrócili na stałe, gdy Klaudia miała około dziesięciu lat. Zamieszkali w domu odziedziczonym po dziadkach na warszawskim Mokotowie. Dodatkowo rodzice otrzymali w spadku również niezłe prosperującą firmę i tym sposobem ze średnio majątnych ludzi, którzy ciułali każdy grosz, zmienili się w całkiem bogatych. Jednak po powrocie nie było tak różowo, jak liczyli. Dzieci nie radziły sobie w szkołach, bo miały niestety spore zaległości, więc w domu douczali je korepetytorzy. Rodzice rozkręcali biznes i przestali mieć czas dla swoich pociech. Niestety w ich życiu wydarzyła się tragedia. Starsza siostra Klaudii, Malwina, mając siedemnaście lat, wsiadła do samochodu z trzema kolegami. Wracali z imprezy, wszyscy byli pijani. Prowadzący auto chłopak miał prawko zaledwie od tygodnia.

Podobno jechali ponad sto dwadzieścia na wiejskich drózkach. Nikt nie zapiął pasów, dlatego gdy uderzyli w ogrodzenie, wystrzeliło ich jak z procy. Ciężko było ustalić, kto gdzie siedział, bo ciała były wymieszane jak w kociołku.

Funkcjonariusz skrzywił się, najwyraźniej zaznajomiony ze zdjęciami z miejsca wypadku. Potrząsnął głową i po chwili kontynuował monolog:

– Mocno to wstrząsnęło całą rodziną. Ponownie mieli wyjechać i odciąć się od wszystkiego, ale dzieci już nie chciały. Przez chwilę mieli z nimi spokój, ale nie trwało to zbyt długo. Przede wszystkim pojawiły się problemy z najstarszą w tym momencie Klaudią. Dziewczyna nie pojawiała się w szkole, a jak już tam zawitała, to kłóciła się z każdym. Generalnie uwielbia robić afery, skłóca ludzi, czepia się innych, pyskuje. Taki typ buntowniczkki. Przez jakiś czas chodziła do psychologa, ale trzy panie z rzędu zrezygnowały z prowadzenia terapii, twierdząc, że jeżeli ona nie chce się zmienić, one na siłę nie dadzą rady. Skończyła liceum, ale z wielkimi przygodami, na studia nie poszła. Czasami pracuje w firmie rodziców, ale to sporadycznie. Głównie rozbija się po warszawskich imprezowniach swoim różowym mini cooperem i wymyśla kolejne tatuaże. Podobno ma ich już całkiem sporo. Rodzice nie pamiętają, kiedy ostatnio ją widzieli. Młodsza siostra powiedziała, że przed zniknięciem Klaudia była jakaś dziwna, taka szczęśliwsza. Pytała, o co chodzi, ale ta nic nie zdradziła. Wspomniała tylko o jakiejś tajemnicy i szansie na lepsze. Gdy ostatni raz się widziały, mówiła, że zaraz jedzie do fryzjera. Później już nie odbierała telefonu, nie odpisywała na wiadomości. Poprosiliśmy rodziców o przeszukanie jej rzeczy, ale nic nie znaleźli.

Gdy ponownie się schylił, Dorota Czerwińska wiedziała, że za chwilę na ekranie ukaze się twarz całkiem przystojnego młodzieńca. I tak też się stało.

– Gustaw Konieczny. Jak piszą niektóre fanki na jego koncie na Instagramie lub pod filmikami na YouTube, w których prezentuje ćwiczenia, niezłe ciacho. Praktycznie większość zdjęć, które ma w sieci, prezentuje jego wyrzeźbione ciało. Co ciekawe, kiedyś wcale takie nie było. Znalazłem jego fotografie, a także film, na którym pokazywał siebie sprzed lat. Wyglądał zupełnie inaczej. Twierdzi, że jego mama wyznaje zasadę, że „zdrowe dziecko to grube dziecko”, więc przekarmiła go, zupełnie nic sobie nie robiąc z faktu, że w wieku dziesięciu lat miał większe cycki niż niejedna kobieta. Wyzwiskami ze strony kolegów kazała się nie przejmować i robiła awanturę każdemu rodzicowi, którego dziecko powiedziało coś niemilego do Gustawa. Jakby nie docierało do niej, że to przede wszystkim jej syn i jej zachowanie stanowi problem. W końcu chłopak sam się zrelektował, że tak nie może być, i zaczął swoją przemianę. Poza tym studiuje prawo. Jedyne ambitny z całej czwórki, widać, że ma jakiś pomysł na siebie, poza mediami społecznościowymi. Aktualnie jest na trzecim roku i idzie mu świetnie. Uczy się w stolicy, dokąd przyjechał z małej miejscowości pod Olsztynkiem. Rodzice cały czas mieszkają i pracują tam. Mama jako pielęgniarka w przychodni, a tata jako stróż na budowie. Kiedyś wiodło im się lepiej, ale mężczyzna miał wypadek i wszystko się posypało. Gustaw ma starszego brata, który podobno tak pokłócił się z ojcem, że wyjechał do Wielkiej Brytanii. Chłopak obiecywał bratu, że go ściągnie do siebie, ale nigdy to się nie udało, za to pomaga mu finansowo w życiu studenckim w stolicy. Pracuje gdzieś, ale kobieta nie wie gdzie. Kiedyś wspominał, że

w tym internecie idzie mu dobrze, ale zupełnie nie rozumie, o co chodzi. Zresztą zapytana o jego działalność w sieci nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Jasno i wyraźnie dała do zrozumienia, że ją to przerasta i wszelkie nowoczesne technologie są poza jej zasięgiem.

Mężczyzna na chwilę przerwał i sięgnął po stojącą przed nim szklankę. Przemowa, którą ciągnął od kilkunastu minut, spowodowała, że zaschło mu w gardle.

– Matka opowiedziała mi o dzieciństwie Gustawa kilka ciekawych rzeczy. Przede wszystkim potwierdziła, że „miał trochę za dużo kilogramów”, jednak jej wyjaśnienie mnie zszokowało. Jako pielęgniarka naoglądała się chudych, wiotkich dzieci, które schorowane trafiały na oddział pediatryczny, na którym głównie pracowała jeszcze przed narodzinami synów. Gdy Gustaw przyszedł na świat, ważył poniżej trzech kilogramów, czyli dość mało, z tego, co się zorientowałem. Przestraszyła się, straciła już jedną ciążę około dwudziestego tygodnia. Nie chciała, aby coś stało się synowi, więc go, jak to ujęła, trochę przekarmiła. Generalnie Gustaw nie sprawiał problemów. Przyносił dobre oceny praktycznie z każdego przedmiotu w szkole, zachowywał się poprawnie. Nigdy nie wdawał się w konflikty, ale to, co mogłaby uznać za jego wadę i może kiedyś powód do problemów, to węszenie. Jej syn wciskał nos we wszystko. Szperał po rzeczach, podsłuchiwał. Parę razy wychwyciła, jak mówił o czymś, czego nie powinien wiedzieć, gdyby nie stał za drzwiami podczas jej rozmowy z mężem. Zresztą z ojcem nigdy nie miał dobrych kontaktów. Kobieta nie wiedziała, co się wydarzyło, ale panowało między nimi jakieś niezdrowe napięcie, które co chwilę eksplodowało i doprowadzało do awantur. Jeżeli chodzi o obecność chłopaka w sieci, to jest takim typowym... gogusiem, lolusiem czy nie wiem, jak wy mówicie na go-

ści, którzy stoją godzinami, aby poprawić trzy włoski na krzyż, które mają na głowie. Zdecydowanie swoim atrybutem, znakiem rozpoznawczym, wokół którego kręci się jego aktywność w sieci, zrobił własne ciało, chociaż wydaje się, że głupi nie jest.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia publikowane na profilach Gustawa – wyeksponowane mięśnie, wyrzeźbiona sylwetka, selfie robione w siłownianym lustrze.

– Może to element strategii, ale jego wypowiedzi są mocno narcystyczne. Cały czas podkreśla, że kult ciała powinien dotyczyć każdego, a ten, kto przesadnie o sobie nie dba, jest głupi. Co śmieszne, zupełnie zapomniał, że jeszcze dwa lata temu wyglądał zupełnie inaczej i bez oporów wyzywa osoby z problemami z nadwagą. Nazywa ich grubasami, śmierdzącymi wielorybami, a także życiowymi nieudacznikami. Część osób mu przyklaskuje, ale część wyraźnie się od tego dystansuje. Ma też całkiem sporo fanek, a nawet psychofanek, które komentują każdy jego wpis, wrzucając ochy i achy, niezależnie od tego, o czym on pisze. Nie znam się, ale myślę, że może się podobać. I jak to napisała jedna z dziewczyn, ma wygląd takiego złego chłopca.

Mężczyzna ponownie nachylił się nad klawiaturą i zaczął klikać. Wysłuchali już prezentacji czterech osób, więc Dorota Czerwińska z niecierpliwością czekała na to, co ma jeszcze do powiedzenia. Na ekranie pojawiła się jeszcze jedna postać, której wcześniej nie widziała.

– Co zaskakujące, do tej magicznej czwórki pasuje jeszcze jedna zaginiona. Matka znalazła u niej taki sam list co u Blanki. Od razu to połączyłem. Dotychczas dziewczyny nie pokazano na nagraniach w sieci ani tych telebimach, ale kto wie może się jeszcze pojawi...

– Dobra robota – skomentował komendant, który dotychczas tylko siedział z boku i bacznie przyglądał się pracy młodego policjanta.

– Dziękuję – odpowiedział, lekko się uśmiechając. – Patrycja Wilska. Ciekawa osobowość. Zresztą jak wszystkie dzieciaki. Ma młodszą siostrę, z którą ma superkontakt, a także brata. Jak była mała, uwielbiała malować, lepić z gliny. Podobno wszystko, czego się dotknęła, zamieniało się w małe arcydzieło. Rodzice mieli nadzieję, że kiedyś zostanie wielką artystką, ale jej zamiłowanie do malowania, artystycznego wyżywania się w klasycznej formie gdzieś zniknęło i pojawiło się zupełnie coś innego. Patrycja zaczęła kręcić filmiki do internetu i to stało się całym jej życiem. Z kamerą podobno nie rozstaje się nawet na moment. Podczas wszystkich świąt czy rodzinnych spotkań zawsze jest przyklejona do telefonu. Oczywiście rodzice próbowali coś z tym zrobić, ale za każdym razem kończyło się wielką awanturą. Raz podobno wyszła w trakcie wigilii, tuż po opłatku. Ojciec się wściekł, ponieważ najpierw kręciła ich podczas składania życzeń, co mocno go krępowało, a gdy zaczęła komentować staroświeckie zwyczaje, czyli przygotowywanie dwunastu potraw, które stały na stole, zrobiło się nieprzyjemnie. Matka powiedziała, że może nie byłoby tak źle, gdyby nie fakt, że córka na koniec dodała, że potrawy te są niejadalne i na myśl o ich spożywaniu ma ochotę się zrzygać. Ojciec, który od kilku dni pomagał w kuchni i wiedział, ile pracy kosztowało jego żonę, a matkę Patrycji przygotowanie tego wszystkiego, po prostu wybuchnął. Takich sytuacji niestety przydarzało się coraz więcej.

Funkcjonariusz wziął z biurka kilka kartek z notatkami, przejrzał je szybko, po czym podniósł ponownie wzrok na zebranych i relacjo-

nował dalej:

– Co zaskakujące, jej rodzice dość lekko podeszli do faktu nieobecności córki. Generalnie zachowywali się bardzo dziwnie. Na początku powiedziałem, że matka znalazła list, taki sam jak u Blanki. Tylko że to nie ona do nas zadzwoniła, a młodsza siostra zaginionej. To ona zaczęła się stresować. Od kilku dni nie miała kontaktu z Patrycją. Pisała do niej, dzwoniła. Nic. Zaczęła przepytować jej koleżanki, które też niewiele wiedziały. A gdy matka pokazała jej list, od razu połączyła to z publikowanymi w sieci nagraniami z młodymi ludźmi w rolach głównych. Oczywiście zapytałem o ich wyluzowane podejście. Pani Wilska powiedziała, że ich córka już kilka razy zniknęła i zawsze wracała, więc tym razem też mają nadzieję na happy end. Jak zaczęła mi opowiadać szczegóły, aż zdębiałem. Jako piętnastolatka Patrycja pojechała z koleżanką stopem do Berlina na jakiś festiwal i nikogo nie poinformowały. Złapała je policja na dworcu autobusowym w Zielonej Górze. Dziewczyny nie przejęły się mocno, bo już wracały do domu. Dwa lata później pojechała na dwa tygodnie na wakacje i też nie powiedziała, że wyjeżdża. Na szczęście wtedy już matka była sprytniejsza. Weszła na konto i sprawdziła, gdzie córka ostatni raz płaciła, a następnie zablokowała jej kartę. Następnego dnia zadzwoniła. Nie powiedziała, gdzie jest, tylko że nie ma pieniędzy. Jeżeli chodzi o jej media społecznościowe, to jest tego sporo. Praktycznie każdego dnia publikowała coś na kształt pamiętnika. Jak kręci się w łóżku, wybiera rzeczy do ubrania, je. Zazwyczaj wrzucała swoje taneczne wygibasy. Pojawiał się też jakiś temat do dyskusji, tak jakby chciała wyjść na inteligenta, ale powiem szczerze, nie chcąc jej obrażać, raczej jej to nie wychodziło. Chyba że taki miała plan, aby nie obciążać intelektualnie swoich odbiorców. I tak przez cały dzień.

Nie publikowała nic od ponad tygodnia, co w jej przypadku jest bardziej podejrzane niż brak kontaktu z rodziną. I to chyba na tyle moi drodzy...

Mężczyzna uklonił się jak artysta po swoim występie na scenie, a wszyscy na sali docenili przygotowane przez niego materiały okłaskami.

– Dziękujemy, Gabrielu. – Komendant poklepał funkcjonariusza po ramieniu i stanął obok. – Może macie jakieś pytania? – Rozejrzył się po sali.

– Wiadomo, czy coś łączy tych ludzi? – spytała Dorota Czerwińska.

– Na chwilę obecną nic takiego nie udało nam się ustalić. Sprawdzamy, czy mają jakichś wspólnych znajomych, ale niestety jest to trudna i żmudna robota. Coś jeszcze?

– Tak, chociaż nie wiem, czy to pytanie do ciebie. Może bardziej jako pomysł do burzy mózgów. Ktoś ma pomysł, jak ci ludzie zostali wybrani do tego programu? Czy kryterium to obecność w mediach społecznościowych i bycie kontrowersyjnym, czy może coś jeszcze? – rzucił starszy mężczyzna, żując ostentacyjnie gumę.

– Ja osobiście się nad tym nie pochylałem, bo najzwyczajniej nie miałem kiedy. – Młody policjant uśmiechnął się do niego, prezentując zadziorny uśmiech.

– Rozumiem. A ja tak się zastanawiałam i może to głupi pomysł... – wtrąciła Czerwińska.

– Nie ma głupich pomysłów – rzuciła siedząca obok niej Zofia Grzelczyk. – Dajesz, Dorota.

– A może te dzieciaki, wszystkie albo któreś z nich, coś komuś zrobiły i to forma zemsty – powiedziała, a po sali przeszedł pomruk.

Rozdział 50

– Mamo, zaczekaj tutaj chwilę z tymi zakupami. Mam wielką ochotę na kawę – powiedziała osiemnastoletnia Wioletta Domańska i ruszyła do pobliskiej kawiarni. – Chcesz coś konkretnego czy cię zaskoczyć? – krzyknęła, chwytając za klamkę.

– Zrób mi niespodziankę – odpowiedziała kobieta i odstawiła na ziemię wypchane po brzegi torby z zakupami.

Ostatnie pięć godzin spędziły na zakupach w Złotych Tarasach. Generalnie nie znosiła takich sytuacji. Możliwość robienia zakupów z kanapy była dla niej idealnym rozwiązaniem, jednak już dawno temu obiecała córce, że z okazji jej urodzin poszaleją w jednym z centrów handlowych. Stała kilka metrów od rzeki ludzi, którzy w większości szli zapatrzeni w swoje telefony, ze słuchawkami w uszach i zupełnie nie zwracali na siebie uwagi. Raz po raz ktoś na kogoś wpadał lub potykał się o wystający krawężnik.

Grażyna Domańska uniosła głowę i spojrzała na górujący nad miastem prezent ze strony Związku Radzieckiego. Zegar na Pałacu Kultury i Nauki pokazywał czternastą dwadzieścia pięć, a miała wrażenie, że jest już co najmniej osiemnasta. Czarne chmury wisiały nad stolicą, powodując, że zrobiło się jeszcze ciemniej i bardziej przytłaczająco. Śnieg, który jeszcze dwa dni temu leżał wszędzie i dawał trochę jasności, zniknął, a zastąpiła go brudna breja.

– Ma pani dwa złote?

Z zamyślenia wytrąciła ją młoda kobieta z dzieckiem na rękach. Nie miało więcej niż dwa lata. Przyklejone do matki spało smacznie, nic sobie nie robiąc z faktu, że wokół przechodziły tłumy, samochody trąbiły, a zaledwie sto metrów od nich, na Alejach Jerozolimskich, głośno hałasując, przejeżdżały tramwaje.

– A na co pani zbiera? – spytała zaczepnie.

Z reguły nie dawała takim osobom ani grosza. Wiedziała, że te pieniądze pójdą na alkohol albo narkotyki. Wolą kupić im jedzenie, chociaż po tym, jak jedna kobieta, dostawszy od niej reklamówkę pełną artykułów spożywczych, skomentowała, że ona takiej wędliny to jeść nie zamierza, nawet takich aktów dobroci unikała.

– Muszę kupić synkowi cieplejsze buty... – Popatrzyła na stopy syna, na których miał raczej letnie lub maksymalnie wczesnojesienne obuwie. – Wiem, że pewnie mi pani nie wierzy, ale nie piję i nie ćpam. Rodzice wyrzucili mnie z domu, gdy zaszłam w ciążę. Chłopak poznał inną i zostałam sama. Nie mogę pójść do pracy, bo nie miałby kto zostać z małym, a gdy...

Kobieta nie skończyła, bo nagle jej monolog przerwał krzyk, a bardziej wrzask połączony z piskiem. Grażyna nie widziała, co się dzieje, ponieważ przy jej raptem stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrach wzrostu niewiele dostrzegała. Słyszała tylko coraz bardziej przerażające krzyki, a także zbliżającą się w jej stronę falę ludzi. Już chciała krzyknąć do stojącej przed nią kobiety z małym dzieckiem na rękach, aby uważała, gdy z impetem wpadł na nią popchnięty przez kogoś potężny mężczyzna.

W ostatnim momencie złapała dziecko i ignorując torbę wypchaną nowymi ubraniami, które stanowiły prezent urodzinowy dla córki, odbiegła kilka metrów w stronę kawiarni. Dopiero teraz do-

strzegła maskę samochodu, która cały czas napierała na tłum stojący przy przejściu dla pieszych.

Każdy chciał ratować siebie, zupełnie nie myśląc, że wpada na kogoś, potrąca go, sprowadza do parteru, a tym samym może narazić na utratę zdrowia i życia. Kierowca wjeżdżającego coraz głębiej w tłum samochodu jakby nic sobie nie robił z tego, że pod jego koła wpadają kolejne osoby. Nagle Grażyna usłyszała głos córki, która mocno szarpnęła ją za rękę.

– Jesteś cała?

– Ja? Hmm...

Cały czas patrzyła na rozgrywającą się przed nią scenę, nie wiedząc, co ma zrobić. Kobieta, z którą jeszcze chwilę temu rozmawiała, leżała pięć metrów od nich, a z rany na jej głowie wypływała krew. Grażyna już chciała oddać córce malca, który mocno do niej przywarł, gdy samochód taranujący ludzi dojechał do matki chłopca i powoli, centymetr po centymetrze, zaczął miażdżyć jej nogi. Gdy był na wysokości jej bioder, córka ponownie szarpnęła za ramię Grażyny, wyrywając ją z letargu.

– Mamo, uciekajmy!

Rozdział 51

– Jezus Maria... – powiedziała Zofia Grzelczyk i włożyła telefon do kieszeni swojej zimowej kurtki. Wyjątkowo za kierownicą siedziała jej nowa koleżanka Dorota, dlatego przed chwilą otworzyła stronę internetową jednej z telewizji informacyjnych. Gdy zobaczyła nagłówek, poczuła, że robi jej się słabo. Drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni wydarzyło się coś tak surrealistycznego, że nie wierzyła, że dzieje się to naprawdę.

– Co się stało? – spytała Czerwińska, nie odrywając wzroku od drogi. Udało im się odszyfrować zapiski zmarłego, a w tym najważniejszą informację: nazwiska czterech osób, którym Kajetan Pellowski winien był pieniądze.

– Jakiś facet wjechał w tłum przy Złotych Tarasach...

– To to centrum przy Dworcu Centralnym, obok Pałacu Kultury?
– wtrąciła Dorota i skręciła w prawo, zgodnie z wytycznymi Google Maps.

– Tak. Na chwilę obecną jest pięć ofiar śmiertelnych, ale napisali, że bilans może znacząco wzrosnąć. Podobno do szpitala zabrano aż dwanaście osób w stanie krytycznym i siedemnaście z licznymi obrażeniami.

– Jakiś zamach terrorystyczny?

– Na razie nikt nic nie wie. Według świadków samochód skręcił z Alei Jerozolimskich od strony rotundy w Emilii Plater, przejechał kilkaset metrów i zamiast pojechać prosto w stronę Świętokrzyskiej,

jak reszta samochodów, nagle skręcił w lewo, przez przejście dla pieszych przeciął przeciwny pas i ze sporą prędkością wjechał w tłum czekający na zielone światło. Podobno ludzie się tratowali, inni wpadali pod koła.

– O kurwa... – rzuciła policjantka i wyraźnie zwolniła. – To musiało być straszne.

– I było. Są liczne nagrania. Widziałam jedno i na razie więcej nie chcę oglądać. Wygląda to jak rzeź niewiniątek. Oczywiście samochód zupełnie nieprzypadkowo był wielki. Coś w stylu terenowego. Ludzie próbowali go zatrzymać, otworzyć drzwi i wyciągnąć tego popaprańca, ale bez skutku. Jechał dalej. Dopiero policjant na służbie, który przechodził obok, zaczął strzelać, nie widząc innego wyjścia. Robił to w tłumie, więc musiał liczyć się z dodatkowymi ofiarami, ale chyba nie dało rady inaczej. Myślę, że zasługuje na odznaczenie. Trafił za pierwszym razem, raniąc kierowcę w bark. Samochód zaczął zwalniać i zatrzymał się na ścianie Złotych Tarasów.

– Jak słyszę coś takiego, to zastanawiam się, czy nie wolałabym jednak pracować znowu w Suchodole, w którym zawsze czułam się taka bezpieczna...

– Ale tam ludzi we wnękach zamurują – skończyła za nią koleżanka.

– I to mnie najbardziej przeraża. Chyba nie ma miejsc, gdzie w stu procentach można czuć się bezpiecznie. Wszędzie trzeba być czujnym. Chciałabym wierzyć, że to się zmieni i na mojego Mikołaja nie będzie na każdym kroku czyhało zagrożenie, ale bym się okłamywała.

– Oj, tak. Smutne to czasy, w których przyszło nam żyć – skomentowała cicho Zofia Grzelczyk.

W tym momencie Dorota Czerwińska wjechała w małą uliczkę na obrzeżach Wilanowa. Dom z numer siedem nie przypominał tych, w których mieszkali Pellowscy. Dużo mniejszy, z oknami standardowych rozmiarów, a nie wielkimi, kilkuskrzydłowymi. Jednak to, co go na pewno wyróżniało, to fakt, że całą elewację ozdobiono klinkierem w najbardziej klasycznym kolorze cegły, czerwonym z delikatną domieszką pomarańczowego.

To tutaj mieszkał przyjaciel zamordowanego, którego w swoich zapiskach Kajetan Pellowski nazwał Oстрыm. Dopiero później zorientowały się, że chodziło o jego partyjnego kolegę Wojciecha Ostrowskiego, z którym podobno przyjaźnił się od liceum.

– Witam szanowne panie – usłyszały, gdy drzwi domu otworzyły się. Stał za nimi około pięćdziesięcioletni mężczyzna ze sporych rozmiarów brzuchem i zakolami pokrywającymi połowę głowy. – Zapraszam serdecznie. – Z uśmiechem na twarzy poprowadził kobiety do jadalni, jakby zapomniał o temacie rozmowy. – Nie wiem, dlaczego Kajetan to zrobił – rzucił, gdy wszyscy troje usiedli przy wielkim stole, który stał w czymś na kształt oranżerii.

Przeszklony sufit oraz ściana składająca się z kilkunastu mniejszych okienek powodowały, że Zofia Grzelczyk miała wrażenie, że siedzą na dworze. Odruchowo zapięła kurtkę pod szyję, jakby panujący na zewnątrz chłód mógł nagle wedrzeć się do pomieszczenia i ją zaatakować.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z kolegą? – spytała, cały czas bacznie obserwując mężczyznę.

– Przyjacielem. Poszedłbym za nim w ogień. Drugiego takiego nigdy nie spotkałem. Zawsze pomocny, oddany, honorowy. Takich ludzi już nie ma – westchnął smutno i pokręcił głową. – Kiedyś zrobi-

łem straszną głupotę, o której pewnie panie słyszały, jak reszta Pol-
ski. Przespałem się z kobietą. Nie dość, że zdradziłem żonę, to jesz-
cze okazało się, że to była prostytutka, którą ktoś mi podstawił, aby
mnie upokorzyć. Wpadłem w niezłe bagno. Co dość okrutne, wiele
osób się ode mnie odsunęło, jakbym nagle zachorował na trąd i mógł
ich tym zarazić. Musiałem zrezygnować z funkcji sekretarza partii.
Odszedłem z rodzinnej firmy. Wiele drzwi pozamykało mi się przed
nosem. Wiele osób przestało odbierać, tak jakbym coś im zrobił. Ale
dla Kajetana nic się nie zmieniło. Nadal się spotykaliśmy, piliśmy
wino i gadaliśmy. Ani razu o tym nie wspomniał, nawet słowem. Ni-
gdy mu za to nie podziękowałem, ale wiele to dla mnie znaczyło.

– Dlatego pożyczył mu pan pięćdziesiąt tysięcy złotych?

Mężczyzna spojrział zdziwiony na Dorotę Czerwińską, wyraźnie
nie spodziewał się takiego pytania. Wstał i podszedł do jednej z szu-
flad i wyciągnął kopertę. Położył ją przed siedzącą bliżej Zofią Grzel-
czyk i podsunął w jej kierunku.

– Przyszedł tydzień temu i oddał mi całość. Wcale go o to nie pro-
siłem. Wiem, że kochał hazard, nawet chyba bardziej niż Ewę, a za
nią skoczyłby w ogień. Niestety jak to w życiu, raz się wygrywa, raz
przegrywa. Kajetan generalnie wychodził na tych swoich szaleń-
stwach na plus. Przynajmniej tak twierdził... – Mężczyzna przerwał
na chwilę i zapatrzył się na krajobraz za oknem. Niezebrane jesienią
liście tworzyły małe brunatne pagórki, które z daleka wyglądały jak
kopce kreta lub końskie łajno. – Kajo, jak go nazywałem jeszcze w li-
ceum, nie lubił prosić. Nikogo, o nic. Zawsze starał się radzić sobie
samemu z każdym napotkanym problemem. Zналиśmy się ponad
trzydzieści lat i przyszedł do mnie z prośbą raptem trzy razy. Pierw-
szy raz, gdy zastanawiał się, gdzie się oświadczyć. Ja już miałem

żoną, więc wyszedł z założenia, że znam się na tym lepiej. Powiedziałem, co i jak, ale i tak zrobił po swojemu. Drugi raz, gdy pożyczył ode mnie te pieniądze. – Kiwnięciem głową wskazał na leżącą na stole kopertę. – A trzeci raz...

Mężczyzna ponownie zawiesił głos. Tym razem jego twarz naprężyła się, zuchwa delikatnie wysunęła do przodu, a małe usta zrobiły się jeszcze węższe.

– Czego dotyczyła ta prośba? – spytała sympatycznym głosem Dorota Czerwińska i spojrzała na koleżankę.

– Od samego początku mówiłem mu, że sprawa śmierdzi na kilometr. Jakoś nie chciałem wierzyć w to, że jego... – Ponownie zamilkł, a Zofia Grzelczyk automatycznie zacisnęła pięści. Od kilku dni czuła, że w jej żyłach krew buzuje znacznie szybciej niż zazwyczaj. Nie wielki płomień mógł spowodować wybuch. Zresztą już w przeszłości miała z tym problemy. Na szczęście terapia i przyjmowane czasami leki dawały efekt, jednak wydarzenia ostatnich dni spowodowały, że wszystkie koszmary powróciły.

– Do brzegu – ponagliła go lekko Dorota, widząc minę koleżanki. Ta skinęła jej ledwo zauważalnie głową, dziękując za ten mały, lecz cenny gest.

– Wiem, miotam się jak jakaś nastolatka przed wyjściem na imprezę, ale ja sam tego nie rozumiem. Jako osoby publiczne zawsze byliśmy, jesteśmy i będziemy po wsze czasy łatwym kąskiem dla różnych psycholi. Wypisują o nas przeróżne głupie rzeczy, oczywiście w większości nieprawdziwe. Po rozwodzie przez trzy lata żyłem w celibacie, taką karę wymierzyłem sam sobie. Mimo to i tak co chwilę dowiadywałem się o kolejnych kochankach, prostytutkach, z którymi niby ktoś mnie widział. Kajo na szczęście był o wiele lepiej po-

strzegany. Świetna żona, rodzice z wyższych sfer, aż tu nagle dwa miesiące temu przyszedł do mnie podminowany. Dostał maila. Oczywiście z adresu, który szybko został usunięty, bo gdy odpisał, dostał wiadomość zwrotną, że podany e-mail nie istnieje. Ktoś twierdził, że jego ojciec jest...

– No niby kim jest? – wtrąciła widocznie zniecierpliwiona Zofia Grzelczyk.

– Gejem.

Policjantki spojrzały na siebie i delikatnie uśmiechnęły, mimo że sytuacja nie była do śmiechu, jednak ta informacja bardzo wiele wносиła do sprawy.

– Czy pana przyjaciel dowiedział się, kto go wysłał?

– Niestety nie. Długo chodził struty, nie wiedząc, co ma zrobić. Sytuacja dość nietypowa, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że stary Pellowski pracował jako wojskowy. Mój ojciec też służył. To zupełnie inny sort ludzi. Może dlatego my z Kajetanem tak dobrze się dogadywaliśmy. Obaj przeżyliśmy niezłą musztrę. Nasi tatusiowie mieli świra na punkcie posłuszeństwa, rozkazów i szeroko rozumianego porządku. U nas nie wystarczyło, żeby na podłodze panował porządek, a na biurku nie wały się niepotrzebne rzeczy. Miało lśnić pod łóżkiem, a w szafie rzeczy powinny być poukładane od linijki. Co śmieszne, gdy tylko wyprowadziłem się z domu, miałem największy bałagan w całym akademiku. Wszyscy się ze mnie śmiali, że nie mogą wpaść, bo zostaną na dłużej. Bali się, że przykleją się do któregoś mebla lub podłogi. Kajetan jakoś tego tak nie odreagowywał, ale wiem, że i tak średnio wspominał dzieciństwo.

Mimo smutnego tonu Ostrowski uśmiechnął się z sentymentem i znowu zamilkł, ale zanim Zofia to skomentowała, odezwał się

znowu:

– Gdy w końcu przetrwał sens wiadomości, doszedł do wniosku, że nie zamierza nic z tym robić. Rodzice mieszkali razem, ale od lat prowadzili dwa równoległe życia i nikomu to nie przeszkadzało. Mama czuła się bezpiecznie i miała pod ręką męską dłoń, która zawsze przykręciła śrubkę lub wymieniła żarówkę. A ojcem miał się kto opiekować, obiad zrobić. Taki handel wymienny, a może raczej wymiana usług. Jedyne, czego Kajo się bał, to że to wypłynie do prasy. I nawet nie chodziło o jego samego, bo swoim zwyczajem obróciłby to jakoś na swoją korzyść, ale stresował się rodzicami. Matką, która zapewne doznałaby szoku, i ojcem, który ze wstydu zapadłby się pod ziemię i pewnie nigdy więcej nie wyszedł z domu.

Dorota Czerwińska wraz z Zofią Grzelczyk posiedziały jeszcze chwilę u przyjaciela zamordowanego i wyszły. Wiedziały, że muszą zmienić plany i kolejną osobą do odwiedzenia nie jest osoba, której Pellowski był winny osiemdziesiąt tysięcy, ale jego matka.

Rozdział 52

– Kurwa mać! – wrzasnął Gustaw i przywalił z całej siły w ścianę obita gąbką. Był pewien, że pięść zapadnie się w nią jak w masło, jednak po kilku centymetrach napotkała opór ściany, a do łokcia poleciał przeraźliwy ból. – Aaa!!! – krzyknął jeszcze głośniej.

Z kłykci leciała krew, a w dwóch ranach widoczne były kości. Rozejrzał się dookoła, po czym chwycił mały ręcznik leżący na biurku i zawinął nim rękę. Materiał momentalnie zabarwił się na czerwono. Zacisnął mocniej prowizoryczny opatrunek.

Usiadł na małym łóżku, na którym spał od kilku dni i przez które bolały go plecy, i dopiero teraz zobaczył spoczywający na nim list.

– Ja już nie chcę... – powiedział sam do siebie. Widok koleżanki leżącej na podłodze bez ruchu mocno nim wstrząsnął. Pierwszy raz, od kiedy przekroczył próg tego dziwnego domu, pomyślał o ucieczce.

Opadł na łóżko, ignorując list, i zamknął oczy, licząc na chwilę spokoju. Niestety, gdy tylko powieki przykryły zmęczone gałki oczne, zobaczył twarz dziewczyny z tym dziwnym grymasem. Takim nienaturalnym, powykrzywianym. I ten okropny zapach palonych włosów lub skóry. Nigdy wcześniej go nie czuł i liczył, że już nie poczuje.

Spróbował przywołać w myślach obraz morza i szum fal, który zawsze go koił. Po kilku sekundach jego myśli ponownie popłynęły jednak w niechcianym kierunku. Zerwał się z łóżka i swoim zwyczajem zrobił czterdzieści pompek. Pomimo poranionych palców mo-

mentalnie poczuł ulgę i wolę walki w kolejnym zadaniu postawionym przez psychopatę kreującego to zadziwiające show.

Otworzył kopertę, wyciągnął białą kartkę i przeczytał krótką wiadomość. Miał wykorzystać do końca wszystkie tabletki, które dostał pierwszego dnia.

– Kurwa! – krzyknął, ale tym razem nie wyprowadził ciosu przeciwko niewidzialnemu przeciwnikowi. Zaciśnął pięści, a z prawej popłynęła jeszcze mocniej krew i pomimo opatrunku zaczęła kapać na podłogę.

Planował sukcesywnie dosypywać swoim kompanom coś do jedzenia, tak aby nie odczuwali mocno skutków tych specyfików. Teraz wiedział, że jego strategia poszła w komin, a najbliższy posiłek okaże się istną katastrofą.

Pół godziny później stał w prowizorycznej kuchni wielkości mieszkania, w którym żył z rodzicami, i kroił mięso na cienkie paski. Nie było to najłatwiejsze z powodu opatrunku, który zrobił z ręczników papierowych, ale nie zamierzał odpuszczać. Postanowił zrobić tortille z warzywami i kurczakiem, a do tego podać sos salsa, który znalazł w torbie.

O ile cały proces przygotowywania posiłków przynosił mu pewnego rodzaju radość, o tyle trzymane w kieszeni proszki powodowały, że miał ochotę wbić sobie w nogę jeden z ostrych noży i czekać na obrót zdarzeń. Przecież nikt nie kazałby mu kontynuować zadania w takiej sytuacji. Tylko czy na pewno?

Rozdział 53

Parkując drugi raz przed domem rodziców Kajetana Pellowskiego, Dorota Czerwińska nie czuła już takiego zachwytu. W tym momencie przepełniał ją smutek. Jej policyjny nos podpowiadał, że śmierć polityka nie wiązała się z żadnymi porachunkami hazardzistów ani lobbingiem.

Czekały dobre trzy minuty, zanim drzwi się otworzyły. Pani domu przywitała je w za dużym szlafroku i włosach niemytych od kilku dni. Zupełnie nie przejmując się tym faktem ani nie dopytując o szczegóły ich wizyty, podreptała do salonu, gdzie wszystkie meble pokryte były dokumentami, zdjęciami i różnego rodzaju pamiątkami rodzinnymi.

– Gotuję – oznajmiła, wprawiając kobiety w zdziwienie.

– Chciałybyśmy porozmawiać o pani mężu i synu – zaczęła Zofia Grzelczyk i usiadła na jednym z krzeseł. Czerwińska stanęła obok, czekając na reakcję pani domu.

– Kajetan wyjechał – odpowiedziała Magda Pellowska, cały czas przeglądając dokumenty. – Z tego, co mówiła mi ta jego dziewczyna, chyba Ewa, taka modelka, to wybierają się na tydzień do Chorwacji. A może Grecji? Nie pamiętam.

– A mąż? – spytała Dorota, obserwując kobietę. Ta sprawiała wrażenie niezmiernie wyluzowanej. Chodziła od jednego do drugiego miejsca, przekładała dokumenty. Niektóre wyjmowała z kopert, inne wkładała. – Poszedł do sklepu? – rzuciła od czapy.

– Tak, do sklepu. Umówił się z Tadeuszem na ryby, więc potrzebuje czegoś na przynętę. Jutro mają jechać.

W tym momencie policjantka przeprosiła i na chwilę wyszła z pomieszczenia. Wróciła po trzech minutach i porozumiewawczo kiwnęła głową do partnerki.

– Dawno temu mąż wyszedł? – usłyszała pytanie koleżanki, która kontynuowała rozmowę.

– Nie wiem, jakieś dwie godziny temu. – Kobieta cały czas nie odrywała się od pracy.

– Pani Magdo, czy jest ktoś, kto mógłby się panią zająć?

– Mną? – Odwróciła się w stronę pytającej Doroty Czerwińskiej i zmierzyła ją wzrokiem, jakby dopiero teraz zanotowała jej obecność w swoim domu.

– Tak, panią.

– No tak, Kajetan, mój syn, on jest politykiem. Pewnie panie o nim słyszały! – Mówiła donośnym głosem, nerwowo machając rękoma. – No i mąż, jak wróci, to też może mi pomóc. Tylko w czym? Ja sobie ze wszystkim dam radę. Nikogo nie potrzebuję. Ja się wszystkim zajmę. To ja jestem tutaj... – Nagle urwała, spojrzała na Zofię Grzelczyk i krzyknęła: – Wynoś się stąd!! Jesteś złodziejem, wezwę policję!

– Pani Magdo, proszę się uspokoić. Nazywam się Zofia Grzelczyk, pracuję w policji, to moja koleżanka, Dorota Czerwińska. Rozmawiałyśmy z panią kilka dni temu. Ostatnio miała pani wiele stresów i może czuć się skołowana. To zdecydowanie za dużo jak na jednego człowieka.

Policjantka podeszła bliżej kobiety, której twarz momentalnie się zmieniła. Agresję, która jeszcze chwilę temu na niej gościła, zasta-

piła bezradność i dezorientacja.

– Gdzie ja jestem? – powiedziała Pellowska cichym głosem, a część jej twarzy wykrzywiła się w dziwnym grymasie, którego druga nie była w stanie powtórzyć.

– Proszę usiąść – zaproponowała Dorota Czerwińska i zdjęła z najbliższego krzesła stertę piętrzących się na nim papierów. – Niedługo podjedzie karetka i zabierze panią do szpitala na badania.

– Do szpitala? Ale ja nie potrzebuję. Muszę poczekać na Grzegorza. On nie lubi wracać do pustego domu. Jest potem zły. To znaczy smutny.

– Proszę się nie martwić o męża, my się nim zajmiemy. Teraz najważniejsze jest to, aby o panią ktoś zadbał.

– Ale ja się czuję dobrze. Nic mi nie jest. To jakiś absurd. Ja nigdzie nie pojedę.

– Pani Magdo, czy pamięta pani naszą ostatnią wizytę? – spytała Dorota, przechylając głowę.

– Wizytę? – Kobieta popatrzyła na nie, kręcąc przecząco głową. – Nie, przecież widzimy się pierwszy raz. Ja wczoraj wróciłam z wyjazdu.

– Aha, a gdzie pani była?

– No... w... chyba... – Próbowwała sobie przypomnieć, ale nie była w stanie. Jej mózg podpowiadał jej obrazy, które nie były zgodne z prawdą.

W końcu po dwudziestu minutach podjechała na sygnale karetka. Wyskoczyło z niej dwóch funkcjonariuszy, do których natychmiast wyszła Czerwińska.

– Niestety prawdopodobnie mamy do czynienia z udarem. Jest skołowana, a część twarzy zachowuje się zupełnie inaczej niż reszta

– szepnęła do jednego z medyków, tak aby pani Pellowska nie usłyszała.

Mężczyźni po długich namowach w końcu wyprowadzili kobietę i odjechali do szpitala.

– Nie wytrzymała. Zresztą chyba nikt by nie dał rady... – powiedziała Dorota i opadła bez sił na kanapę.

Ostatnio mało spała, choć nie za sprawą Mikołaja, ale Marka, który coraz częściej u nich nocował i nie pozwalał jej zmrużyć oka. Cieszyła się z tego, bo brakowało jej bliskości, ale któraś z rzędu noc z deficytem snu zaczęła odbijać się na jej samopoczuciu.

– To jest straszne – zaczęła Grzelczyk. – Patrzysz na takich ludzi w gazetach czy telewizji i myślisz sobie, że tacy to mają życie. Mieszkają w pięknych domach. Ubierają się w najlepszych butikach. Żyją jak królowie. A gdy dochodzi do takiej tragedii, okazuje się, że tak naprawdę te pieniądze nic im nie dały, a może wręcz przyczyniły się do tego, że stracili najważniejsze. Życie.

– Smutne – skomentowała Czerwińska i podniosła się ospale. Z kuchni zaczął dolatywać do ich nozdrzy zapach spalenizny. – Jezu, myślałam, że to, co mówiła o gotowaniu, to kolejny wymysł, jak to, że jej mąż poszedł do sklepu.

Nie czekając na reakcję koleżanki, Dorota pobiegła do kuchni i zaczęła szukać źródła smrodu. Na kuchence nic nie stało, więc rozejrzała się za piekarnikiem. Zlokalizowała go pod mikrofalą. W środku znalazła dwa małe kawałki kurczaka, które wyglądały jak węgielki. Skręciła piekarnik ustawiony przez panią Pellowską na najwyższą możliwą temperaturę, dwieście osiemdziesiąt stopni, i otworzyła go na oścież. Już miała wrócić do koleżanki, gdy na blacie kuchennym dostrzegła jakiś list.

Wzięła go do ręki i zdębiała.

– Zośka! – krzyknęła i ruszyła w jej stronę. – Chyba coś znalazłam.

– A co to niby? – spytała i stanęła obok.

– Wygląda jak list pożegnalny.

Po chwili obie wczytywały się w napisany eleganckim, choć nieco nierównym pismem tekst – wyglądał tak, jakby pisząca go ręka trzęsła się.

*Kochana moja Madziu,
od kiedy Cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś miłością
mojego życia.*

*Chciałem być z Tobą. Mieć dzieci, opiekować się
Wami. Chciałem, żebyś przy mnie czuła się bezpieczna.
Chciałem, żebyś mi ufała i żebyśmy się zestarzelili wspól-
nie, patrząc na nasze wnuki.*

*Jednak życie nie jest takie łatwe. Wiem, że mogłem
być lepszym ojcem, lepszym mężem. Jest wiele rzeczy,
za które powinienem Cię przeprosić.*

*Wiem, że powinienem być twardszy i się nie dać.
Wiem, że nie powinienem ulegać, nawet nie pokusie,
ale przyziemnym żądzom. Od razu wiedziałem, że to
nas zniszczy. Że to prędzej czy później wyjdzie na jaw
i zabije naszą rodzinę.*

*Byłem taki głupi, że wierzyłem, że będzie inaczej. Ka-
jetan wszystko odkrył. Nie wiem, jak to się stało, ale
miał moje zdjęcia.*

Pytałaś mnie kiedyś, tak niby żartem, czy coś łączy mnie z Tadeuszem. Odparłem, że nie. Że zwariowałaś. Takie rzeczy w wojsku nie mają prawa się dziać. To jakieś patole bzykają się z facetami.

Wstydzilem się.

Tak cholernie się wstydzilem.

Kochałem go.

Przepraszam.

Ty zawsze byłaś najważniejsza, ale nagle okazało się, że mogę mieć w sercu jeszcze kogoś. Jaki ja byłem głupi, sądząc, że to się nie wyda...

Boże, co ja zrobiłem...

Umówilem się z Kajetanem. Chciał pogadać, ale swoim zwyczajem przyszedłem wcześniej. Powiedział, żebym poczekał, a sam poszedł do wanny, bo był po bieganiu.

Usiadłem w salonie i czekałem. Wtedy nie wiedziałem, o czym chce gadać. Był dość poważny, trochę jak nie on.

Zrobiłem sobie herbatę i przypadkiem przewróciłem dzbanek z wodą. Nigdzie nie znalazłem ścierki, więc zacząłem otwierać szuflady.

Miał zdjęcie. Moje i Tadeusza. Nie wiem skąd. Tylko raz pozwoliliśmy sobie na chwilę słabości. Od razu wie-

działem, co on chce z tym zrobić. Wyjawić prawdę.

Zawsze mówił, że zamiatane pod dywan gówna wypłyną. Podziwiałem go za to. Nikogo nie chciał oszukiwać. Wciskać kłamstw.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Wszedłem do łazienki.

Cicho.

Boże, co ja zrobiłem...

Kochałem go.

Był częścią mnie.

Ale nie mogłem pozwolić, by świat z Ciebie drwił, wytykał palcem.

Za bardzo Cię kochałem.

Zrobiłem to dla Ciebie.

Wierzgał. Próbował się wyswobodzić, ale zawsze byłem od niego silniejszy.

Patrzyłem, jak próbuje łapać oddech, krzyczał coś.

Łzy płynęły mi po polikach.

W końcu przestał.

Leżał pod wodą, a ja patrzyłem na moje ukochane, jedyne dziecko, które zapłaciło za moje grzechy.

Jezu, jak mogłem na to pozwolić...

Wypuściłem wodę, leżał taki bezbronny w wannie. Nie ruszał się.

*To był koniec. Jego. Mój.
Miałem nadzieję, że zdarzy się cud i on nagle wsta-
nie, ale nie.
Wyciągnąłem go, wysuszyłem, ubrałem i zawiozłem
nad Wisłę.
Nie chciałem, żeby Ewa go tak znalazła.
Wrzuciłem do rzeki, tam, gdzie lata temu jeździliśmy
na ryby, gdy nie mieliśmy czasu na wypad na Mazury.
Odplynął. Nie wiem, na co liczyłem.
Że da mi to ulgę?
Że wszyscy będą żyli zdrowi i szczęśliwi?
ZABIŁEM WŁASNEGO SYNA!!!
Nie mogę tak żyć.
Jesteś i byłaś moją największą miłością.
Nigdy mi nie wybaczysz, dlatego nie mogę dłużej żyć.
Przepraszam, zachowałem się jak tchórz.
Twój na zawsze
Grzegorz*

Policjantki patrzyły na siebie, nie mogąc znaleźć słów. W końcu jako pierwsza odezwała się Zofia Grzelczyk:

– On zabił własnego syna i popełnił samobójstwo. To dlatego pani Pellowska dostała udaru. Trzecia ofiara. Masakra.

– A najgorsze w tym jest to, że nie wydaje mi się, że Kajetan Pellowski chciał opowiedzieć światu o swoim ojcu. Nie miał w tym żad-

nego interesu, no i wiedział o tym od dawna. On robił wszystko, aby ich ochronić, a nie narażać na kolejne problemy.

Rozdział 54

– Imię i nazwisko? – spytał policjant, którego Dorota jeszcze nigdy nie widziała.

Na obrazie z rzutnika, który obserwowano kilkunastu funkcjonariuszy, w tym Grzelczyk i Czerwińska, mieli dwa ujęcia. Jedno pokazywało prowadzącego przesłuchanie, a drugie – przepytывanego oraz siedzącego obok niego obrońcę ubranego w elegancki garnitur.

– Arkadiusz Konieczny – odpowiedział cicho mężczyzna, a wszyscy zgromadzeni w sali zaczęli się rozglądać po sobie nawzajem. Każdy wiedział, że już słyszał to nazwisko, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Obraz się zatrzymał.

– Tak ma na nazwisko jeden z chłopaków. Nie ten z niebieskimi włosami, tylko ten, co studiuje prawo, brunet – powiedział funkcjonariusz Gabriel Niewiadomski. To on dwa dni wcześniej opowiadał im o poszczególnych uczestnikach tej chorej gry, która zawładnęła internetem. Teraz ponownie stał przy laptopie i był ich przewodnikiem. Kliknął „play”, a wszyscy umilkli, bojąc się przegapić chociażby mruknięcie przesłuchiwanego.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty siódmy sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, Wilkowo pod Olsztynkiem.

– Czym się pan zajmuje?

– Pracuję na co dzień w magazynie w Londynie.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna ani razu nie podniósł wzroku na przesłuchującego go policjanta. Patrzył gdzieś w błąd lub na swoje ręce, które leżały przed nim spięte kajdankami. Dla bezpieczeństwa funkcjonariusza przypięto je również do stołu, aby nie mógł rzucić się na niego w dowolnym momencie i zrobić mu krzywdy.

– Czy to pan w dniu dwudziestego drugiego stycznia prowadził samochód marki Land Rover Defender, który wjechał w ludzi stojących na przejściu dla pieszych przed Złotymi Tarasami?

– Aha – wyszeptał.

– Może pan powiedzieć głośniej? – powiedział policjant.

Choć z jego ust płynął miły głos, to jednak wyraz jego twarzy świadczył o wielkim napięciu, jakby toczył wewnętrzną walkę. Przed nim siedział wielokrotny morderca, który zachowywał się tak, jakby chciał się schować w jakiejś skorupie. Pomimo wielkiego opatrunku na lewym barku jego głowa zapadła się między ramiona, a plecy tak zgarbiły, jakby jego kręgosłup nagle stał się bardziej elastyczny, niż powinien.

– Tak – odpowiedział mężczyzna i pierwszy raz podniósł wzrok znad blatu.

Dopiero teraz Dorota dostrzegła jego podobieństwo do brata. Arkadiusz Konieczny, podobnie jak Gustaw, miał elektryzujące spojrzenie, którym zapewne na co dzień przyciągał niejedną damski wzrok. Ciemna oprawa oczu, sporych rozmiarów usta i proporcjonalny nos jeszcze bardziej dodawały mu uroku. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Wszyscy zebrani na sali, łącznie z kobietami, patrząc na niego, widzieli tylko mordercę.

– Proszę opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

Policjant delikatnie się uśmiechnął, wprawiając tym przesłuchiwane w zdumienie. Ten spojrzał pytająco na swojego obrońcę.

– Powiedz to, co opowiedziałeś mi – szepnął.

Arkadiusz Konieczny ponownie spuścił wzrok. Cisza panująca na sali robiła się coraz bardziej denerwująca, gdy w końcu zaczął mówić:

– Mój brat zniknął. Wyłączył telefon. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Gustaw ma wiele za uszami, ale obiecał mi, że nie wpakuje się w żadne gówno i będziemy w stałym kontakcie. Gdy zniknął, przestraszyłem się nie na żarty. I tak miałem w planach przyjazd do Polski, więc przebukowałem bilety na wcześniejszy termin. Gdy wylądowałem, kolega, z którym chodziłem do szkoły średniej, przesłał mi jakiś dziwny filmik. Gustaw raził na nim prądem dziewczynę. Na początku myślałem, że to jego kolejny szalony pomysł, ale gdy obejrzałem wszystko, okazało się, że to część jakiegoś chorego projektu. Nie mogłem w to uwierzyć. Brat przez lata wiele się nacierpiał... – Mężczyzna zrobił przerwę i otarł spływającą łzę ramieniem, ponieważ nie sięgał do twarzy przykutymi do blatu dłońmi. – Kocham naszą mamę miłością bezgraniczną. Wiem, że chciała dla niego dobrze, ale zrobiła z niego świnkę. Ja od urodzenia byłem większy, więc miałem lepiej. Ale jego futrowała żarciem jak prosiaka przed wysłaniem na rzeź. Efektów łatwo się domyśleć. Dzieciaki wyśmiewały się z niego na każdym kroku. Nie zapomnę, jak pewnego dnia przyszedł zapłakany ze szkoły. Jego kolega miał zrobić prezentację o rolnictwie w Polsce i zrobił ją na przykładzie Gucia. Wszystko było w tonie: „W Polsce jest X tysięcy takich jak Gustaw Konieczny, czyli świń. Gustawy jedzą paszę, ziemniaki pastewne i buraki cukrowe...” i takie tam bzdety. Młody przez dwa tygodnie nie pojawił się w szkole. Sie-

dział w swoim pokoju i nie chciał wychodzić, więc wkroczyłem. Przekonałem go w końcu, że musi im pokazać, nie poddawać się, bo debile są wszędzie. Poszedłem z nim. Pokazał mi tego chłopca, który przygotował prezentację. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata, a oni po trzynaście, więc wyglądał przy mnie niczym krasnoludek. Stałem przed nim i powiedziałem, że wiem, gdzie mieszka, co nie było prawdą, i postraszyłem go. Sytuacja nigdy się nie powtórzyła.

– Przepraszam, może pan skupić się na wydarzeniu, o które pytałem? – rzucił poirytowany policjant.

– Tak. Przyjechałem do Polski. Matka się ucieszyła. Nic nie wiedziała o programie ani, co smutne, o zniknięciu syna. Nie powiedziałem jej, jaka jest przyczyna mojej wizyty. Nie siedziałem bezczynnie. Zacząłem od przeszukania rzeczy młodego i trochę znalazłem.

W tym momencie siedzący obok mężczyzna zaczął wyjmować kartki, które zostały zabezpieczone w woreczkach strunowych. Gabriel Niewiadomski nacisnął „stop” i obraz na ekranie zatrzymał się na dokumentach w rękach obrońcy.

– Pokażę wam treść dwóch listów i wydruku, który nam przekazał.

Na ekranie pojawił się pierwszy list:

Internet czeka na Ciebie.

**Nie daj się prosić i dołącz do grona takich jak Ty.
Ludzi z fantazją i finezją, którzy chcą podbić świat.
Wrzuć na swój Instagram zdjęcie i koniecznie użyj
hasztagu #BawSieJakNigdy!**

Gdy to zrobisz, bądź czujny. Niebawem dostaniesz kolejną wiadomość.

PS: Nie informuj nikogo o tym liście. To super-tajny projekt tylko dla wybranych.

Po chwili wyświetlono treść kolejnej wiadomości:

Masz w sobie to coś, co pokocha świat.

Jesteś gotowy na przygodę?

Jesteś gotowy na wyzwania?

Jesteś gotowy, by zmienić swoje życie nie do poznania?

Czas zacząć zabawę.

Wejdź na stronę BawSieJakNigdy.pl i dołącz do rozgrywki.

– Dodatkowo dostaliśmy jeszcze wydrukowaną na domowej drukarce kartkę, z dopisanym numerem telefonu pod spodem. Niestety telefon nie działa, jest wyłączony i został kupiony dawno temu, przed wprowadzeniem przepisów wymuszających rejestrację, więc nic nam to nie da.

1. Zero telefonów. Pokaż nam, że potrafisz odnaleźć się również w realu. Ale nie martw się, na miejscu dostaniesz odpowiedni sprzęt, za pomocą którego będziesz mógł się wyrazić.

2. Zero kontaktów z bliskimi podczas trwania programu.

3. Nikt nie wie o wyjeździe. Wznieś się na wyżyny kreatywności i wytłumacz bliskim dwutygodniową nieobecność. To również zostanie ocenione.

4. I najważniejsze. Nie hamuj się. Tylko ludzie z jajami mają szansę na sukces.

Policjant wrzucił na ekran ponownie obraz z kamer i nacisnął „play”, a z głośników popłynął drżący głos Arkadiusza Koniecznego:

– Zacząłem się bać. To nie wyglądało normalnie. A najgorsze było to, że zupełnie nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Z jednej strony martwiłem się o brata, z drugiej nie chciałem zrobić mu przypału. Gdyby okazało się, że wziął udział w jakimś chorym programie, ale nie niebezpiecznym, a to rażenie prądem było tylko elementem aktorskiej gry, a ja wpadłbym tam z ekipą umundurowanych policjantów, nie odezwałby się do mnie do końca życia. Ale wtedy zdarzyło się coś strasznego. To ja dostałem wiadomość. – Mężczyzna spojrzął na siedzącego bez ruchu adwokata i widząc jego kiwnięcie głową, mówił dalej: – W pierwszym momencie pomyślałem, że to jakiś ekstremalnie chory żart. Takie rzeczy nie zdarzają się w życiu normalnych ludzi, a za takiego zawsze się uważałem. On... Jezu, co ja zrobiłem... – Arkadiusz Konieczny zamknął oczy i zaczął rytmicznie bujać się w przód i w tył.

– Proszę powiedzieć, co pan dostał – zachęcił policjant, cały czas nie odrywając wzroku od przesłuchiwanego.

– Ja... On... W sumie to nie wiem... – Mężczyzna kręcił przecząco głową. W końcu otworzył oczy. – Ktoś chciał, abym wjechał w tych ludzi.

W tym momencie po sali, na której siedziały Dorota Czerwińska oraz Zofia Grzelczyk, przeszedł pomruk niedowierzania.

– Dostałem bardzo dokładną instrukcję. Na parkingu przed deca-
thlonem w Piasecznie czekał na mnie samochód. W lewym tylnym nadkolu ktoś przyczepił taśmą klejącą kluczyk. Samochód zatankowano do pełna, mogłem uciec furą wartą kilkaset tysięcy, ale ten pojeb wiedział, że tego nie zrobię. Wiedział, że jako starszy brat zrobię wszystko, aby młodemu nie stała się krzywda. A tym mi grożono. – Mężczyzna spojrział na funkcjonariusza. – Oni chcieli go zabić. W wiadomości napisali, że jeżeli tego nie zrobię, już nigdy go nie spotkam. Na dowód przesłali mi zdjęcie martwej dziewczyny, której rodzice podobno nie zareagowali na czas na taką wiadomość.

Siedzący obok adwokat ponownie sięgnął do teczek. Chwilę pogrzebał w niej i wyciągnął wydrukowaną w formacie A4 fotografię.

– To Patrycja Wilska – szepnęła Dorota Czerwińska do koleżanki.
– Gabriel miał rację, dorzucając ją do grona zaginionych.

– Przestraszyłem się nie na żarty – kontynuował przesłuchiwany.
– Ktoś miał nieźle popieprzone we łbie i nie wiedziałem, co zrobić. Gdybym poszedł do was, Gucio pewnie by już nie żył, ale kilka osób tak... Ja nie chciałem... Miałem ich nastraszyć. Boże! – Mężczyzna krzyknął tak nagle, że siedzący obok obrońca aż podskoczył. – Pojechałem tam, dokąd miałem. Panował spory ruch. Najbardziej się bałem, że nie będę mógł wjechać na to przejście. Dobrze wiedziałem, jak ono wygląda. Wielokrotnie przez nie przechodziłem. Skręciłem w prawo z Alei Jerozolimskich od strony Marszałkowskiej. Przed

mną wolno jechał mały elektryk, taki dwuosobowy. Gustaw zawsze się zastanawiał, jak byśmy wyglądali w nim we dwójkę i czy w ogóle byśmy wsiedli. – Konieczny zaśmiał się, jakby zapomniał, że zaraz jego opowieść będzie miała niezwykle tragiczny finał. – Ustawiłem się na lewym pasie. Byłem trzeci czy czwarty przed światłami. Zmieniły się na zielone. Ja naprawdę nie chciałem. Powoli się zbliżałem. Serce chciało mi wyskoczyć. Oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas. Byłem już na wysokości pasów, dałem lekko kierownicę w lewo i... spróbowałem wyprostować. W ostatnim momencie doszło do mnie, że nie dam rady, ale kierownica już mnie nie słuchała. Nie mogłem nic z nią zrobić. Ona kręciła się dalej, a samochód zaczął sam wykonywać manewr i jednocześnie przyspieszać. Widziałem tych ludzi. Ich przerażone miny. Zza szyby dobiegały mnie rozdzierające krzyki, ale ja nic nie mogłem zrobić. Szarpałem się z kierownicą, ale ona nawet nie drgnęła. Chciałem się odpiąć, ale nie mogłem. Pasy ścisnęły mnie jeszcze bardziej. Miałem wrażenie, że zgniatały mi wnętrzności. I nagle wszystko stanęło. Usłyszałem wystrzał. Ból przeszył mi ramię i ku mojej uldze szybko odpłynąłem.

Gabriel Niewiadomski ponownie zastopował.

– Jakkolwiek niewiarygodnie brzmi to zeznanie, w większości to, co powiedział, zostało potwierdzone przez techników. Faktycznie samochód był sterowany i jest wielce prawdopodobne, że zatrzymany nic nie mógł zrobić. Na nagraniach z kamer widać, jak mężczyzna szarpie się z kierownicą, a mając poczucie, że nic nie zdziała, zamyka oczy. Dojście do tego, kto to za tym stoi, podobno będzie niezwykle trudne, ale trzeba wierzyć, że nasi specjaliści dadzą radę.

Rozdział 55

Wiedziała, że nie powinna, ale musiała. Ucałowała Mikołaja w czoło, a na ustach Marka złożyła namiętny pocałunek i zapięła kurtkę.

To był jej pierwszy wyjazd od narodzin syna, jednak wiedziała, że musi. Rano zadzwonił do niej Marcin i powiedział, że Kasia wylądowała w szpitalu. Niby mówił, że wszystko w porządku, ale Dorota dobrze wiedziała, że ludzie z błahych powodów tam nie trafiają. Gdy przyjaciółka nie odebrała, podjęła jedyną w jej mniemaniu słuszną decyzję. Musiała pojechać do poznańskiego szpitala.

Gdy dotarła na miejsce, dochodziła dwunasta. Niczym złodziej na robocie wślizgnęła się na korytarz, licząc, że nikt jej nie zauważy. Dobrze wiedziała, jak panujący od niedawna COVID zmienił zasady odwiedzin. Najchętniej zamknięto by dla odwiedzających wszystkie oddziały, izolując pacjentów od reszty świata.

Popchnęła drzwi z plakietką z numerem 12 i weszła.

– Co tu, do licha, robisz? – usłyszała piskliwy krzyk leżącej na szpitalnym łóżku przyjaciółki.

– Cicho! – syknęła, przykładając palec do ust. – Ja tu pełną konspirację uskuteczniłam, a ty mnie tak witasz? Chcesz, żeby zaraz wpadła gruba piguła i za włosy mnie wyrzuciła? Tego naprawdę chcesz? – Z uśmiechem na twarzy podeszła do odzianej w szpitalną piżamę przyjaciółki i objęła ją delikatnie, jakby ta za chwilę miała się rozpaść.

– Oczywiście. Wcale się nie cieszę, że mnie odwiedziłaś. Szczególnie że jak tylko wyjdiesz, zastrzelę mojego narzeczonego, który wielokrotnie zapewniał, że na razie nie powie nikomu o moim pobycie tutaj.

– Ale on nic mi nie powiedział. Ja mam swoje moce i wywróżyłam z fusów, że cię tu znajdę.

– A tak szczerze mówiąc, to fajnie cię widzieć, chociaż wolałabym siedzieć na kanapie u mnie. – Kasia zmusiła się do uśmiechu i poprawiła kołdrę.

– No tak. Lepiej powiedz jak na spowiedzi, co się dzieje. Zdenerwowałam się trochę.

– I właśnie o to mi chodziło. Nie chciałam, żebyś się niepotrzebnie stresowała. Lekarz na razie nie wie, co się dokładnie dzieje. Maluchy rosły prawidłowo, ale podczas przedwczorajskich badań lekarkę trochę przestraszył fakt, że ten przyrost nie jest już taki super. Nie chciała mnie denerwować, ale na wszelki wypadek wysłała tutaj. Oni co chwilę powtarzają, że przy ciąży mnogiej, i do tego geriatrycznej...

– Jakiej? – wtrąciła zdziwiona Dorota i usiadła na krześle, które nie wyglądało na zbyt stabilne.

– Mam już powyżej trzydziestu pięciu lat, więc, moja droga, moja ciąża jest uznawana za geriatryczną.

– Ty tak serio?

– Ja bym to nazwała ciążą osoby dojrzałej, ale profesjonalne nazewnictwo jest inne.

– Matko, „geriatria”, obok „macochy” i „konkubenta”, to jedno z najobrzydliwszych słów, jakie wymyślono. Jak ktoś mówi „mój konkubent”, wiem, że nie kocha swojego partnera. Dziecko, które mówi

o partnerce taty „macocha”, nie darzy jej pozytywnymi uczuciami. A „ciąża geriatryczna” brzmi tak, jakbyś miała urodzić babuleńkę i dziadziusia. – Czerwińska zaśmiała się na głos, a wraz z nią Kasia.

– Fajnie, że wpadłaś. Brakuje mi ciebie. Niby wszystko idzie super, ale tak pusto, gdy ty jesteś w tej stolicy.

– Wiem. Ja też jakoś miewam słabsze momenty. Tęsknię za tobą, za Tymkiem... Boże, miałam do niego zadzwonić, a zawsze coś wypada...

– U niego w porządku. Odwiedził mnie kilka dni temu. I też zganił się, że nie zadzwonił do ciebie. Nie wiem, czy wiesz, ale telefony działają w dwie strony.

– Wiem, ale jakoś przez to, że to ja wyjechałam, czuję się bardziej w obowiązku, żeby dzwonić.

– Przestań – powiedziała z uśmiechem na twarzy i pogłaskała się po sporych rozmiarów brzuchu. – Z tego, co widziałam, to macie niezły młyn w stolicy. Jak przeczytałam o tym, co się stało przy centrum handlowym, to zamarłam. Moje dzieci w tym czasie wybrały się z moją mamą do kina. Przecież równie dobrze coś takiego mogło się wydarzyć w Poznaniu. Co trzeba mieć w głowie, żeby zabić tyle bezbronnych ludzi? To powinno być zakwalifikowane jako atak terrorystyczny.

Dorota Czerwińska patrzyła na przyjaciółkę, nie wiedząc, jak skomentować jej wypowiedź. Dobrze wiedziała, że nie powinna zdradzać jakichkolwiek szczegółów sprawy, zwłaszcza że część z nich jeszcze nie wypłynęła i nikt poza funkcjonariuszami będącymi na specjalnym spotkaniu o tym nie wiedział. Wiedziała też jednak, że Kasia dobrze zna panujące zasady i nikomu nie powie ani słowa. No i była jeszcze jedna kwestia, chociaż w tej sprawie wydawała się

mało prawdopodobna. Czasami spojrzenie z innej perspektywy wносиło do sprawy coś nowego.

Parę lat temu po Suchodole grasował złodziej, z reguły robił to w weekendy. Sprawa ciągnęła się już kilka tygodni. Dorota dobrze pamiętała, jak zrezygnowana wpadła do przyjaciółki i po którymś kieliszku wina opowiedziała szczegóły sprawy. I wtedy Kasia ku jej zaskoczeniu rzuciła zupełnie luźny pomysł, że może to ktoś przyjezdny, kto tylko w ten konkretny dzień jest w okolicy.

– To nie był atak terrorystyczny – zaczęła, a na twarzy Kasi pojawiło się zdziwienie. Zmrużyła oczy i swoim zwyczajem wydeła usta.

– Okej, może to nie kwalifikuje się jako atak, ale... – Widząc przeczący ruch głowy przyjaciółki zamilkła.

– Ten facet tego nie chciał – wyszeptała Dorota. Były w sali same, a mimo to obawiała się mówić głośniej. Dobrze wiedziała, że wydarzenia ze stolicy stanowiły jeden z głównych tematów rozmów. Dokładnie tak samo, jak gdy samoloty pasażerskie atakowały World Trade Center albo gdy rozbiła się maszyna z parą prezydencką. Oba te wydarzenia były tak abstrakcyjne, że wstrząsnęły światem i nikt nie mógł przejść obok nich obojętnie.

– Co? – skomentowała zdziwiona kobieta. Obróciła się na łóżku, spuściła nogi i powoli zaczęła wstawać. – Dupa mi się spłaszczyła. Lekarz pozwolił mi czasami przejść się po sali, więc czas na spacer. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki i powoli zaczęła chodzić po niewielkim pomieszczeniu, tak typowym dla szpitalnego budynku. – Powiedz jeszcze raz, bo ja chyba przez ten brzuch mam ucisk na mózg i czegoś nie rozumiałam. Co to znaczy, że on tego nie chciał?

– Został zmuszony – odpowiedziała ze słyszalnym w głosie smutkiem. – Słyszałaś albo widziałaś fragmenty tego dziwnego programu?

Z tymi dzieciakami?

– Pewnie, nie mówiłam ci, ale ja już wcześniej poznałam tego Kacpra, tego blondyna. – Ostatnią część zdania powiedziała z lekką odrazą.

– Co? Ale skąd?

– To zdarzyło się trzy miesiące temu. Marcin ma młodszego rodzeństwo, brata Wiktora i siostrę Alinę. Są dużo młodsi, dlatego cały czas mieszkają z rodzicami. Generalnie fajne dzieciaki, ale jak to w tych czasach, sporą część życia spędzają w sieci. I parę miesięcy temu młoda nagle zaczęła się dziwnie zachowywać. Nigdy nie sprawiała kłopotów, taki typ przeciętniaka, a tu nagle zamknęła się w pokoju. Przestała wychodzić na zajęcia, nie odbierała telefonów od koleżanek. Rodzicom powiedziała, że się źle czuje. I może dłużej utrzymałaby całość w tajemnicy, gdyby nie jakaś mądra koleżanka, która pewnego dnia postanowiła przyjść do ich domu. Akurat Marcin wpadł w odwiedziny, więc on z nią pogadał. Okazało się, że jakiś chłopak nakręcił skecz z udziałem Aliny, oczywiście bez jej wiedzy i zgody. Oglądałam to, okropny... – Kobieta podeszła do okna i zapatrzyła się na przejeżdżające na zewnątrz samochody. – Nie wiem, jak ludzie ludziom mogą robić coś takiego. Tytuł tego nagrania brzmiał: „Z pamiętnika brzydkiej dziewczyny”. Pokazywał jej dzień, oczywiście z podłożonym głosem chłopaka udającego dziewczynę. Sceny prezentowane w nim nie należały do najmiłszych. Typu że je śniadanie z koryta. Wszędzie powklejał jej twarz lub pokazywał ją w życiowych sytuacjach. Wszystko było okrutne, ale chyba najgorsze znajdowało się na końcu. Zamieścił tam ankietę z pytaniem: „Co powinno się robić z brzydkimi dziewczynami?”. I wyobraź sobie, że ludzie odpowiadali. Alina się załamała. Nie chciała z nikim rozmawiać.

W końcu rodzice wpadli na dobry pomysł, zadzwonili do znajomej, która jest psychologiem. Spędziła u nich cały dzień. Dziewczyna na początku milczała jak grób. Podobno dopiero po jakiejś godzinie zaczęła odpowiadać półsłówkami. Ten gość doprowadził ją do masakra krycznego stanu. Aktualnie chodzi dwa razy w tygodniu na terapię. Ale powiem ci, że nie wyglądało to dobrze. Podobno cały czas obserwuje, co się wokół niej dzieje i czy jej ktoś nie nagrywa.

– Jezu, nie mówiłaś mi o tym.

– Miałaś swoje sprawy na głowie, nie chciałam ci dorzucać moich problemów.

– Nie mów tak. – Dorota podeszła do przyjaciółki i pogłaskała ją po ramieniu. – Coś udało wam się zdziałać w tej sprawie? Jakby coś, mogę pomóc.

– Marcin wkurzył się okrutnie. Wynajął prawnika, ale okazało się, że niewiele może zrobić. Wniósł sprawę o zniesławienie, ale co to da, nawet jak wygrają. Chłopak dalej robi swoje, niszcząc życie i zdrowie psychiczne zupełnie niewinnych osób.

– Koszmar.

– Delikatnie mówiąc, ale odplynęliśmy od tematu. Wyjaśnij mi, dlaczego wspomniałaś o tym programie.

– To jest akcja trochę jak z filmów z Bondem. Gość dostał list. Myślał, że ma nastraszyć ludzi i tyle. Grożono, że jeżeli tego nie zrobi, coś stanie się jego bratu. On bierze udział w tym durnym programie.

– Serio? To się łączy? – Ciężarna podeszła do szpitalnego łóżka i usiadła na nim. – W sumie to zaczyna mieć sens. Ktoś jest ostro popieprzony i mści się na ludziach. Może ten cały Kacper zniszczył życie też innym.

– Tylko to nie brat Kacpra zabił tych ludzi.

– To kto?

– Brat tego drugiego chłopaka, Gustawa. Przestraszył się nie na żarty. Nie mógł tego zgłosić, bo ktoś twierdził, że go obserwuje. Każda próba kontaktu z nami miała skończyć się śmiercią chłopaka. Podobno kiedyś obiecał mu, że się nim zaopiekuje. Nie dotrzymał słowa, wyjechał za granicę. Teraz chciał nadrobić, zrewanżować się. Miał nadzieję, że nikomu nic poważnego się nie stanie.

– Wjechał w tłum ludzi ze sporą prędkością! – pisnęła Kasia.

– Tak, ale nie miał kontroli nad samochodem, co potwierdzili już nasi technicy.

– Jak to możliwe?

– Są systemy umożliwiające zdalne przejmowanie kontroli nad autem. Tak też się stało w tym przypadku. Na nagraniach widać, jak facet szarpie się z kierownicą, próbuje skrócić, gdy samochód jedzie wprost na ludzi czekających na przejściu pod Żłotymi Tarasami.

– To jakiś koszmar – westchnęła ciężarna i pogłaskała się po brzuchu.

– Zdecydowanie – odpowiedziała Dorota Czerwińska. – Cała ta sprawa jest dla mnie nie do ogarnięcia umysłem. Ale dość tych smutków! – Zerwała się z parapetu, który zaczął robić się niewygodny. – Zgłodniałam. Przy wejściu widziałam żabkę, skoczę po coś do pochrupania i spróbuję wrócić niepostrzeżenie niczym Don Pedro, szpieg z Krainy Deszczowców. Kupić ci coś?

– Jakbyś mogła wodę niegazowaną, dwie duże butelki, i chrupki kukurydziane.

– Jeżeli coś jeszcze wymyślisz, dzwoń. Jestem za trzy minuty – powiedziała Dorota i cicho otworzyła drzwi.

Na korytarzu nikogo nie było, więc ruszyła do klatki schodowej, którą weszła. Nim zdążyła do niej dojść, drzwi sali, którą mijiała, zaczęły się otwierać. Przyspieszyła kroku w obawie, że to ktoś z personelu. Kątem oka dostrzegła zielony sweter, zupełnie niepasujący do lekarza czy pielęgniarki. Uśmiechnęła się do siebie, odwróciła głowę w jego kierunku i... zamarła.

To był Jakub. Serce zaczęło bić jej jak szalone.

– Cześć – wydukała, czując, jak jej ciało zaczyna dygotać.

– No cześć. – Zmierzył ją wzrokiem i stanął jak wryty.

– Miło cię widzieć – skłamała. Był ostatnią osobą, którą chciała spotkać. Unikała wizyt w Suchodole, aby przypadkiem na niego nie wpaść, a jej koszmar ziścił się w najmniej oczekiwanym miejscu.

– Ciebie również. Dobrze wyglądasz. – Uśmiechnął się, jednak w jego twarzy wyczytała smutek.

– Dzięki. A co ty...? – Urwała, bo od razu domyśliła się przyczyny wizyty na oddziale patologii ciąży. Kasia wspominała jej o jego nowej partnerce, zaręczynach, a obecność w tym miejscu mogła świadczyć o kolejnym etapie. O dziecku.

– Wiktoria jest... to znaczy była w ciąży – powiedział, a po jego poliku spłynęła łza.

W pierwszym momencie miała ochotę go przytulić, jednak zamiast tego powiedziała tylko:

– Tak mi przykro.

Postali jeszcze chwilę, rozmawiając lakonicznie, po czym wróciła do przyjaciółki, zupełnie zapominając o zakupach.

Rozdział 56

– Idziesz gdzieś? – krzyknęła Monika Aleksandrowicz, słysząc jakieś dźwięki w holu.

– Tak.

– A można wiedzieć gdzie?

– Nie – rzucił dwudziestotrzyletni Maksymilian, znany w sieci jako MaxiMaks. – Po co ci to?

– Możesz miliej? – odpowiedziała, odłożyła do zlewu obieranego ziemniaka i wyłoniła się z kuchni. – Rozmawialiśmy wczoraj na ten temat. Miałeś nadrobić zaległości na studiach. Wiem, że ostatnio nie było lekko, ale musisz zebrać się w sobie.

– Co ty chrzaniisz? Mam w dupie to wszystko...

– Nie mów tak! – krzyknęła. – Wiem, że masz wyrzuty sumienia i zżerają cię...

Chłopak zaśmiał się pogardliwie i schylił po buty.

– Dlaczego z uporem maniaka wmawiacie mi jakieś wyrzuty sumienia? Jeżeli ten chłopak był miękką pałą, to każda krytyka by go złamała. Ja nie miałem nic do tego – powiedział podniesionym głosem i wyprostował się.

– Jego ojciec twierdzi inaczej.

– Lepiej niech popatrzy na siebie. Ta cała rodzina to jakieś leszczę. Chłopaka pociąg przerobił na dżem, żonka skończyła w psychiatriku, a on teraz szuka winnych. Może molestował syna, a żony nie zaspakajał, i dlatego...

Nie skończył, bo na jego policzku wylądowała dłoń.

– Nie mów tak! – wysyczała, a jej twarz zrobiła się czerwona z gniewu. – Nie tak cię z ojcem wychowaliśmy.

– No właśnie. Wy mnie w ogóle nie wychowywaliście. Opiekunki, niania, babcia przez całe wakacje. To nie wychowanie, a psychologia.

Chwycił za kurtkę i wyszedł.

To było dwa tygodnie temu, a mimo upływu czasu Monika Aleksandrowicz nadal odtwarzała w głowie każdy szczegół ostatniej rozmowy z synem. Od tego czasu nie wiedzieli, co się z nim działo, gdzie przebywał. Sprawdzili wszystkie szpitale, policyjne areszty, izby wytrzeźwień. Bez efektów. Nie używał kart, a jego paszport leżał w sejfie w sypialni rodziców.

Przesłuchano nawet ojca, którego syn skoczył pod pociąg pośrednio pod wpływem wpisów Maksa, ale ten miał alibi. Przebywał w tym czasie niedaleko Przemyśla, wywiózł żonę do jakiegoś ośrodka w lesie.

Monika Aleksandrowicz traciła już nadzieję. Liczyła się z tym, że już nigdy nie zobaczy syna, gdy niespodziewanie dostała SMS z linkiem. Nie знаła numeru, z którego przyszedł. Już chciała go skasować, bo mąż wielokrotnie przestrzegał ją przed tego typu wiadomościami. Ludzie klikali w link, który niby miał prowadzić do płatności za gaz, a stanowił podpuchę i nagle z konta zniknęła spora sumka pieniędzy.

Jednak po chwili z tego samego numeru przyszła kolejna wiadomość o treści: „Pozdrowienia od Maksa”. Tylko tyle albo aż tyle wystarczyło, by pot zrosił jej plecy, a ręce zaczęły drżeć, a brzuch boleć.

Kliknęła, a po dwóch sekundach patrzyła na piątkę młodych ludzi, w tym na swojego syna. Nie wyglądał jak na co dzień. Długie blond włosy spięte miał w niedbały kucyk, a zazwyczaj magnetyzujące spojrzenie teraz zionęło pustką.

– Kojarzę cię – rzuciła brunetka o bardzo intensywnym makijażu, a na dole ekranu pokazało się jej imię, Klaudia. – Jesteś influencerem, tym od oceniania knajp, imprezowni?

Chłopak uśmiechnął się do niej i wypiął dumnie pierś. Matka pokręciła tylko smutno głową. Niezależnie od sytuacji udawał kogucika, który pręży się przed każdą napotkaną kurką. Wyczuwała, że stało się coś złego, ale jej syn i tak grał swoją rolę, którą wymyślił sobie kilka lat temu.

Dobrze pamiętała, jak się zachowywał, mając kilka, a nawet wczesne kilkanaście lat. Ludzie uwielbiali na niego patrzeć. Śliczny blondynek z oczami błękitnymi niczym woda na Karaibach. Długo nie mówił, co wprawiało rodziców w permanentny stan zdenerwowania. Gdy w końcu, mając cztery lata, zaczął się odzywać, z jego ust nie popłynęły normalne jak dla dziecka słowa. Zamiast odpowiadać „dzień dobry”, z uśmiechem na twarzy mówił „miło mi panią widzieć”. Jak coś przeszkrobał, przychodził ze zwieszoną głową, stawał przed nią i mówił: „Mamo, wiem, że cię zawiodłem, ale...”. Może nie byłoby to takie dziwne, gdyby nie fakt, że miał wtedy osiem lat.

Wszyscy się nim zachwycali i mówili, że w przyszłości zostanie mówcą lub politykiem, choć ona wraz z mężem liczyli na coś bardziej wyrafinowanego. Gdy jednak internet i wizja bycia popularnym w sieci wciągnęły go bez reszty, zweryfikowali swoje marzenia. Każdy normalny, według ich klasyfikacji, zawód byłby lepszy niż krytykowanie ludzi w sieci.

Zaczął się od tego, że pani na lekcjach polskiego kazała im napisać wypracowanie pod tytułem „Recenzja restauracji”. Wszyscy uczniowie grzecznie w domach siedzieli i pisali w swoich zeszytach – ale nie Maks. On postanowił się wyróżnić. Wyposażony w kamerę, którą dostał na komunię, poszedł do baru z kebabami. Najpierw nakręcił siebie przed budynkiem. Opowiedział o kuchni tureckiej, o tym, jakie dania serwują. W środku zamówił jedną z oferowanych potraw. To już kręcił z ukrycia. Trzymał kamerę pod pachą w płóciennej torbie. Po wyjściu ponownie w tym samym miejscu opowiedział o swoich kulinarnych doznaniach. Nie były najlepsze. Wypunktował wszystko: od smrodu zjełczanego oleju, przez tłuste mięso, które wyglądało bardziej jak bekon niż baranina, po koślawą polszczyznę pracowników. Mówił, że jeżeli chcą żyć i pracować w Polsce, to powinni nauczyć się języka.

W domu wrzucił materiał do pobranego z sieci programu do obróbki video. Stworzył z tego dość oryginalny film i udostępnił go na YouTube. Ludzie rzucili się na to jak hieny na padlinę. Pod filmem co kilka minut pojawiały się zachwyty nad jego elokwencją, naturalnością, a przede wszystkim jego młodym wiekiem. Miał wtedy zaledwie czternaście lat.

Teraz, dziewięć lat później, śmiało można było nazwać go gwiazdą internetu. Ludzie rozpoznawali go na ulicy, prosili o autografy. Zapraszano go na wywiady, pisano o nim artykuły. Tylko restauratorzy i jego rodzice nie pałali do tej profesji sympatią. Ci pierwsi w zderzeniu z jego recenzją często źle kończyli. Już kilkanaście biznesów zamknęło swoją działalność po tym, jak obsmarował ich na swoim kanale. Ci drudzy modlili się po cichu, aby przestał zionąć nienawiścią do innych, bo nie mogło wyjście z tego nic do-

brego. Maks nie tylko oceniał restauracje czy bary, ale również krytycznie wypowiadał się o różnych osobach, nic nie robiąc sobie z faktu, że może kogoś skrzywdzić lub doprowadzić do jakiejś tragedii.

Monika Aleksandrowicz pogłośniła dźwięk, ponieważ nie usłyszała odpowiedzi syna.

– Oglądałem cię kiedyś – powiedział chłopak z włosami o niebieskich końcówkach. – Zjechałeś bar sushi niedaleko mnie. Ale później poleciał hejt na nich, i słusznie. Kantowali na rybach. Dobrze, że ktoś ma jaja i mówi o tym głośno.

– Dzięki – odpowiedział Maks. – A wy to...?

– Czwórka wspaniałych – rzucił brunet podpisany imieniem Gustaw, który stał z tyłu i przygotował posiłek.

– Okej, a ja będę piątym muszkietierem – zaśmiał się nowo przybyły, odsłaniając dwa rzędy śnieżnobiałych zębów niczym amerykański aktor serialowy.

– To może ja zacznę. Klaudia. – Dziewczyna podniosła się z krzesła, poprawiła czerwoną sukienkę, która znacząco podciągnęła się do góry, podeszła do chłopaka i wyciągnęła do niego rękę.

– Miło mi! – krzyknął rozbawiony i podszedł bliżej. Wszyscy patrzyli ze zdziwieniem na Maksa, który złożył dwa pocałunki na policzkach dziewczyny. – A tak w ogóle to ja jestem Maks, żebym nie wyszedł na jakiegoś nieobytego wieśniaka, co w towarzystwie nie potrafi się zachować.

Podszedł do kolejnej dziewczyny i już nie czekając na jej reakcję, nachylił się i musnął ją ustami po policzku.

– Blanka – wyszeptała zawstydzona.

– Miło mi – odpowiedział i puścił zalotnie oczko. – Z wami, chłopaki, nie będę się już całował, no chyba że chcecie, to zawsze mogę się zmusić i coś z siebie wykrzesać, aby było wam miło.

– Wystarczy zwykły uścisk dłoni. – Brunet podszedł do niego i wyciągnął dłoń. – Gustaw.

– Maksymilian, ale dla was Maks. Nie wiem, po kiego grzyba matka dawała mi takie długie imię.

– Coś ty, ładne jest – skomentowała kokieteryjnie Blanka.

– Skoro tak mówisz, to możesz mówić do mnie i Maksymilian. Nie ma problemu.

– Kacper jestem – przerwał drugi z chłopaków, widząc maślany wzrok koleżanki rozbierający nowo przybyłego. – Wiesz w ogóle, co tu się dzieje?

– Nie – skomentował i nagle jego twarz się zmieniła, jakby ktoś opowiedział mu coś niezwykle smutnego, o czym wolał nie myśleć.

– Zupełnie nic? – Gustaw oparł się o blat, odstawiając obieraną właśnie cebulę. – Nic o nas nie słyszałeś?

– Nie... Hmm...

– Matko, świat się kończy, najbardziej wygadany chłopak na Ziemi zgubił język w gębie – wtrącił drwiąco Kacper, za co od razu został storpedowany wzrokiem przez obie dziewczyny.

– Od około dwóch tygodni nie miałem kontaktu ze światem – odpowiedział cicho, a Monika Aleksandrowicz niemal wetknęła nos w telefon, jakby w ten sposób mogła być bliżej swojego syna.

– No tak, to taki celebrycki światek, ci najważniejsi dostają luksusowe pokoje i oczekują na wielkie wejście. A my, szaraczki, od samego początku walczymy w pocie czoła – skomentował z udawanym smutkiem na twarzy Kacper.

- Może cię zdziwię, ale nie. Ktoś mnie porwał...

Rozdział 57

Maria Kruczkowska siedziała w salonie w swoim domu pod Radomiem i cała się trzęsła. Przed chwilą zadzwonił nieznajomy numer. Patrzyła na telefon dobre kilka sekund, zanim odebrała, bojąc się, że po drugiej stronie usłyszy głos kogoś, kto dokładnie wiedział, co zrobiła. Odetchnęła, gdy usłyszała:

– Dzień dobry, z tej strony Dagmara Reszka. Ruszamy właśnie z nowym programem dofinansowań na pompy ciepła i panele fotowoltaiczne. Chciałabym spytać, czy byłaby pani zainteresowana spotkaniem z naszym doradcą. Może...

– Nie, dziękuję – przerwała kobiecie, gdy jej oddech się uspokoił, i rozłączyła się.

Odłożyła telefon na szklany stolik i pociągnęła łyk białego wina. Zegar stojący na komodzie wskazywał dopiero trzynastą, jednak jej to nie przeszkadzało. Jej przyjaciółka zawsze powtarzała z uśmiechem na twarzy, że damy nigdy nie piją przed szesnastą, po czym polewała, nawet jak była jedenasta, mówiąc, że gdzieś już jest czwarta po południu.

Teraz nie miało to znaczenia. W domu panowała totalna cisza, więc nie miałyby kto jej zwrócić uwagi, zresztą i tak miałyby to gdzieś. Wypiła jeszcze dwa duże łyki i odłożyła kieliszek, widząc, że na jej telefon przyszła wiadomość. Znowu poczuła to ukłucie, które towarzyszyło jej od kilku dni. Po pierwsze strach, że ktoś dowie się, co zrobiła. Po drugie niepokój o córkę, która brała udział w jakimś dziw-

nym programie. Cały kraj opanowała mania „zabawy w zabijanie”. Gdziekolwiek poszła, wszyscy o tym mówili, a gdy ktoś wiedział, że jej córka jest jedną z uczestniczek, zasypywano ją gradem pytań.

– Czy wiedziała pani, że córka będzie w tym programie?

– Nie boi się pani o córkę?

– Wie pani, o co oni walczą?

– Gdzie kręcą program?

– Dlaczego wyświetlają go w takich dziwnych miejscach jak sklepy, a nie w telewizji?

Te należały do miłych. Niestety większość osób atakowała ją, oceniając Blankę mało przychylnie.

– Pani córka to puszczalska, jest pani z niej dumna?

– Oby odpadła jak najszybciej, średnio patrzy się na takiego potwora.

– Dobrze, że moje dzieci lepiej wychowałam. Nie są tak patologicznie jak ta Blaneczka.

Co zaskakujące, nawet osoby, które znała, wrzucały zdjęcia z hasztagiem #BlankaDupodajka, jakby chciały jej zaszkodzić. Na szczęście wśród oznaczeń proponowanych przez psychologa prowadzącego tę grę to nie ten był najpopularniejszy. #KlaudiaPaniIdealna podbijał internet. Dziewczyna wzbudzała jeszcze większe emocje niż Blanka.

Maria Kruczkowska schyliła się do telefonu, który piknął znowu, informując o przyjściu kolejnej wiadomości. W ciągu kilku sekund był to już czwarty dźwięk, co nie wróżyło niczego dobrego.

Odblokowała telefon i kliknęła w link przesłany przez męża. Dobrze wiedziała, że on również to przeżywa, jednak inaczej niż ona. Od razu, gdy to się zaczęło, spytał, czy wyjedzie z nim na działkę, za-

ledwie dwadzieścia kilometrów za miastem, jednak odcięci od świata mogliby dawkować kontakt z informacjami do poziomu, jakiego chcieli.

Tutaj, w domu, narażona była na nachalnych sąsiadów czy obcych, którzy jakimś cudem dowiedzieli się, gdzie mieszkają rodzice Blanki. Tej Blanki. Ona jednak została, licząc, że zdarzy się cud i córka nagle stanie w progu ich rodzinnego domu. Uśmiechnie się smutno i rzuci w jej ramiona. Przeprosi za swoje zachowanie, zmaże ten okropny makijaż, którego Maria tak nienawidziła, i wyjadą razem. Na długo.

Kliknęła „play” i od razu marzenie ulotniło się. Jej córka siedziała przy długim stole i jak gdyby nigdy nic trajkotała z pozostałymi uczestnikami. Zupełnie nie przeszkadzało jej, że towarzyszący jej chłopak tak niedawno raził ją prądem.

– I jak wam się podobały te elektryzujące zabawy? – rzucił rozbaawiony chłopak z niebieskimi końcówkami włosów.

Blanka popatrzyła na niego z politowaniem, a siedząca kawałek dalej Klaudia pokazała środkowy palec i odezwała się:

– Na bank było to lepsze niż seks z tobą – zaśmiała się i zrobiła kilka obscenicznych ruchów językiem, wypychając nim parokrotnie w policzek.

– A ty myślisz, że ja chciałbym cokolwiek z tobą? – parsknął, wypływając trochę ryżu, który chwilę wcześniej wsadził do ust. – Wiem, że masz o sobie wysokie mniemanie, ale niestety nawet kijkiem bym cię nie tknął. Cenię sobie, jak by to powiedzieć, dziewczyny, których nie może pomacać każdy. – Uchylił się, bo w jego stronę poleciała pusta butelka po piwie.

– A co ty myślisz, że ja to jakaś prostytutka?

– Halo! – W tym momencie siedzący dotąd cicho Gustaw uderzył w blat stołu otwartą ręką. Patrzył raz na koleżankę, raz na kolegę i mierzył ich wzrokiem. – Ten dzień nie należał do najłatwiejszych. Może zamiast obsmarowywać się gównem, spędzimy miło czas. Każdy jest kłębkim nerwów z powodu tego, co się już wydarzyło, a także przez niepewność przyszłości. Sam się stresuję, co ten – w tym momencie kiwnął w stronę jednej z kamer – nam jeszcze wymyśli.

– Masz rację – powiedział Kacper jako pierwszy, wstał i podszedł do Klaudii, która siedziała na tyle blisko, że mógł sobie darować te ceregiele. Wyciągnął do niej rękę. – Sorka. Jak zwykle przesadziłem. Nie to chciałem powiedzieć. W sumie to niewiele o tobie wiem. To, że lubisz pokazywać swoje ciało, nie oznacza, że jesteś... no, panniką lekkich obyczajów. Może to tylko znaczyć...

Nie skończył. Gustaw przerwał mu tym razem z uśmiechem na twarzy:

– Już nie kontynuuj, bo zabrniesz zaraz w gówniany zaufek. Klaudia kiwnęła głową, więc przyjmuje przeprosiny. Czas na toast. Za nasze zdrowie, aby nic nam się nie stało – powiedział już poważnie.

Maria Kruczkowska patrzyła na to z lekkim niedowierzaniem. Toast wzniesiony przez chłopaka nie brzmiał naturalnie, tak jakby chciał tym coś powiedzieć oglądającym. Normalnie dwudziestokilkulatkomie życzą sobie raczej superbalangi, a nie zdrowia.

Oglądała dalej, co chwilę dolewając sobie wina w obawie, że zaraz nastąpi zwrot akcji.

Głowa już robiła jej się ciężka, a gdy na stoliku pojawiła się druga butelka, której zawartość w szybkim tempie zniknęła, oczy zaczęły jej

się zamykać. Walczyła z tym z całych sił, jednak wpływ zdecydowanie za dużej ilości alkoholu zrobił swoje.

Gdy ponownie otworzyła oczy, pierwsze, co poczuła, to ból głowy i suchość w gardle. Choć to pierwsze towarzyszyło jej dość często, ponieważ od wczesnych lat młodości cierpiała, jak to mawiała jej babcia, na globusa, czyli po prostu migreny, to jednak to drugie ją zaskoczyło.

Musiała powoli wstać i dojść do szafki z lekami, znaleźć ten najmocniejszy, popić dużą szklanką wody, położyć się ponownie na kanapie i odczekać dwadzieścia, maksymalnie trzydzieści minut, aby ból zelżał. Gdy ponownie otworzyła oczy, jej problem zniknął jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Wzięła telefon i zdębiała. Jej córka leżała nago na podłodze, odsłaniając miejsca intymne, a tuż obok Kacper wisiał nad Klaudią, dynamicznie poruszając biodrami. Dziewczyna nie reagowała, tylko podskakiwała przy każdym ruchu blondyna niczym szmaciana lalka. Kawałek dalej Gustaw bił się z jakimś chłopakiem, którego wcześniej nie widziała.

Kobieta pochyliła się nad ekranem, chcąc lepiej zobaczyć córkę. Brak ubrania i dziwna poza nie były teraz problemem. Najważniejsze pytanie, które kłębiło jej się w głowie, pozostawało bez odpowiedzi – czy Blanka żyje?

Sekundy dłużyły się niemiłosiernie, aż w końcu dziewczyna zarzuciła głowę i przeturlała się na drugi bok. Jej wykrzywiona w dziwnym grymasie twarz w normalnych warunkach przeraziłaby matkę. Córka wyglądała tak, jakby spożyła narkotyki lub dopalacze, o których tak dużo pisano. Jednak dla jej matki nie miało to teraz znaczenia. Żyła.

Maria Kruczkowska poczuła ulgę, a jej ciałem wstrząsnęły konwulsje. Zerwała się na równe nogi, mocno zaciskając usta. Treść z żołądka postanowiła zmienić kierunek i tylko bliskie spotkanie z toaletą mogło pomóc.

Rozdział 58

Skupienie się na pracy nigdy nie stanowiło dla Doroty Czerwińskiej problemu. Przynajmniej do czasu, gdy sytuacja prywatna nie zaczęła jej przerastać, tak jak teraz. Wydawało jej się, że wszystko jest już pod kontrolą. Nauczyła się, jak żyć z małym człowiekiem, do którego dostosowywała całe swoje życie. Pozwoliła wtargnąć w nie Markowi i coraz bardziej jej się to podobało. A jednak jej najlepsza przyjaciółka wylądowała w szpitalu, a przyszłość jej nienarodzonych dzieci rysowała się w ciemnych barwach. Dwa małe ludziki mieszkające w jej brzuchu połączone były ze sobą naczyniami krwionośnymi, których nie powinno tam w ogóle być. Kasię czekał zabieg ich przecięcia, ale nikt nie mógł przewidzieć efektów, które mogły być od najlepszych, czyli pełnego sukcesu, po śmierć jednego, a nawet i dwóch maleństw. Na dobitkę to spotkanie z Jakubem... Dorota myślała, że już nic do niego nie czuje, że ich wspólne życie to zamknięty rozdział, odgradzony od terażniejszości grubym murem, jednak gdy zobaczyła go na korytarzu, pierwsze, co przyszło jej na myśl, to przytulić go i nie puścić. Nie widzieli się prawie rok. Włosy mu posiwiały, a wokół oczu pojawiły się nowe zmarszczki, ale poza tym był jej starym Jakubem, z którym uwielbiała się śmiać, oglądać filmy i gotować.

Był pierwszym mężczyzną, który ją usidlił, i gdzieś w głębi, mimo strachu przed długimi związkami, liczyła, że się z nim zestarzeje.

Jednak życie, jak to miało w swoim zwyczaju, spletało jej figła. A w sumie to może ona sama to zrobiła.

Napiła się dwóch łyków mocnej kawy i odstawiła kubek w bezpiecznej odległości od klawiatury. Zalała już kilka laptopów, a jeden z telefonów utopiła, dlatego starała się trzymać je w odpowiedniej odległości od wszelakich płynów.

Przed sobą na ekranie miała listę pięciu firm zajmujących się profesjonalnymi systemami do kontroli zdalnej samochodów. Okazało się, że to, co jeszcze kilka lat temu było pieśnią odległej przyszłości, już się działo. Przejęcie jadącego samochodu, nazywane car hacking, nie stanowiło dla profesjonalistów żadnego problemu.

Każda z tych firm chwaliła się swoimi osiągnięciami, kusiła ofertą, jednak Dorota Czerwińska nie tego szukała. Potrzebowała informacji, czy ktokolwiek z pracujących tam ludzi byłby zdolny do wykorzystania swojej wiedzy do najgorszej z możliwych rzeczy – do zabicia niewinnych osób.

Spisała listę wszystkich pracowników, którzy zostali zaprezentowani na stronach, zdając sobie sprawę, że to tylko wierzchołek góry lodowej i że w każdej z tych firm pracuje o wiele więcej osób. Zamierzała poprzydzielać rozmowy z poszczególnymi osobami funkcjonariuszom z konkretnych komend. Nie zamierzała jeździć po całej Polsce i szukać igły w stogu siana, szczególnie że nie miała pewności, czy ten trop nie okaże się fałszywy.

Przygotowała wszystkie wytyczne i już miała zacząć je wysyłać, gdy wpadła Zofia.

– Widziałaś to? – rzuciła, sapiąc, jakby właśnie przebiegła maraton. – Czegoś takiego to najlepsi scenarzyści z Hollywood nie daliby rady stworzyć.

– Matko, co znowu się stało? – spytała, wciskając ikonę dyskietki w swoim pliku, aby nie stracić efektów pracy.

Zamiast odpowiedzieć, koleżanka przepchnęła ją tak, aby mieć dostęp do komputera Czerwińskiej, i zaczęła coś pisać. Po chwili na ekranie pojawił się obraz z kilku kamer, pokazujący pomieszczenie, pośrodku którego stał wielki stół. Grzelczyk przycisnęła guzik przyspieszający obraz, zupełnie ignorując wypowiedane przez uczestników przedstawienia kwestie. Na początku znajoma im czwórka plus jeden nowy siedzieli przy stole. Gawędzili, jedli, pili. Z czasem zaczęli się robić nerwowi, wstawali nagle, machali rękoma.

Mimo że klatki nagrania skakały jak szalone, obie kobiety dobrze wiedziały, że szczególnie Gustaw i nowy nie przypadli sobie do gustu. Pokazywali sobie wulgarne gesty. Przyglądała się temu Blanka, która raz po raz próbowała coś powiedzieć, ale panowie ją ignorowali.

Pozostała dwójka bawiła się dużo lepiej. Klaudia zaczęła przystawiać się do blondyna z niebieskimi końcówkami, wywijając przed jego twarzą biodrami.

Policjantka jeszcze bardziej przyspieszyła. W kolejnej scenie znika z obrazu przystojny prawnik, a nowy zaczyna przystawiać się do Blanki, której twarz przybiera dziwny wyraz. Chłopak nic sobie nie robi z faktu, że dziewczyna mdleje. Podchodzi do niej i podciąga jej spódnicę, odsłaniając intymne miejsca. W tej chwili wraca Gustaw i rzuca się na niego. Obaj przewracają się i z całym impetem lądują na dziewczynie.

Obok Kacper w najlepsze kopuluje z Klaudią, która już nie reaguje.

– Boże, to jakaś masakra... – Jako pierwsza panującą ciszę prze-rwała Dorota.

– To jeszcze nie koniec.

W pewnym momencie nowy sięga po nóż i wbija ostrze w ciało leżącej obok Blanki. Tak jakby tym ruchem chciał ukarać bruneta za przerwanie mu. Gustaw doskakuje do niego i zaczyna okładać pięściami. Ten ostatkiem sił wbija mu nóż w szyję. Chłopak osuwa się nieprzytomny lub martwy. Potem nagranie się urywa.

– Jezu, co to było? – wydukała Dorota Czerwińska.

– Nie wiem, ale musimy dowiedzieć się jak najwięcej o Maksymilianie Aleksandrowiczu. To ten nowy, jeden z naszych go rozpoznał.

Policjantka, nie czekając na dalsze wytyczne, wpisała dane chłopaka i po chwili na ekranie monitora wyskoczyła lista kilkunastu osób o tym samym imieniu i nazwisku. Przejrzały ją szybko i na podstawie numeru PESEL wytypowały dwie z nich.

Wystarczyło jedno spojrzenie na zdjęcie zawarte w aktach i już wiedziały, kim jest nowa postać, która dołączyła do ekipy. Choć w większości przypadków szczegóły nie robiły na nich wrażenia, to jednak gdy Dorota doszła do miejsca, gdzie dokładnie opisano przyczynę obecności chłopaka w bazie policyjnej, wstrzymała oddech.

– Co się stało? – spytała od razu Zofia Grzelczyk, widząc minę koleżanki.

– Chyba coś mamy – rzuciła podekscytowana.

Szybko weszła w historię wyszukiwania w przeglądarce, której używała. Odnalazła przedostatnią stronę i kliknęła. Na stronie głównej prezentowano jakiś futurystyczny samochód, ale nie to ją interesowało. Zjechała na dół i kliknęła zakładkę „O nas”.

Po sekundzie na ekranie laptopa pojawił się opis firmy, a pod nim trzy zdjęcia. Jedno z nich należało do Roberta Banacha.

Zupełnym przypadkiem takie samo nazwisko nosił chłopak, który popełnił samobójstwo pod wpływem docinków ze strony Maksymiliana Aleksandrowicza.

Rozdział 59

– O w mordę! Przecież to ta laska z programu! – wyszeptała dziewczyna i wybrała numer 112.

Po dziesięciu minutach las rozświetlił błysk kogutów policyjnych, a minutę później dołączyła do nich karetka.

Blanka Kruczkowska oddychała, jednak medyk układający ją na noszach jej stan określił jako bardzo zły. Rana kłuta, z której wypływała krew, była jedną z kilku, z którymi organizm dziewczyny musiał walczyć. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić złamanie kości piszczelowej, wybity bark, rozciętą w kilku miejscach głowę.

Mimo tych obrażeń, gdy już mieli odjechać z miejsca wypadku, dziewczyna otworzyła oczy. Rozejrzała się i widząc nieznaną twarz i służbowe wdzianka, uśmiechnęła się. Ich obecność oznaczała jedno: jej koszmar się skończył. Była w końcu wolna.

Rozdział 60

Starsza aspirant Dorota Czerwińska, przeprowadzając się do stolicy, liczyła, że jej praca wzniesie się na jeszcze wyższy poziom, ale nie sądziła, że tak szybko stanie w oko w oko z opętanym zemstą mordercą, dla którego nic nie będzie stanowiło świętości.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy udało się odnaleźć uprowadzonych, bo tak każdy zaczął o nich myśleć i mówić. Na jako pierwszą natrafiono na Blanę, która resztką sił dopełzła do pobliskiej leśnej drogi. Szybko na miejsce sprawdzono kilkudziesięciu policjantów, którzy dotarli do ukrytego w lesie domu – miejsca, w którym powstawał program.

Gustawa nie udało się uratować, pomimo długiej reanimacji. Nowy uczestnik był w stanie krytycznym, a dwójka pozostałych po odzyskaniu świadomości i przebadaniu przez lekarza została przekazana policji.

Cały czas pozostawało zagadką, jak się wydostali. Na szczęście wiedzieli już, kto za tym stoi. Robert Banach. Czterdziestotrzyletni mężczyzna. Zupełnie nijaki. Taki, jakich mija się na ulicach dziesiątki i żadnego się nie pamięta. Jednak każdy, kto teraz patrzył na wielki ekran, wiedział, że nigdy nie zapomni tej twarzy. Będzie mu się śniła wielokrotnie, a wraz z nią ujęcia z nagrań sprzed Żółtych Tarasów czy programu, który udostępniał w sieci. A jakby komuś było mało, to może jeszcze przywołać nagrania z wizji lokalnej domu pięćdziesiąt kilometrów od Przemyśla.

Po ponad dwóch godzinach oczekiwania na prokuratora w końcu wszedł on do pokoju przesłuchań, gdzie czekał zatrzymany i jego obrońca, który dumnie się przedstawił i zasiadł obok klienta. Mężczyzna dobrze wiedział, że złapał Pana Boga za przysłowiowe stopy. Każda papuga w tym kraju chciałaby być na jego miejscu.

W końcu przedstawienie się zaczęło. Z każdym kolejnym pytaniem i idącą za nim odpowiedzią obserwująca to bacznie Dorota Czerwińska coraz bardziej miała smutne wrażenie, że ofiar tego wszystkiego jest znaczenie więcej.

– Dlaczego pan porwał Maksymiliana Aleksandrowicza?

Aresztowany wytarł po raz kolejny ramieniem twarz, ponieważ zalewające ją łzy drażniły go.

– On zabił mojego syna. Prześladował go. Obrażał go, a mój syn nic mu nie zrobił. Zawsze dla wszystkich był miły, uprzejmy. Dobrze się uczył. A mimo to dzieciaki w szkole pokazywały go palcem, zaczęły wyzywać, chciały być jak ten chory chłopaczek z sieci. Ktoś ukradł mu rower, który dostał na urodziny, a raz został pobity, gdy wracał ze szkoły. Nie chciał powiedzieć, ale to był ktoś, kogo znał. I nie wytrzymał... – Robert Banach westchnął smutno, a jego wzrok utkwiał w siedzącym naprzeciw elegancko ubranym prokuratorze. – Nie dał rady. Jedyne rozwiązanie, jakie znalazł, to śmierć. Rzucił się pod pociąg. A nawet wtedy ta hiena nie odpuściła. Zmontowała mema, jak mój ukochany syn wpada pod pociąg, a następnie ląduje w słoiku. Jak dżem. Boże, jak tak można...? – Mężczyzna podniósł głos, a Czerwińską przeszedł dreszcz.

Może gdyby nie depresja żony, która załamała się po śmierci syna, mężczyzna nie wpadłby w spiralę zemsty. Jednak widok ukochanej kobiety, która staje się coraz bardziej nieobecna i traci wszel-

kie siły i chęci do życia, spowodował, że jedynym, czego pragnął, była zemsta.

Dysponował sporym budżetem i umiejętnościami. Przez pół roku przebudowywał dom w Bieszczadach. Zatrudnił do tego Ukraińców, którzy nie zadawali pytań, tylko robili. Godzinami szukał ludzi podobnych do Maksymiliana Aleksandrowicza. Nie chciał ograniczać się tylko do niego. Zamierzał zniszczyć życie jeszcze kilku innym wstrętym bachorom, jak ich nazywał. Nigdy tych zaproszonych do programu nie spotkał osobiście, ale stwierdził, że prędzej czy później doprowadzą do jakiejś tragedii i ktoś przez nich będzie cierpieł.

Na pytanie o to, dlaczego ich wypuścił, bo przybyła na miejsce policja stwierdziła, że jedne z drzwi były otwarte, powiedział, że miał dość. Nagle przestało go cieszyć cierpienie innych.

Co chyba wszystkich najbardziej zaskoczyło, na tym nie kończył się plan. Sytuacja eskalowała niczym kula śniegowa i do komend w całym kraju zaczęły napływać sprawy pobić, a nawet zdarzyły się dwa porwania osób, które w sieci znęcały się, hejtowały i zostały odznaczone wymyślonym przez Roberta Banacha hasztagiem.

Po ponad pięciu godzinach przesłuchania, które miało być kontynuowane następnego dnia, Dorota Czerwińska wraz z koleżanką usiadły na ławce przed komendą. Wszędzie dookoła leżała gruba warstwa śniegu, temperatura oscylowała wokół minus pięciu, ale nie miało to znaczenia. Liczba ludzkich tragedii, które wygenerowała ta sprawa, była ponad normę, a dobrze wiedziały, że to dopiero początek.

– Chyba schowam Mikołaja do piwnicy i wypuszczę za trzydzieści lat, żeby nic mu się nie przytrafiło – odezwała się Dorota jako pierwsza.

– Może to i pomysł. Tylko co, jak tobie się coś stanie? Kto mu będzie przynosić jedzenie?

– Ty – zaśmiała się.

– Oby. O ile i mnie się nic nie stanie.

– A niby czemu ma ci się coś stać? Młoda jesteś.

– Dzięki – zaśmiała się smutno Grzelczyk, schyliła i zebrała trochę białego puchu. – Oj, czuję, że... – Zawiesiła głos i zacisnęła śnieg. Uformowała kulkę i cisnęła nią w stojący nieopodal kontener z używaną odzieżą.

– Co się stało? – spytała zatroskana Dorota. Od rana widziała, że koleżanka jest jakaś nieswoja, ale przez sprawę z Banachem przestała o tym rozmyślać.

– Chyba tak. – Ponownie sięgnęła po śnieg. – Mój głupi brat schlał się, a po pijaku opowiedział, co się wydarzyło u nas w domu i...

– I? – powtórzyła po niej policjantka, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– I nie pamięta komu.

Kilka słów na koniec

Facebook. Instagram. YouTube, TikTok. Platformy, których twórcy chcieli, aby każdy z nas, użytkowników, mógł się za ich pośrednictwem pokazać, nawiązać nowe znajomości i podtrzymać dotychczasowe.

Niestety coraz częściej dzieje się na nich coś innego.

Hejt. Nienawiść. Szerzenie oszczerstw.

Palce szaleją na klawiaturze i na ekranie ukazują się słowa, które przy spotkaniu twarzą w twarz nigdy nie zostałyby wypowiedziane.

Sama byłam już kilkakrotnie ofiarą hejtu. Bolało, nie powiem, że nie, ale mam dość grubą skorupę i wiem, że nie mogę brać do siebie niektórych słów. Z konstruktywnej krytyki jak najbardziej wyciągam wiele, ale z wylewanego na mnie żalu, frustracji – nie.

Nie napisałam tej książki, aby kogoś straszyć, ale by zwrócić uwagę na problem, który zaczyna atakować coraz częściej i narasta niczym kula śniegowa.

Wiem, że czasami to trudne, ale odłóż telefon i popatrz na ludzi dookoła siebie, bo tylko wtedy możesz dostrzec prawdziwe emocje.

Gdy jest w Tobie dużo tych złych uczuć, nie wyżywaj się na Bogu ducha winnych osobach po drugiej stronie monitora. One też mogą mieć zły dzień i odbiorą Twoje słowa jeszcze mocniej, niż zamierzałeś(-łaś).

Przy okazji dziękuję mojej rodzinie: za wsparcie i znoszenie moich ucieczek do sypialni, gdzie w towarzystwie kotki Cleo w dużej mierze powstała ta powieść.

No i za dzielne odkładanie telefonów, w czasie posiłków i nie tylko. Wiem, jestem namolna, ale tak niewiele daje tak dużo.

Pozdrawiam

Agnieszka

PS: Jeżeli jeszcze nie czytałeś, drogi Czytelniku, serii o Dorocie Czerwińskiej, to jest ten moment, abym Cię do tego zaprosiła. Książki w dowolnym formacie dostaniesz praktycznie wszędzie, a na pewno na www.peszek.pl.

PPS: Nie zapomnij dodać opinii o „Zabawie w zabijanie” na portalu lubimyczytac.pl. Dziękuję!